ROZMOWA Z EWĄ ZAJĄCZKOWSKĄ-HERNIK

Europoseł Konfederacji, która rzuciła wyzwanie Ursuli von der Leyen

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 32/590 5–11 SIERPNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Pandemia na żądanie – czy WHO już planuje kolejną wszechświatową epidemię?

PIOTR SEMKA O TAJEMNICY OCZU MODELEK MODIGLIANIEGO

Najazd policji na redakcję miesięcznika „Compact" – wolność prasy po niemiecku

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 46 800 egzemplarzy

BLUŹNIERCY!

Dlaczego chrześcijan wolno bezkarnie obrażać

REPUBLIKA

Ostre rozmowy Miłosza Kłeczka ze znanymi politykami
o najważniejszych sprawach dotyczących Polski.
Wszystko W RUCHU, podczas aktywnego uprawiania sportu

MIŁOSZ KŁECZEK
W RUCHU
PREMIERA
w każdy poniedziałek
na kanale
@Telewizja_Republika

Mariusz Błaszczak
Robert Telus
Małgorzata Wassermann
Patryk Jaki
Przemysław Czarnek

RepublikaTV
@RepublikaTV
Telewizja Republika
@RepublikaTV

Od 12 lipca Telewizja Republika rozpoczęła nadawanie na ogólnopolskim naziemnym multipleksie MUX-8 na kanale 51.
Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

eprasa.pl 920a274a11

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Demokracja w zawieszeniu

Decyzja Państwowej Komisji Wyborczej, by przełożyć o miesiąc, na 29 sierpnia, akceptację finansowego sprawozdania PiS, to błąd. Zamiast zrobić to, co wydaje się ze wszech miar słuszne – przyjąć sprawozdanie partii Jarosława Kaczyńskiego na dokładnie takich samych zasadach, jak to robiono do tej pory w stosunku do wszystkich innych komitetów wyborczych – PKW postanowiła w tym jednym przypadku dalej sprawę badać. O tym, co jest konkretnie do zbadania, można się było wcześniej dowiedzieć z usłużnych rządowych mediów, które całkiem przypadkowo i całkiem niezależnie dotarły do zarzutów prokuratury wobec wydatków kampanijnych PiS. Nie zamierzam tu powtarzać tego, na co już często wskazywałem przy okazji innych pseudośledztw prowadzonych przez bodnarowców, a dotyczących rzekomych straszliwych naruszeń prawa przez dysponentów Funduszu Sprawiedliwości i w szczególności przez posłów Suwerennej Polski. Cokolwiek bym napisał, zwolenników tezy o istnieniu „zorganizowanej grupy przestępczej" i tak nie przekonam. Nie ma też sensu, żebym przekonywał tych, którzy rozumieją mechanizm tworzenia coraz bardziej niedorzecznych oskarżeń i ubierania ich w pozory prawa.

Niezależnie jednak od tego spróbuję się odwołać do tego, co można by nazwać powszechnym, zdrowym rozsądkiem. Otóż cokolwiek by się sądziło na temat PiS, próba odebrania największej partii opozycyjnej 75 proc. dotacji przypomina – nie waham się powiedzieć – zamach stanu. Jak można mówić o uczciwej konkurencji politycznej, skoro jednemu z graczy uniemożliwia się walkę? I jak można nie dostrzegać braku bezstronności niektórych przynajmniej członków PKW? Jakim to sędzią może być choćby Ryszard Kalisz, który nie tylko przez dużą część swojej kariery politycznej zwalczał PiS, lecz także nawet za czasów poprzednich rządów Donalda Tuska stał na czele komisji śledczej badającej sprawę śmierci Barbary Blidy? To, że uczestniczy on w pracach PKW i jakby nigdy nic opowiada o swojej „sędziowskiej" aktywności, może być jedynie ponurym żartem. Trudno sobie wyobrazić polityka bardziej uprzedzonego w stosunku do prawicy niż on. Jeśli cokolwiek znaczy w ogóle zasada bezstronności, to Ryszard Kalisz powinien sam się z prac PKW dotyczących sprawozdania PiS wyłączyć. On jednak nie tylko się nie wyłącza, lecz także komentuje i bada. Koń by się uśmiał.

Podobnie wielce osobliwy jest udział w gronie dziewięciu bezstronnych badaczy niejakiego mecenasa Macieja Klisia, którego wcześniej do zarządu państwowego Banku Gospodarstwa Krajowego nominował inny niepolityczny polityk, a więc Donald Tusk. Gdyby to był kabaret, zrywałbym boki ze śmiechu, słysząc, że zapytany o tę dwuznaczną sytuację mecenas z właściwą sobie bezstronnością orzekł, iż nie widzi konfliktu interesów. Mianowany przez Tuska do zarządu banku będącego pod kontrolą Tuska mecenas nie widzi problemu w tym, że osądza sprawozdanie partii zwalczanej przez Tuska! Szkoda, że nie stwierdził, iż zależność od Tuska czyni go szczególnie od Tuska niezależnym. Tak, to nie pomyłka, to dialektyczny sposób rozumowania obecnie rządzących polityków.

Sędziowie PKW zachowują się tak, jakby nie dostrzegali, iż igrają z ogniem. Celowo napisałem o zamachu stanu, ponieważ odrzucenie sprawozdania oznaczałoby de facto próbę ograniczenia, a wręcz próbę eliminacji opozycji w Polsce. Doskonale rozumiem, jaka jest ta najbardziej autentyczna, najbardziej prawdziwa i jedyna istotna emocja spajająca elektorat PO. Chcą się odegrać, zemścić, upokorzyć, zdeptać, wyeliminować. Tylko że instytucje państwa nie mogą takim emocjom ulegać. Jeśli PKW da się użyć do walki z opozycją, jeśli przemieni się w instrument eliminowania PiS z życia publicznego – to nie sposób będzie mówić o demokracji. Obecny chaos i stan coraz większej nieufności tylko się pogłębi.

Politycy koalicji rządowej nawet nie ukrywają, czemu ma służyć prokuratura kontrolowana przez Adama Bodnara. Nie tylko, że nie wspominają już o oddzieleniu funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego – co przecież całkiem niedawno było jednym z ich kluczowych postulatów – lecz także otwarcie i publicznie domagają się od prokuratorów większej „skuteczności" w rozprawie z PiS. Nie rozumiem, jak można nie dostrzegać szaleństwa takiej postawy. Im bardziej się pieklą, im bardziej bezczelnie używają prokuratorów do walki, tym bardziej podcinają gałąź, na której siedzą. Wystarczy delikatna zmiana sympatii politycznych i wszystkie wytworzone przez PO mechanizmy rozprawy z PiS mogą się znaleźć w ręku PiS. Ci sami urzędnicy, którzy dziś oskarżają, staną się oskarżonymi. Te same zarzuty o wykorzystywanie funduszy publicznych do promocji polityków, które kierują pod adresem PiS, dosięgną obecnie rządzących.

Szkoda, że PKW nie przyjęła od razu sprawozdania PiS. Przez kolejny miesiąc rząd i bodnarowcy będą na nią wywierać presję, kreując kolejne, niedorzeczne zarzuty. Kiedyś za to zapłacą, jestem pewien. Tylko Polski żal. ©℗

eprasa.pl 920a274a11

TEMAT TYGODNIA

14 PAWEŁ CHMIELEWSKI
DLACZEGO PROGRESIŚCI SZYDZĄ Z KATOLIKÓW
Olimpijskie kopanie leżącego

18 KACPER KITA
ANTYKATOLICYZM WE FRANCJI

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KATASTROFA PARYSKA

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
REKONKWISTA DOŚĆ NIEPEWNA SIEBIE
Krytyka po cichu

25 ROZMOWA Z EWĄ ZAJĄCZKOWSKĄ-HERNIK
MÓWIĘ: SPRAWDZAM

28 JAN FIEDORCZUK
PRZEGAPIONA REWOLUCJA

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
„SPECJALNE" TRAKTOWANIE

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
PUSTE PLAŻE

KULTURA

34 PIOTR SEMKA
MODIGLIANI I JEGO KUMPLE
Nałogi i tragedie za malarskimi poszukiwaniami

37 PIOTR GOCIEK
TAJEMNICA JOHNA CHAU

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA
CO NAM SZYKUJE URSULA
Dalsza destrukcja Europy

49 MACIEJ SZYMANOWSKI
CZAS ŚRODKA

52 MARIUSZ JAGÓRA
WHO – PANDEMIA NA ŻĄDANIE

HISTORIA

56 MACIEJ KLEDZIK
POMIJANE BOHATERSTWO
Czym byłoby Powstanie Warszawskie bez udziału NSZ?

59 SŁAWOMIR SIWEK
RELIGIA W SZKOŁACH

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
W CO GRA ŁUKASZENKA
Chiny ochroną przed Putinem?

66 JAN BOGATKO
WOLNOŚĆ PRASY PO NIEMIECKU

68 TERESA STYLIŃSKA
CYPR: 50 LAT PÓŹNIEJ

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
KLIMATYSTYCZNY KARTEL
Zamach na amerykański styl życia

WAKACJE Z „DO RZECZY"

74 JACEK PAŁKIEWICZ
BEZPIECZNE WAKACJE
Podróże z Pałkiewiczem

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 920a274a11

TYGODNIK POLSKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **x.com/Olympics**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 800 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Dąbrówno – pułapka na króla", Jacek Komuda, „DRz" nr 30/2024

W mazurskim Dąbrównie można znaleźć nie tylko ślady krzyżackiej przeszłości (Jacek Komuda, „Przewodnik turystyczny po I Rzeczypospolitej", „Dąbrówno – pułapka na króla", nr 30/2024). W miasteczku znajduje się najstarszy w Polsce pomnik Powstania Warszawskiego, zbudowany 1 sierpnia 1946 r. w formie kapliczki maryjnej z oryginalną marmurową tablicą i napisem: „W drugą rocznicę Powstania Sierpniowego 1944 roku w Warszawie / Ku uczczeniu pamięci poległych".

Twórcą pomnika był pierwszy powojenny wójt Dąbrówna, Mikołaj Wasik (1898–1977), powstaniec warszawski ps. Wąsaty w Zgrupowaniu NSZ „Chrobry II", którego córka sanitariuszka „Zosia" zginęła w sierpniu 1944 r. Fundatora kapliczki upamiętnia tablica na froncie tutejszego ratusza, a jego postać przypomina niedawno wydana publikacja dr. Wojciecha Brojera.

Przy okazji obchodzonej właśnie 80. rocznicy wybuchu powstania warto zwrócić uwagę, że grób Mikołaja Wasika (z błędnymi datami życia) i jego córki Zofii na warszawskim Bródnie nie ma żadnego oznakowania o miejscu spoczynku żołnierzy warszawskiego sierpnia 1944 r.

Andrzej W. Kaczorowski, Warszawa

„Wszystko, co najlepsze", Krzysztof Masłoń, „DRz" nr 31/2024

W artykule mego ulubionego autora, Pana Krzysztofa Masłonia, znalazłam błąd dotyczący widowiska „Lato Muminków" stworzonego przez zmarłego niedawno Tadeusza Woźniaka.

Otóż Andrzej Maria Marczewski, reżyser widowiska, zaadaptował powieść fińskiej malarki i pisarki Tove Jansson, tworzącej w języku szwedzkim. Przywołana w artykule Astrid Lindgren , szwedzka pisarka, nie jest autorką cyklu opowieści o Muminkach [...].

Łączę ukłony
Czesława Scheffs

Od autora

Głupia pomyłka. Przepraszam.

Krzysztof Masłoń

eprasa.pl 920a274a11

NA PIERWSZY OGIEŃ

Między Lennonem a Leninem

PIOTR SEMKA

„Świat bez nieba, narodów, religi – i to jest wizja tego pokoju, który wszystkich nas ma ogarnąć. To jest wizja komunizmu, niestety". Te słowa ściągnęły na sportowego dziennikarza TVP Przemysława Babiarza publiczną reprymendę szefa redakcji sportowej Jakuba Kwiatkowskiego i odsunięcie od komentowania olimpiady w Paryżu. Szef TVP Sport zdefiniował winę Babiarza krótko: „Sport powinien być wolny od polityki".

Pytanie tylko, czy komentarz Babiarza był polityką czy był refleksją kogoś, kto na własnej skórze zaznał komunizmu. Gdyby komentator polskiej telewizji zauważył w spektaklu jakieś nuty szowinistyczne czy rasistowskie, wszyscy uznaliby za oczywiste, że ma prawo podzielić się z widzami swoimi obawami. Tymczasem w kwestii nasycenia uroczystości otwarcia olimpiady treściami typowymi dla lewicy refleksja kogoś, kto ma głębszą świadomość historyczną, jest karana.

Zapomnieliśmy już, że ludzie, którzy na własnej skórze przeżyli koszmar wcielania komunizmu w życie, mają prawo do reagowania, gdy coś zaczyna im przypominać niepokojące scenariusze z przeszłości. Przemek Babiarz należy do pokolenia, które pamięta porwanie i zamordowanie ks. Jerzego Popiełuszki. Tacy jak on mają wspomnienia z czasów propagandy PRL, kiedy to hasło powszechnego pokoju torowało drogę do planów sowieckiej ekspansji na cały świat. I to jest istota sporu. Rząd Francji, który patronował przygotowaniom do olimpiady, bardzo wyraźnie eksponował rewolucyjne tradycje i – co gorsza – pośrednio wychwalał rewolucyjną przemoc, bo tak można było zrozumieć pojawienie się artystki grającej Marię Antoninę z uciętą na gilotynie głową.

Iluś weteranów epoki Beatlesów zdumiewało się, jak można Johna Lennona utożsamiać z komunizmem. Otóż można. Jego światopogląd pchał go w kierunku fascynacji komunistyczną utopią. Co z tego, że zastrzegał się, iż realny komunizm, który tworzył Związek Sowiecki, mu się nie podoba. Gdy wybuchała rewolucja w Rosji, drogę do władzy Lenina utorowały też tysiące kudłatych okularników, którzy potem od pewnego momentu zastrzegali się, że powstało nie to, co im się wydawało, że ma powstać. Wolę przewrażliwienie Babiarza niż retorykę rozmaitych utytułowanych idiotów oburzających się, że ktoś mógł zobaczyć w paryskiej uroczystości pochwałę rewolucji i rewolucyjnych utopii.

To, że tak szybko nastąpiła reakcja kierownictwa TVP, pokazuje, że cała tradycja sprzeciwu wobec komunizmu jest pod rządami ekipy Donalda Tuska traktowana podejrzliwie. Los, który spotkał Przemysława Babiarza, wywoła efekt mrożący na wielu dziennikarzach TVP. Decyzja Jakuba Kwiatkowskiego pokazała jasno dziennikarzom sportowym, za co konkretnie można dostać zakaz zbliżania się do mikrofonu. I ten efekt mrożący będzie działać niezależnie od tego, czy Babiarz istotnie wróci do komentowania igrzysk w Paryżu czy też nie. To jest najbardziej niepokojąca konsekwencja tej awantury. A jeśli tak głębiej pomyśleć, to od idei późnego Lennona do idei wczesnego Lenina nie jest tak daleko. ©℗

FOT. ELSA/GETTY IMAGES

PIERWSZE MEDALE DLA POLAKÓW

Jako pierwsza z Polaków na podium olimpijskim w Paryżu stanęła kajakarka. Klaudia Zwolińska wygrała srebrny medal. Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" zdobyliśmy jeszcze brąz drużynowy w szpadzie: Martyna Swatowska-Wenglarczyk, Alicja Klasik, Renata Knapik-Miazga i Aleksandra Jarecka (na zdjęciu) oraz taki sam medal czwórki podwójnej w wioślarstwie: Dominik Czaja, Mateusz Biskup, Mirosław Ziętarski, Fabian Barański. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 920a274a11

dwaj panowie g

Na Powązkach 1 sierpnia pod pomnikiem Gloria Victis odbyły się uroczystości w 80. rocznicę wybuchu powstania. Był tam i szeregowy poseł Jarosław Kaczyński wraz ze świtą, aby złożyć wieniec. Ciekawsze jest jednak to, kto składał osobny wieniec przed nim, w dodatku całkiem odrębnie i samotnie. Był to Mateusz Morawiecki. Wiadomość tę polecamy uwadze analityków sytuacji wewnątrz PiS.

Apropos PiS: FOP – to skrót, który wkrótce może być bardzo znany. Wszystko w związku z nadchodzącą decyzją PKW na temat subwencji dla PiS. Jeśli zostanie zabrana, prezes wezwie Polaków do finansowego oporu przeciw reżimowi poprzez wpłaty na Fundusz Obrony PiS. Oczywiście nazywał się będzie inaczej. Może tak jak przed wojną – Fundusz Obrony Narodowej?

W Brukseli zmiany, zmiany – miejsce eurodepów, którzy nie uzyskali ponownie mandatu, zajmują nowi. Dosłownie, bo obejmują nawet biura po poprzednikach. I tak do dawnego biura Anny Fotygi wprowadziła się Marlena Maląg. A na dawne włości Ryszarda Czarneckiego – Piotr Müller.

Skoro już o biurach – śpieszymy donieść, że Joanna Scheuring-Wielgus w brukselskim gmachu zajmuje lokal na 13. piętrze. Za to w strasburskim, dla odmiany, też na 13. piętrze. Po tym poznaje się prawdziwą lewicę: bezbożnicy złych omenów się nie boją.

Apropos Lewicy: zagadka. Co to za polski polityk, który: nie posiada prawa jazdy, nie używa karty, nie ma konta oraz boi się latać samolotami? Wszyscy, którzy pomyśleli, że to brutalny atak na prezesa PiS, powinni natychmiast zacząć się wstydzić. Chodzi o Włodzimierza Czarzastego, znanego też jako Wielki Przewodniczący Czao. Uwaga, zakładamy, że doniesienia mogą być nieco nieścisłe, gdyż usłyszeliśmy je od pewnej polityk Lewicy, a lewicowcy, jak wiadomo, to straszne kłamczuszki.

Nowych eurodepów na dzień dobry spotkała przykra niespodzianka. Chodzi o europiniondze. Będzie ich na razie mniej. Zwykle nowy skład europarlamentu pierwszą sesję miał w trzecim tygodniu sierpnia. Teraz jednak będzie to dopiero wrzesień. Dla niewtajemniczonych: za skrzętny udział w sesjach można miesięcznie zgarnąć ekstra niemal równowartość europoselskiej pensji. Niestety, zgarnianie się opóźni w tym sezonie.

Kolejna zmiana w Brukseli jest rewolucyjna. Otóż europarlament po raz pierwszy wprowadza w tej kadencji obowiązkowe szkolenia antymobbingowe dla wszystkich posłów. Kto się nie przeszkoli, ten nie będzie mógł wyjeżdżać w służbowe delegacje PE – ani z ramienia komisji, w jakich zasiada, ani z ramienia delegacji krajowych. Oficjalnie nie wiadomo, skąd taka sroga decyzja. Nieoficjalnie zastanawiamy się, kto tam i kiedy – i co – nawywijał.

Tymczasem w Polsce: sypie się prokuratura. Media już ogłosiły, że w stan spoczynku chce odejść Marzena Kowalska. Jak szepcze się w gmachu przy ul. Postępu, czarę goryczy przelało postanowienie sądu, który nie zgodził się na areszt dla Marcina Romanowskiego. Kowalska, co prawda, Ziobry nie znosi, jednak prawnikiem jest dobrym. Miała wątpliwości co do wysyłania wniosku aresztowego w sprawie Romanowskiego oraz zarzutu działania w grupie przestępczej. Przekonywano ją jednak, że wszystko jest załatwione i sąd wniosek klepnie. Nie klepnął, więc Kowalska rzuca papierami.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Coraz oporniej idzie kształtowanie nowej prokuratury, a nawet kadr w Ministerstwie Sprawiedliwości. Prokuratorzy z terenu, choć są kuszeni wyższymi apanażami za delegację do stolicy, wcale nie garną się, by iść do neoprokuratury i robić za śledczych dublerów. Oferty przyjmują tylko jakieś łajzy, bo ci, którzy rzeczywiście coś potrafią, odmawiają. Może dlatego, że są dobrymi prawnikami i wiedzą, co czekałoby ich w przyszłości.

Z końcem lipca zjechała do kraju na rzekome konsultacje, ale już bez prawa powrotu na placówkę, pokaźna grupa ambasadorów. Co ciekawe, na kwitach, które dostali ambasadorzy, nie ma słowa „odwołanie", tylko ogólnikowe sformułowanie o tym, że minister „podjął decyzję o zakończeniu misji".

Ciekawa rzecz: nie we wszystkich przypadkach znane są nazwiska osób, które zostaną dublerami odwołanych ambasadorów. Co w praktyce oznacza, że nie ma pomysłu na ich następców. Prawdą też jest, że dublerzy nie mają szansy na nominację od prezydenta, czego wprost wymaga konstytucja. W praktyce oznacza to obniżenie rangi stosunków dyplomatycznych. Do tej pory takie obniżenie miało swoje uzasadnienie jak w przypadku Białorusi czy Izraela. Ale obniżanie rangi z kilkudziesięcioma krajami naraz to coś, czego żadna dyplomacja nie znała w takiej skali.

Cichaczem mianowano p.o. dyrektora Instytutu Felczaka, czyli Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej. Nazywa się Daniel Kasprzak. Pracę ma lekką. Co drugi dzień tak jedna godzinka, dwie. Z obowiązków właściwie tylko jeden: mówienie „nie". „Nie" dla Akademii Wyszehradzkiej w Budapeszcie, „nie" dla polsko-węgierskiego Uniwersytetu Letniego w Krasiczynie, „nie" dla programów dla młodzieży. Co ważne, jest to „nie" po polsku. Gdyż nowy p.o. dyrektor nie zna węgierskiego. Zna za to odpowiednich ludzi, bo ma aż dwie roboty: oprócz Felczaka z doskoku na co dzień jest szefem Biura Generalnego Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. ©℗

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Giertych Falentą

Podczas gdy ekipa Tuska uwija się, żeby w imię demokracji zniszczyć największą partię opozycyjną finansowo (obstrukcja sędziów z PKW, którzy zamiast wykonywać polecenia, zażądali dowodów, to wymagający osobnego omówienia skandal!), zupełnie nieoczekiwanie zapala światełko nadziei dla PiS osoba, której nikt by o to nie podejrzewał: Roman Giertych.

Jakże to? – zapytają państwo zdumieni. Ano tak, że Giertych dokonał właśnie kolejnej demaskacji „pisowskiego deep state", konspiracji obalonego reżimu, która sypie piach w tryby i sabotuje „przywracanie praworządności". Tym razem oskarżycielski palec mecenasa wskazał dziennik „Rzeczpospolita" i jego naczelnego, Bogusława Chrabotę. „Rz" ośmieliła się bowiem napisać, że Tomasz Mraz, najsławniejszy z „gwizdaczy" (ang. whistleblower) nadających u Giertycha na PiS, nielegalnie nagrywał swoich rozmówców, prawdopodobnie na jego polecenie. Co więcej, że o tym nielegalnym nagrywaniu wiedziała prokuratura, ale, wbrew prawu, nie poinformowała o tym sądu i nie wystąpiła o jego zgodę. Innymi słowy, Giertych został przez Chrabotę zdemaskowany jako peowski Falenta, tylko mniej od tamtego skuteczny, bo Falenta nagrał materiały, które wstrząsnęły polską polityką, a giertychowy Mraz niczego ciekawego nie dostarczył, nawet o jedzeniu ośmiorniczek.

Dodajmy, że nieco wcześniej ta sama „Rz" zamieściła prawniczą „analizę" zarzutów postawionych przez prokuraturę Marcinowi Romanowskiemu – piszę „analizę", bo wynikało z niej, że dokument, na którego podstawie Sejm zgodził się na aresztowanie byłego ministra, jest bublem i stertą nonsensów!

Wniosek oczywisty – Chrabota to kolejny ukryty pisowiec i słusznie wskazał go Giertych jako cel swym internetowym „szturmowcom". Tylko… Tylko że właścicielem „Rzeczpospolitej" jest Alex Soros. A skoro to on dał pisowcowi Chrabocie „przykrycie" – to i Soros jest pisowcem. No, a jak PiS ma wśród swych agentów takiego sponsora jak Soros, to cały manewr z odebraniem przez PKW subwencji traci sens… ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Przyjaźnie i przymierza

Wbrew potocznym wyobrażeniom powierzchownego realizmu przyjaźń między narodami istnieje. Są państwa, które niechętnie wchodzą ze sobą w konflikty. Piękny przykład to relacje Polski i Węgier. Nasza przyjaźń była najbardziej widoczna, gdy nasze polityczne drogi się rozchodziły. Po pierwszej wojnie światowej Polska znalazła się w sposób naturalny w obozie wersalskim, wspólnie z państwami Małej Ententy, które dokonały rozbioru Węgier. Z Rumunią mieliśmy wręcz sojusz, ale Polska nigdy nie uznała traktatu w Trianon.

W czasie drugiej wojny światowej Węgry znalazły się po stronie Niemiec, ale w latach 1939–1940 (a i później) zachowały się z imponującą lojalnością wobec Polski, np. odmawiając Niemcom tranzytu wojskowego w czasie kampanii wrześniowej.

Przyjaźń jednak jest jedynie formą umiaru, z zasady nie narusza pierwszeństwa interesów w polityce państw, a szczególnie interesów bezpieczeństwa. Nie wynika to bynajmniej z przyziemnej „interesowności", ale ze świętej odpowiedzialności państw za społeczeństwa, które reprezentują, za które ponoszą suwerenną odpowiedzialność. Piszę „społeczeństwa" świadomie, w sensie norwidowskim, choć oczywiście chodzi o narody. My jednak często zapominamy, że naród to nie hipostaza różna od ludzi, ale przeciwnie, naród – choć jest większy od poszczególnych pokoleń – żyje we wspólnotach, rodzinach i ludziach, które go tworzą i za nie, za ich życie, odpowiada.

Od przyjaźni należy też odróżniać „przyjaźń jednostronną", czyli po prostu – polityczną naiwność. Wiarę, że za nasze bezpieczeństwo będą odpowiadać inni, podczas gdy oni mają swoje własne obowiązki. Być może prezydentura Donalda Trumpa przyniesie nam geopolityczne problemy, trzeba to brać pod uwagę. Ale z pewnością może otworzyć nowy etap przyjaźni polsko-amerykańskiej, bo to, co jest w tej chwili – trudno przyjaźnią nazwać. ©℗

eprasa.pl 920a274a11

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Komisja Europejska raportuje...

KE wydała z siebie raport na temat praworządności w krajach unijnych. Dokument wyraża głębokie zaniepokojenie ponurą sytuacją w Italii. Spostrzeżenia i przestrogi jeżą włos na głowie.

Reasumując: poważnie zagrożone są wolność i niezależność dziennikarzy mediów publicznych, szczególnie radia i telewizji RAI. Przeprowadzana reforma wymiaru sprawiedliwości może godzić w niezależność sędziów i prokuratorów. Planowane reformy konstytucyjne budzą niepokój o ich zgodność z prawem unijnym i zasadami demokracji. Słowem, na razie pełzający autorytaryzm, ale zmierzający ku dyktaturze.

Już zamierzałem pakować manatki i uciekać, gdzie oczy poniosą przed powracającym faszyzmem, ale coś mnie tknęło. Przyjrzałem się monstrualnym przypisom, w których twórcy raportu wymieniali źródła swoich porażających informacji. Okazuje się, że raport pełnymi garściami czerpał informacje od ludzi i organizacji związanych z opozycją, ze swej natury bardzo niechętnych obecnemu prawicowemu rządowi. A jeśli chodzi o wymiar sprawiedliwości, to pochodziły z totalnie zdegenerowanych zaangażowaniem politycznym Najwyższej Rady Sądownictwa i Narodowego Stowarzyszenia Sędziów, które bardzo obawiają się proponowanych przez rząd reform i utraty politycznych wpływów.

Swoją drogą ciekawe, czemu Komisji Europejskiej przez lata niczym nie wadziły bezeceństwa włoskich sędziów i prokuratorów, np. setki procesów wytaczanych politykom zupełnie bezpodstawnie, najczęściej tuż przed wyborami. Co poza tym uderza, raport w swojej wymowie całkowicie pokrywa się z „tezami" lewicowej opozycji. Jest więc, jak mawiają futbolocentryczni Włosi, wejściem wysoko uniesioną nogą we włoskie spory polityczne.

Czerpanie wiadomości z drugiej ręki nie jest chyba najlepszym sposobem badania rzeczywistości i można się przy tym nieźle wygłupić. Wyznaje jeden z autorów Onet: „Spacerowanie w tłumie po Barcelonie, Paryżu, Berlinie czy Londynie jest dla mnie moralną mordęgą. Zresztą nigdy tam nie byłem". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 920a274a11

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

HIPNOPOLECAJKA NIE DLA KAŻDEGO

Jeśli duchowość, to tylko niestandardowa. Celebryci uwielbiają sięgać po wymyślne metody radzenia sobie z problemami. Pisarka Blanka Lipińska wyznała, że za namową swojej wieloletniej terapeutki zdecydowała się na hipnozę. Okazało się, że hipnotyczny trans był strzałem w dziesiątkę. – Miałam dzisiaj sesję hipnozy i powiem wam tak. Jeżeli ktoś z was ma ciężary do przepracowania – a każdy z nas ma ciężary – tylko jedni zdają sobie z tego sprawę, a inni nie. Naprawdę serdecznie polecam wam dobrych, sprawdzonych terapeutów, którzy również pracują w hipnozie. Dzisiaj spotkałam siebie sprzed 35 lat i to było naprawdę coś niesamowitego – relacjonowała Lipińska na Instagramie. – Nie pierwszy raz spotkałam siebie z czasów, kiedy byłam dzieckiem. Natomiast dzisiaj przepracowałam ogromną traumę, która była ze mną od prawie 35 lat, i czuję się tak fantastycznie, że postanowiłam się z wami tą dobrą energią na noc podzielić – kontynuowała. Jeden z internautów poprosił o namiar na terapeutkę, z którą współpracuje celebrytka. W odpowiedzi zaznaczyła, że specjalistka „nie jest dla wszystkich". – Powiem to kolejny raz. Moja terapeutka nie jest dla wszystkich. To nie jest osoba, której dane mogę wam tak po prostu udostępnić. Do niej trafisz tylko przez rekomendację. Nikogo lepszego niż ona nie znam, więc nie pytajcie mnie o inne polecajki – podkreśliła Blanka. Czyli to taka terapeutka dla wybranych. Może to i lepiej.

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/JODYN/EAST NEWS

DUCHOWE RÓŻNOŚCI

Skoro o duchowości i takich tam. Wokalistka Blanka Stajkow, która odbywa właśnie swoje wakacyjne tournée, zdradziła w jednym z wywiadów, co zawsze ma w swojej garderobie przed wyjściem na scenę. – Mam bardzo dużo wody mineralnej, bo ja się śmieję, że zawsze piję jak wielbłąd przed występem. Wydaje mi się, że jest to też troszkę przez stres – po prostu zasycha mi w gardle, więc zawsze bardzo dużo piję wody – opowiedziała Plejadzie. Dopytywana, czy ma sprawdzone metody na to, jak poradzić sobie z przedwystępową tremą, wskazała: „Ashwagandha zdecydowanie. Chyba też taka krótka medytacja przed samym wyjściem... i modlitwa. To koncentruje". Pomieszanie z poplątaniem. Ale – jak to się mówi – ogranicza nas tylko nasza wyobraźnia.

DARCIE TWARZY W RINGU

Wróćmy na ziemię. Taką walkę chcieliby chyba zobaczyć wszyscy. Aktywistka-celebrytka Marianna Schreiber wyzwała na pojedynek aktywistkoaborcjonistkę Martę Lempart. Iskrą na prochu Marianny było wulgarne, obrzydliwe wystąpienie Lempart wygłoszone podczas wiecu przed Sejmem. W nagraniu, które Schreiber opublikowała w serwisie X, uderza teatralnie w zdjęcie Lempart. „Wkurzyłaś mnie i prędzej czy później się spotkamy. Szykuj inne argumenty niż darcie twarzy" – napisała. Lempart podejmie rękawicę? – Ja w ogóle nie wiem, jak ona wygląda – stwierdziła w odpowiedzi liderka tzw. Strajku Kobiet w programie „Onet Rano". Działaczka przyznała, że nie widziała nagrania, i przypomniała incydent sprzed kilku lat. – To jest homofobka. Ta dziewczyna, na którą ona szczuła, to była naprawdę jakaś nastolatka z tęczową torbą. Wrzuciła jej zdjęcie na Twittera i napisała coś tam, że „won z mojego miasta". To było okropne absolutnie – oburzała się Lempart, w której ustach sformułowanie „won" brzmi niemal jak zachęta (przyzwyczaiła nas bowiem do okrzyku „wypierd...ć"). – Ona była żoną polityka wtedy, rozumiem, że teraz jest byłą... I tak sobie myślę, co trzeba mieć w głowie, żeby coś takiego robić, to była młoda osoba. No, ale oni tacy są, to jest prawica – oceniła. OK, może i kariera Marianny Schreiber poszła ostatnimi czasy w dość dziwnym kierunku, ale jednak wulgarna Lempart jest ostatnią osobą, która powinna recenzować kogokolwiek.

PRACA NAD GŁOWĄ

Pewnie wielu już zapomniało, ale minionej jesieni polskim Internetem wstrząsnęła Pandora Gate. Wyszło na jaw, że dawny idol internetowej dzieciarni – niejaki Stuu – może mieć na sumieniu czyny o charakterze pedofilskim. W ramach wielkiej czystki dostało się po głowie jego byłemu już przyjacielowi, Marcinowi Dubielowi, który rzekomo miał wiedzieć o działalności Stuu. W efekcie Dubiel z Internetu zniknął. Tymczasowo. Niedawno postanowił zabrać głos po kilkumiesięcznej nieobecności. W relacji na Instagramie przyznał, że przez ostatnie miesiące nagrał tysiące filmików, jednak zostały one tylko na jego telefonie. Influencer odpowiedział jednej z fanek na pytanie: „Kiedy do nas wrócisz na stałe? Kiedy filmy na YouTube?". – Nie wiem, jak będę miał wenę, to coś dodam, ale przestałem się już oszukiwać, że na pewno coś się wydarzy, bo najważniejsza w sumie dla mnie jest aktualnie praca nad głową, bo mi się głowa trochę zepsuła – wyznał. Dubiel zaznacza, że Pandora Gate mocno dała mu się we znaki. – Tu się wszyscy hejterzy ucieszą. No więc jestem od dwóch miesięcy na antydepresantach, ale czuję się już zaskakująco lepiej, więc może coś będę dodawał, a może nie. To się okaże – podsumował. Znając potrzebę uwagi internetowych celebrytów, można stwierdzić, że poprawna jest ta pierwsza wersja. ©℗

eprasa.pl 920a274a11

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jako iż zrobili to już niemal wszyscy, to i również my chcielibyśmy zabrać głos w sprawie skandalicznej wypowiedzi Przemysława Babiarza. Przypomnijmy: komentator podczas uroczystej, świeckiej inauguracji igrzysk olimpijskich stwierdził, iż przesłanie piosenki Johna Lennona „Imagine" to „komunizm, niestety".

Przede wszystkim: Dlaczego niby „niestety"? Nawet jeśli to komunizm, to idea była słuszna, iż przypomnijmy, że PRL, a także wszystkie inne reżimy powszechnie uważane za komunistyczne – czyli np. Korea, Kuba, ZSRS itd. – to wcale nie był prawdziwy komunizm, niestety.

Prawdziwy komunizm jest to – przypomnijmy fakty – system, w którym wszystko jest prawem, a nie towarem, i każdy ma wszystko, iż wszystko mu się należy. Gdzie nie ma nierówności, nie ma niesprawiedliwości społecznej i nic nie trzeba robić.

Nie ma też of kors katofashysmu, tego kraju, granicy na Odrze itd. – a więc wszystkich tych rzeczy, do których przywiązany swoim prostym umysłem jest przeciętny prawak. Dlatego też wokół słów Babiarza, a następnie jego – skądinąd słusznego zawieszenia – zapanował taki rwetes. Po prostu prawica jak zawsze nie ogarnęła, że ktoś może mieć inne zdanie, inne poglądy i że krytyka komunizmu może komuś sprawić przykrość i wywołać dyskomfort.

Wogóle to jeszcze słowo o organizacji programu artystycznego na otwarcie igrzysk i odwagi, którą wykazali się jego twórcy. Doprawdy, w 2024 r., w czasie szczytowych wpływów Kościoła katolickiego w Europie Zachodniej, w dobie rosnących postaw klerykalnych i masowych nawróceń takie zabawy symbolami świadczą o niezwykle trafnym zdiagnozowaniu sytuacji społecznej oraz niesamowitej wręcz odwadze. Zwłaszcza w obliczu rosnących wpływów Świętej Inkwizycji.

Ale też zauważmy, iż nie tylko o kwestie religijne tu chodzi, lecz także o pewne ironicznie twórcze podejście do jednego z najbardziej rozpoznawalnych dzieł współczesnej popkultury, a więc o „Ostatnią wieczerzę" pędzla Leonarda DiCaprio.

Przeanalizujmy to na dwóch płaszczyznach: po pierwsze, jeśli chodzi o krytykę antropocentryzmu w Kościele. Na oryginalnym obrazie znajdują się wyłącznie mężczyźni. A w paryskiej inscenizacji zwrócono uwagę na problem nieobecności osób queer na kościelnych stanowiskach.

Po drugie: znowu prawaki xD – nie mogli znieść, iż ktoś podniósł rękę na tak klasyczne dzieło jak „Ostatnia wieczerza". W tych zakutych wąsatych łbach nie mieści im się prawo do interpretacji, dekonstrukcja czy prawo do cytatu. Nic więc dziwnego, iż wszyscy naraz poczuli się obrażeni, nawet prawaki w Ameryce. Jesteśmy serio pod wrażeniem, iż wkurzyć tak naraz prawaków na całym świecie to jednak trzeba umieć. Autorzy konceptu inauguracji to jednak najwyraźniej prawdziwi fachowcy są. Ciekawe, kogo będą chcieli obrazić w ceremonii zamknięcia. Jakieś pomysły? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Będziemy tylko zamykać

Donek, ty to masz łeb!
Wiem, Michał, wiem. A konkretnie co masz na myśli?

Z tym Babiarzem. No normalnie mistrzostwo, ten twój wpis.
No wiem.

Tak napisać, żeby nic z tego nie wynikało, to tylko ty tak umiesz.
No już nie przesadzaj, Mateusz też tak umie.

Oj, ale w końcu twoja szkoła. Był twoim asystentem. Ale tak to napisałeś, że wszystko można było zrobić: przywrócić, nie przywrócić, zwolnić, rozstrzelać...
Daj spokój, w końcu my jesteśmy ludzkie pany. Nikt żadnych rozstrzelań robić nie będzie, na razie przynajmniej. Będziemy tylko zamykać. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wolność słowa nie ma nic wspólnego z babiarskimi komentarzami".

MAGDALENA FILIKS, *posłanka KO, na portalu X, po zawieszeniu dziennikarza Przemysława Babiarza w TVP*

eprasa.pl 920a274a11

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy", planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy"
przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy" jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym,** bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stawał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy".

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisicki
Redaktor Naczelny

eprasa.pl 920a274a11

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy

ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer: +48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:
Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:
Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:
Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:
Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl 920a274a11

Paweł Chmielewski

Inauguracja igrzysk olimpijskich była jawną kpiną z chrześcijan i naturalnego porządku. Organizatorzy wiedzieli, że będą bezkarni: chrześcijanie nie mają dziś na Zachodzie żadnej realnej reprezentacji politycznej, a część hierarchów Kościoła robi wiele, by religię ośmieszyć

Dlaczego progresiści szydzą z katolików

Na kilka dni światowe media zdominowała dyskusja o otwarciu igrzysk olimpijskich w Paryżu. Nie zdarza się to często. Organizatorzy mogą sobie pogratulować „sukcesu": dzięki bezprecedensowemu w historii tej imprezy prostactwu, chamstwu i wyuzdaniu zrobili wokół inauguracji gigantyczny szum. Trochę żal normalnych Francuzów, którzy muszą się dziś wstydzić za swoje liberalne „elity".

Wnuczka Jeana-Marie Le Pena, Marion Maréchal, napisała, że poprzez olimpijski festiwal ohydy „to nie Francja mówiła, ale lewicowa mniejszość gotowa na każdą prowokację". Niezawodny Tomasz Lis ogłosił wprawdzie, że inaugurację krytykują głównie „katokretyni", ale reakcje nad Sekwaną nie potwierdzają tego osądu. Zażenowany był np. francuski filozof inspirujący się powojenną myślą komunistyczną, Żyd (a więc na pewno nie „katokretyn") Alain Finkielkraut. Stwierdził on, że ceremonia była „bardziej obsceniczna i konformistyczna zarazem" nawet od Eurowizji. Z kolei otwarcie komunistyczny i antyklerykalny polityk Jean-Luc Mélenchon stwierdził, że spektakl był obraźliwy i bezsensownie kpił z chrześcijaństwa.

FETOWANIE ZŁA

Czy kpiny były jednak rzeczywiście zupełnie bezsensowne? W słynnej pracy „Rewolucja i kontrrewolucja" brazylijski myśliciel katolicki Plinio Corrêa de Oliveira pisał, że celem procesu rewolucyjnego – procesu niszczenia chrześcijańskiej tradycji – jest po prostu chaos. Nie ma tu nic

eprasa.pl 920a274a11

„Ostatnia wieczerza" została na ceremonii otwarcia igrzysk w Paryżu sparodiowana przez środowiska LGBT FOT. YOUTUBE.COM/@THEEXPRESSTRIBUNE

budującego: od wystąpienia Marcina Lutra, przez rewolucję francuską, do postmodernizmu – wszystko to służy wyłącznie destrukcji. Inauguracja igrzysk olimpijskich w Paryżu była tego rzeczywiście dobrym przykładem: zło fetowane dla samego zła. Dyrektor artystyczny olimpiady, 42-letni homoseksualista Thomas Jolly, zrealizował jednak również taktyczne cele swojego środowiska, dla wszystkich jasne: pokazać całemu światu, kto rządzi dziś we Francji, a szerzej – w ogóle na Zachodzie; poniżyć wyznawców Jezusa Chrystusa i udowodnić, że są politycznie bezsilni, to znaczy, że nawet kopani i wyśmiewani i tak się nie odgryzą.

Czy Jolly się pomylił? Powie ktoś, że tak, bo przecież posypała się ostra krytyka; media społecznościowe zostały wprost zalane różnymi oświadczeniami i głosami oburzenia. Francuski episkopat wyraził ubolewanie z powodu wyszydzenia ostatniej wieczerzy, czyli momentu ustanowienia Najświętszego Sakramentu. To samo zrobili biskupi amerykańscy, a w Polsce np. abp Marek Jędraszewski; negatywnie zareagowali nawet biskupi niemieccy. W obronie tradycji chrześcijańskiej stanęła też cała masa polityków, działaczy, biznesmenów.

To wszystko prawda. Tylko co z tego wynika? Czy rewolucyjni prowokatorzy uznali, że muszą się tym naprawdę przejąć? Rzecznik igrzysk Anne Descamps stwierdziła, że „bardzo jej przykro", jeżeli ktoś poczuł się urażony. Sam Jolly ogłosił, że „nie chciał nikogo obrazić", a podobieństwo skandalicznej queerowej inscenizacji do „Ostatniej wieczerzy" Leonarda da Vinci było jakoby przypadkowe, bo chodziło o inny obraz. Chyba nikt nie uznał tych przeprosin za przekonujące; przeciwnie – wielu odczytało je jako szczyt hipokryzji i kolejne szyderstwo. Jest przecież zupełnie oczywiste, że inauguracja miała obrazić chrześcijan; a nawet jeżeli rzeczywiście nawiązano do obrazu „Uczta bogów" Jana van Bijlerta, to przecież do „Ostatniej wieczerzy" również, choćby dlatego, że dzieło Holendra jest inspirowane tym drugim. Zresztą stojąca w centrum inscenizacji lesbijska didżejka Barbara Butch, znana w kręgach LGBT z walki z „grubofobią", pisała w social mediach, że spektakl był… „nowym gejowskim testamentem". Dopiero później zaczęła twierdzić, że nie była wcale Jezusem, tylko Apollonem.

Z innych głęboko patologicznych scen inauguracji igrzysk nikt nawet nie próbował się tłumaczyć: prezentowanie poobcinanych głów i fontann krwi tryskających z ciał zdekapitowanych arystokratów to zbyt wyraźna apologia rewolucyjnego mordu, by próbować ją poniewczasie przedstawiać jako coś innego.

„WARTOŚCI" ZRODZONE Z NIENAWIŚCI

Thomas Jolly w przekazanej mediom apologii inauguracji powiedział jednak również kilka słów głęboko prawdziwych. Oświadczył mianowicie, że jego zasadniczym celem było stworzenie ceremonii, która daje wyraz „wartościom republikańskim, to znaczy wolności, równości i braterstwu".

I tak właśnie było – wymienione „wartości" rewolucyjnej republiki Francuzów zrodziły się przecież z najgwałtowniejszej nienawiści i morza przelanej krwi. To podczas rewolucji francuskiej doszło do pierwszego w dziejach ludzkości metodycznie zaplanowanego i przeprowadzonego ludobójstwa. Metody, które w czasie drugiej wojny światowej stosowali na masową skalę Niemcy, opracowali Francuzi. Słynny abażur z ludzkiej skóry znaleziony w niemieckim Buchenwaldzie to nic nowego. Już wcześniej rewolucjoniści we Francji robili spodnie ze skóry zdzieranej z zabitych chrześcijan w Wandei. Rewolucyjne hasło „Liberté, égalité, fraternité", na które powołał się Jolly, miało początkowo jeszcze jeden człon: „ou la mort" – „albo śmierć". Śmierć, którą rewolucjoniści zadawali swoim przeciwnikom chętnie i na najbardziej barbarzyńskie i okrutne sposoby. Nie robiono tego w jakimś dzikim szale, bynajmniej. Źródłem francuskich zbrodni była wyrachowana nienawiść do wszystkiego, co święte. Dobitnie i szeroko opisano

eprasa.pl 920a274a11

to w słynnej „Czarnej księdze rewolucji francuskiej", a podłoże ideowe mordów znakomicie przedstawił francuski badacz Xavier Martin w książce wydanej w Polsce pt. „Wolter niepoznany. Ukryte strony oświeceniowego humanizmu". Wolność, równość, braterstwo to tak naprawdę rozpusta, pogarda i obrzydliwa arogancja samozwańczych elit. Czyli dokładnie to, co widzieliśmy na inauguracji igrzysk.

Niestety, choć czytelnicy „Do Rzeczy" doskonale zdają sobie z prawdziwej natury „wartości" rewolucyjnych, to większość chrześcijan i konserwatystów na świecie – nie. Gorzej; te wartości uważają za słuszne i żyją w zgodzie z nimi. Powszechna akceptacja dla ideowych podstaw buntu z 1789 r., który ufundował dzisiejszy liberalny „porządek" Zachodu, jest zasadniczą przyczyną sukcesów progresistów i klęsk chrześcijan. Naprawdę dobrze się uśmiałem, gdy trafiłem na wyrazy krytyki, które pod adresem inauguracji olimpiady skierował abp Vincenzo Paglia, przewodniczący Papieskiej Akademii Życia. Według Paglii paryżanie obrzucili błotem… „ideał braterstwa". Nie o samego Paglię tu chodzi, bo to człowiek bardzo przebiegły i dobrze wie, skąd wieje wiatr. Odbiorcy takich słów biorą to jednak na poważnie, sądząc, że można walczyć z liberalizmem w imię liberalizmu. Postawa tego rodzaju jest absolutnie powszechna.

Z krytyką inauguracji igrzysk wystąpił m.in. multimiliarder Elon Musk. Ten sam, który twierdzi, że inspiruje się naukami Chrystusa. Musk jest tak bardzo zajęty obroną chrześcijaństwa, że przed wypisaniem słów oburzenia na X.com zapomniał zmienić swoje zdjęcie profilowe, które przedstawia go w halloweenowej zbroi Bafometa, na której widnieje odwrócony krzyż.

Inny przykład: Mateusz Morawiecki. Grzmiał na Facebooku o „obrzydzaniu" olimpiady przez queerowych antychrześcijańskich organizatorów. Nie tak dawno głosował jednak za ustawą o finansowaniu z naszych podatków mrożenia ludzkich zarodków i przekonywał, że „zawsze to popierał". Nie wspomnę już o krytycznych słowach bp. Emmanuela Gobilliarda, przedstawiciela Watykanu na olimpiadzie; tego samego Watykanu, który angażuje się za pontyfikatu Franciszka w umacnianie relatywizmu religijnego i błogosławienie par homoseksualnych.

KOLABORACJA PRAWICY

Oto obrońcy chrześcijańskiego ładu i porządku, obrońcy, którzy wyznają zarazem grzechy główne rewolucji: wypaczoną wolność słowa i granie satanistyczną symboliką (Musk); rzekome prawo do gwałcenia natury i niszczenia życia (Morawiecki); relatywizm religijny (Gobilliard).

Katolicy, którzy roją sobie, że będą pokojowo koegzystować ze swoimi przeciwnikami, zostaną ścięci na gilotynie – prawdziwej, jak 200 lat temu, albo medialnej i społecznej, jak dzieje się to dziś

Ich reakcje przypomniały mi głośną sprawę z 2013 r., kiedy w paryskiej katedrze Notre Dame życie odebrał sobie 78-letni historyk Dominique Venner. Chciał w ten sposób zaprotestować przeciwko homoseksualnym „małżeństwom" i masowej imigracji – w imię chrześcijaństwa. Tak bardzo bronił krzyża, że aż popełnił grzech śmiertelny… Cóż, oto prawdziwi „konserwatyści" – walcząc karykaturalnie o prawa Boga, tylko konserwują rewolucję.

Bardziej autentyczny w swojej krytyce inauguracji olimpiady był może Donald Trump, nazywając spektakl „hańbą". Byłemu prezydentowi USA można zarzucać bardzo wiele (promocja LGBT w dyplomacji…), ale trudno zaprzeczyć, że jako jeden z nielicznych polityków naszych czasów doprowadził do wielkiego przełomu na rzecz ładu naturalnego, obsadzając Sąd Najwyższy ludźmi, którzy odrzucili później ludobójczy wyrok Roe v. Wade w sprawie aborcji. Trump to jednak na dzisiejszym Zachodzie wyjątek, nie reguła.

Problem kolaboracji intelektualnej „prawicy" z siłami rewolucyjnymi nie jest oczywiście nowy. Dam drastyczny przykład. Sławny amerykański arcybiskup Fulton Sheen to jeden z najzagorzalszych krytyków komunizmu i laickości. Był jednak absolutnie zachwycony amerykańską Deklaracją niepodległości. Pisał teksty i wygłaszał przemówienia, w których wychwalał wartości tego dokumentu, widząc w nim wyłącznie samo dobro: gwarancje ludzkich wolności, szacunek dla Boga… Nie dostrzegał, że w deklaracji słowo „Bóg" pada tylko raz, a co więcej – nie jest to bynajmniej Bóg chrześcijan, ale quasi-masoński „Bóg natury". Nie widział, że pierwsza poprawka do konstytucji USA gwarantuje nie tylko swobodę religii, lecz także swobodę ateizmu, a to musi mieć w konsekwencji tylko jeden skutek: przekreślenie prawdy i dyktaturę relatywizmu. Jeżeli nie ma Boga, to nie ma prawdy. A jeżeli nie ma prawdy, to jak ustalić prawa? Zostaje tylko jedno kryterium: kryterium siły. Doskonale obnażył to Platon w „Państwie" i „Gorgiaszu", pokazując, że bez Boga jedynym „prawem" są okrucieństwo i przemoc. Nic się od tego czasu nie zmieniło poza tym, że bliżej nieznany Platonowi Bóg objawił się w Jezusie Chrystusie.

Wymieniłem abp. Sheena, jednego z najmężniejszych ludzi Kościoła XX w., żeby pokazać, że liberalne dogmaty przyjmuje się często niemal niepostrzeżenie. Jeżeli spotkało to nawet abp. Sheena, to co powiedzieć o wszystkich bez wyjątku papieżach po Soborze Watykańskim II? Pomijam Franciszka, bo w przypadku autora encykliki poświęconej „ludzkiemu braterstwu" („Fratelli tutti", 2020) to zbyt oczywiste. Rewolucyjne ideały przyjmowali za dobrą monetę Paweł VI, Jan Paweł II czy do pewnego stopnia również Benedykt XVI. Paweł VI wprost roił o czasach odnowy, gdzie „religia Boga" (katolicyzm) spotka się z „religią człowieka" (rewolucja) i dojdzie do jakiejś wspaniałej syntezy. Jan Paweł II właśnie w duchu religijnego relatywizmu organizował tak skandaliczne wydarzenia, jak spotkanie światowych religii w Asyżu w 1986 r. Dwa lata wcześniej Stolica Apostolska i Włochy podpisały konkordat, gdzie zacementowano laickość Republiki Italii. Stało się to wzorem dla innych konkordatów na całym świecie.

DLACZEGO BY MIELI Z NAS NIE SZYDZIĆ?

Kardynał Gerhard Müller, komentując inaugurację olimpiady, zestawił „wartości republikańskie" rewolucji z wielkimi

eprasa.pl 920a274a11

totalitaryzmami XX stulecia. Przesada? Bynajmniej, bo wszędzie podstawa jest ta sama: odrzucenie Boga, które kończy się rządami nagiej siły. Spójrzmy zresztą prawdzie w oczy: świat chrześcijański zawrzał gniewem, widząc, że w Paryżu szydzą z ostatniej wieczerzy. Ale dlaczego mieliby nie szydzić, skoro świat chrześcijański od dawna z milczeniem albo obojętnością przyjmuje, gdy w tym samym Paryżu – a także w Berlinie, Moskwie, Waszyngtonie i Warszawie – zabija się dzieci nienarodzone?

Doszliśmy do sytuacji, w której sumienia bardziej pobudza idiotyczny spektakl niż masowe dzieciobójstwo, zbrodnia jeszcze do niedawna surowo karana w całej Europie. Już jej nie karzemy. Więcej – przestaliśmy nawet mord prenatalny uważać za przestępstwo. Godzimy się z tym, bo tego wymaga liberalna „elita". Oto my – chrześcijanie Zachodu.

Poza tym jak możemy wymagać szacunku od swoich ideowych przeciwników, skoro sami się nie szanujemy? Z góry przepraszam, jeżeli zgorszę kogoś listą, którą tu przedstawię; te rzeczy dzieją się jednak naprawdę. Oto kilka bluźnierstw, które organizują w Kościele w Europie biskupi i księża.

Arcybiskup Paglia, ten sam, który ubolewał nad splugawieniem „wartości braterstwa", odchodząc do Rzymu z diecezji Terni, pozostawił po sobie fresk w prezbiterium. Kazał tam ukazać samego siebie jako półnagiego mężczyznę w niedwuznacznym uścisku z innym. Obaj, pośród innych golasów i homoseksualistów, szli do nieba, ciągnięci w sieci przez Jezusa.

W 2019 r. biskup austriackiego Innsbrucka, Hermann Glettler, pokazał w kościele krucyfiks z ukrzyżowaną żabą, która trzymała piwo i jajko. W tym samym roku w innej świątyni zaprezentował zegar, gdzie wskazówki zastąpiło ciało Pana Jezusa. Trzy lata później ten sam hierarcha w kolejnym z kościołów zawiesił nad ołtarzem fotografię półnagiego aktywisty transseksualnego. W następnym roku zaprezentował zawieszone nad ołtarzem zdjęcie świńskiego serca wepchniętego w prezerwatywę, co miało symbolizować Najświętsze Serce Pana Jezusa.

W tym roku we Włoszech, z okazji Wielkiego Postu, zorganizowano w kościele należącym do muzeum diecezjalnego w Carpi wystawę „Gratia plena" autorstwa ateistycznego artysty Andrei Saltiniego. Na jednym z obrazów Saltini pokazał ciało Zbawiciela zdjęte z krzyża, które jest wykorzystywane seksualnie przez mężczyznę. Na innym – Matkę Bożą w obcisłej zbroi, obmacywaną przez tłum ludzi. Wierni zaprotestowali, ale abp Elio Castellucci się nie ugiął. Bronił wystawy do końca.

Z kolei w lipcu tego roku w katedrze w Linzu w Austrii pokazano figurę Matki Bożej podczas porodu, ze wszystkimi intymnymi szczegółami. Zachwycali się nią katolicy liberalni, także w Polsce.

Co mają w głowach biskupi i księża organizujący takie publiczne bluźnierstwa? Czy wierzą w ogóle w Boga? Na myśl przychodzi postać francuskiego księdza Jeana Mesliera, który przez długie lata sprawował posługę, mając opinię dobrego i pobożnego kapłana. Po jego śmierci w 1729 r. odkryto, że napisał obszerną pracę pt. „Testament", gdzie wulgarnie lżył chrześcijaństwo i otwarcie deklarował ateizm. Takich Jeanów Meslierów jest dzisiaj chyba więcej, tyle że nie muszą się już nawet ukrywać.

A gdyby się komuś wydawało, że to tylko ten „zgniły Zachód", spieszę wyjaśnić: bynajmniej. U nas księża też szydzą z Boga, zarówno słowem, jak i obrazem. Jezuita Wacław Oszajca, który wyśmiewał się niedawno z procesji Bożego Ciała i porównywał obyczaje eucharystyczne katolików do kanibalizmu, albo jego współbrat Grzegorz Kramer, prezentujący obrazki z Maryją w tęczowych barwach i Jezusem w bluzie z Buddą.

Pewien uczony ksiądz profesor, Eligiusz Piotrowski, napisał z kolei książkę o zmartwychwstaniu, która ma dowodzić, że całe to zmartwychwstanie to tylko taka narracja literacka. Za tę pracę został nawet uhonorowany nominacją do Nagrody Tischnera.

Katolickie wydawnictwo WAM opublikowało niedawno w Polsce pracę niemieckiego księdza profesora (sic!) Martina Ebnera, który przekonuje, że kapłaństwo to ciężka historyczna pomyłka i należy je czym prędzej zlikwidować. I co? No właśnie – nic. Jako polska wspólnota religijna po prostu przyjmujemy wykwity Oszajcy czy Piotrowskiego, tak jak katolicy we Włoszech czy Francji przyjmują bluźnierstwa swoich biskupów. Nikt nie wyciąga konsekwencji.

Dlaczego ateista i gej Thomas Jolly nie miałby dla uciechy własnej i swoich kolesi kopać leżącego, skoro ten wyraźnie się o to prosi, a nawet zdaje się czerpać z nękania zadowolenie, bo – bity przez liberałów – ma się wreszcie za dobrego, nowoczesnego demokratę?

ZOSTAŁA TYLKO JEDNA DROGA

Co zrobić w tej sytuacji? I czy w ogóle da się coś zrobić? Cóż, da się, pod jednym warunkiem: że przestaniemy bawić się w politykę „konserwatywną", to znaczy konserwującą obecny status quo. Nie da się wygrać z rewolucją, używając jej narzędzi. „Ideały republikańskie", na których ufundowana jest również III Rzeczpospolita (bo jest przecież: czy ktoś skazał Nergala za bluźnierstwa? Albo zamknął warszawską restaurację, która szydzi z Matki Bożej? Nie – to „wolność"!), są dogłębnie zatrute. Kto po nie sięga, musi zginąć.

Katolicy, którzy grają w grę liberalnej lewicy i roją sobie, że będą pokojowo koegzystować ze swoimi przeciwnikami, zostaną ścięci na gilotynie – prawdziwej, jak 200 lat temu, albo medialnej i społecznej, jak dzieje się to dzisiaj. Trzeba pogodzić się z faktami: polityka „konserwatywna", którą od kilku dziesięcioleci prowadzą chadecja i centroprawica, całkowicie zawiodła. Jej jedynym osiągnięciem okazało się spowolnienie marszu nienawiści do chrześcijaństwa i niszczenia tradycyjnego porządku, ale zatrzymanie go jest tymi metodami niemożliwe. Chrześcijanie nie mają dziś na całym Zachodzie żadnego prawdziwego wsparcia politycznego. Niemal wszystkie państwa wyparły się Chrystusa w imię ideologii laicyzmu. Ma to swoje konsekwencje w takich chwilach jak tu opisywane. Wstawić się za świętościami mogą tylko działacze partyjni skompromitowani współpracą z liberalizmem. Nie ma to jednak żadnej siły sprawczej.

Potrzebne jest podjęcie pracy na rzecz restytuowania państwowości szczerze opartej na chrześcijaństwie, to znaczy takiej, która odrzuca rewolucyjny relatywizm i republikański agnostycyzm, zamiast tego głośno i dobitnie uznając, że jest tylko jedno źródło wartości – Bóg. Zadanie, owszem, trudne. Ale czy ktoś zna łatwiejszą drogę?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą PCh24.pl.

eprasa.pl 920a274a11

Antykatolicyzm we

Kacper Kita

Obsceniczna parodia „Ostatniej wieczerzy" na otwarciu igrzysk nie wzięła się znikąd. Ten rytualny akt przemocy symbolicznej wypływał z silnej we Francji wielowiekowej tradycji

Czy organizatorzy otwarcia igrzysk nie obawiali się, że obrażą uczucia religijne milionów ludzi? Na to pytanie odpowiedzialny za jego przygotowanie dyrektor artystyczny Thomas Jolly odparł na konferencji prasowej, że celem była „ceremonia z przekazem republikańskim: mamy prawo kochać się, z kim chcemy i jak chcemy". „Republikanizm" dla Polaka w takim kontekście może brzmieć enigmatycznie. W ustach Francuza to czytelne odwołanie do mającej ponad 200 lat tradycji uderzania w chrześcijaństwo w przestrzeni publicznej.

KULT PAŃSTWA ZAMIAST KULTU BOGA

Jednym z jej intelektualnych ojców wydaje się Jean-Jacques Rousseau, który sformułował koncepcję obywatelskiej religii republikańskiej na wzór antycznych kultów pogańskich. Genewski filozof w „Umowie społecznej" pisał: „Mylą się, mówiąc: republika chrześcijańska; obydwa te słowa wykluczają się wzajemnie. Chrześcijaństwo głosi jedynie poddaństwo i zależność. Duch jego zbyt sprzyja tyranii, by nie miała ona zawsze tego wyzyskiwać". Jego zdaniem w starożytności nie było wojen religijnych, którym sprzyja chrześcijaństwo jako uniwersalna religia wzywająca do skupienia się na osiągnięciu zbawienia po śmierci. Proponowany przez Rousseau republikański kult miałby koncentrować się na dobru państwa oraz współobywateli tu i teraz. Ze wspólnoty z zasady wyklucza wyznawców innych religii – „Ktokolwiek ośmiela się mówić – Poza Kościołem nie masz zbawienia – winien być wygnany z państwa". Za zdradę i „złamanie umowy społecznej" dopuszcza nawet karę śmierci.

Ideami Rousseau przesiąknięci byli liczni rewolucjoniści, tacy jak proponujący kult Istoty Najwyższej Robespierre czy rozwijający wizję religii republikańskiej Saint-Just. Masakry na zbuntowanej ludności Wandei, zabijanie tysięcy zakonnic i księży oraz inne akty przemocy podczas rewolucji były często uzasadniane walką z buntownikami lojalnymi wobec własnej wiary i Kościoła, a nie państwa. Kapłani byli zmuszani do przysięgi na wierność rewolucyjnej konstytucji, która miała mieć prymat nad religią.

SKĄD SIĘ WZIĘŁA LAICKA REPUBLIKA?

Katolicyzm przetrwał jednak. Przez cały XIX w. był we Francji ważną siłą społeczną, często postrzeganą przez rozmaitych postępowych intelektualistów jako główny wróg. Antykatolicka przemoc powracała – jak podczas Komuny Paryskiej w 1871 r. Komunardzi, którzy chcieli podjąć na nowo dzieło wielkiej rewolucji, ogłosili rozdzielenie Kościoła od państwa, a następnie aresztowali arcybiskupa Paryża Georgesa Darboya. Choć abp Darboy z chrześcijańskim miłosierdziem wzywał do nierozstrzeliwania wziętych do niewoli komunardów, to ci nie okazali mu łaski i zamordowali arcybiskupa, podobnie jak pojmanych dominikanów, jezuitów i świeckich nauczycieli dominikańskiej szkoły.

Trwałe i systemowe prześladowania wróciły, gdy po 1879 r. siły antykatolickie zdobyły pełnię władzy politycznej po odejściu prezydenta Mac Mahona. Rozpoczęto szeroko zakrojoną akcję tępienia katolicyzmu w przestrzeni publicznej. Priorytetem była edukacja – przez wieki księża i zakonnicy odgrywali kluczową rolę w kształceniu młodzieży, a postępowcy wierzyli w inżynierię społeczną i wychowanie społeczeństwa w duchu ideałów oświecenia. Dlatego krok po kroku pozbawiano duchownych obojga płci stanowisk, a potem po prostu zakazywano im pracy w szkołach i na uniwersytetach. Zakazano też krzyży, symboli chrześcijańskich i modlitw w szkołach. Minister edukacji Jules Ferry – zaangażowany wolnomularz i zwolennik „szkoły neutralnej światopoglądowo" – otwarcie deklarował nauczycielom, że ich zadaniem jest przekazywanie uczniom etyki Kantowskiej. Systemowo kształcono „postępowych" nauczycieli, nazywanych „czarnymi huzarami Republiki".

Krzyże i symbolikę katolicką usuwano także z urzędów i instytucji publicznych. Na miejsce pomników Matki Bożej często wprowadzano Mariannę – personifikację rewolucji. Święta chrześcijańskie zastępowały republikańskie – np. zdobycie

eprasa.pl 920a274a11

Francji

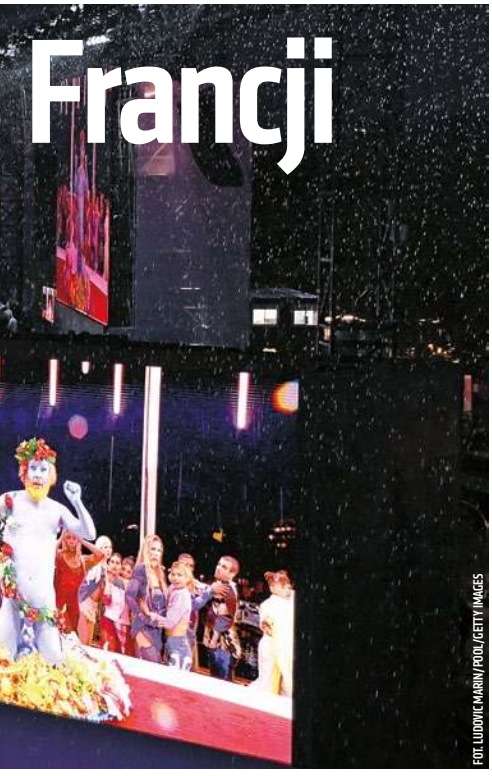

FOT. LUDOVIC MARIN/POOL/GETTY IMAGES

Bastylii 14 lipca zamiast czczonego jeszcze za Napoleona III Wniebowzięcia NMP 15 sierpnia. Wprowadzono nowy, rewolucyjny hymn – „Marsyliankę". Zmieniano nazwy ulic. Także cmentarze zostały zlaicyzowane, a chowanie w danym miejscu wyłącznie katolików uznano za sprzeczne z republikańską wolnością sumienia. Zamknięto wydziały teologiczne na uniwersytetach, a kleryków objęto obowiązkową służbą wojskową, by odciągnąć ich od powołania kapłańskiego. Gdzieniegdzie w imię „wartości republikańskich" zakazano nawet publicznego noszenia sutanny czy katolickich konwojów pogrzebowych. W końcu w imię „laickiego państwa" zamknięto nawet prywatne szkoły katolickie. Zdeterminowani rodzice, których było na to stać, opłacali swoim dzieciom katolicki internat w pobliskiej Belgii. Zakonnikom państwo zakazało nawet głoszenia kazań w kościołach. Zakonom takim jak jezuici, franciszkanie, dominikanie czy kapucyni Republika po prostu odbierała majątki, okradała ich i wyrzucała siłą duchownych na ulicę z ich domów.

ODDZIELENIE KOŚCIOŁA OD PAŃSTWA

Także świeccy katolicy byli od początku podejrzani – mogli być lojalni w pierwszej kolejności wobec wiary i Kościoła, a nie wobec państwa. Miejscem, w którym szczególnie się ich obawiano, było wojsko – wśród oficerów katolików i konserwatystów było i jest do dziś tradycyjnie sporo. Problem starał się rozwiązać gen. Louis André – także zaangażowany wolnomularz i antyklerykał. Gdy został ministrem wojny, za swoje główne zadanie uznał walkę z katolikami w wojsku. W tym celu stworzył rozbudowany system donoszenia przez oficerów na siebie nawzajem i szpiegowania ich. Zbierał i dokumentował informacje o tym, czy dany żołnierz jest katolikiem, chodzi na Mszę w niedzielę albo wyraża poglądy monarchistyczne lub nacjonalistyczne. Na tej podstawie André wstrzymywał awanse, a podobnych sobie wolnomularzy i wrogów katolicyzmu mianował na wyższe stanowiska.

Sprawa wyszła na jaw po czterech latach jego urzędowania i została nazwana „aferą fiszek". André podał się do dymisji, ale nie zmieniło to kierunku polityki. Już wcześniej Francja zerwała relacje dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską, a w 1905 r. przyjęta została słynna ustawa o laïcité i „oddzieleniu Kościołów od państwa". Nie tylko uchylono konkordat, lecz także uznano wszystkie świątynie za własność Republiki i poddano inwentaryzacji. Kościoły muszą być od tego momentu prowadzone przez organizacje kulturalne kontrolowane przez państwo. Wielkie kontrowersje wywołały próby „kontrolowania" zawartości tabernakulum, które doprowadziły do licznych starć między wiernymi a wysłanymi urzędnikami. Ostatecznie rząd zawiesił inwentaryzację w parafiach, w których opór był najsilniejszy.

ANTYKATOLICYZM WIECZNIE ŻYWY

Starcie między katolikami a antykatolikami trwało we Francji ponad 100 lat. Dziś powszechnie wiadomo, że „pierwsza córa Kościoła" jest krajem wyjątkowo mocno zsekularyzowanym. Warto przy tym pamiętać, że w znacznej mierze jest to skutek odgórnej i siłowej indoktrynacji społeczeństwa przez „oświecone" elity, a nie oddolnych procesów społecznych. Swoje dołożył także kryzys Kościoła.

Znany badacz i dyrektor w IFOP Jérôme Fourquet stawiał w głośnej książce „Francuski archipelag" tezę, że zanik „chrześcijańskiej matrycy" w XX w. był kluczowym procesem prowadzącym do rozpadu wspólnoty narodowej na liczne wysepki, a Sobór Watykański II przyczynił się do sekularyzacji jeszcze bardziej niż rewolucje i prześladowania. Wielu biskupów także przeszło na pozycje politycznej poprawności i skupienia się na walce z „rasizmem skrajnej prawicy".

Duża część elit zachowała jednak silny antykatolicki resentyment, czego ceremonia otwarcia igrzysk olimpijskich była kolejnym wyrazem. Poseł Zielonych Sandrine Rousseau (nazwisko symboliczne) świętowała „policzek dla obskurantystów".

Wojna kulturowa trwa, katolicyzm zachował pewne punkty oporu, a pomaga w tym widoczny gołym okiem fakt, że Republika ewidentnie nie radzi sobie w starciu z islamem. Rozbudowuje się ruch tradycjonalistyczny. Co roku więcej dorosłych Francuzów przyjmuje chrzest. Właścicielem CNews, która niedawno stała się największą stacją informacyjną w kraju, jest katolik Vincent Bolloré, który promuje prawicowe treści, a niedawno sfinansował film o powstaniu w Wandei. Przedmiotem głośnych w całej Francji kontrowersji był też posąg św. Michała Archanioła zabijającego smoka, ustawiony przed kościołem jego imienia w Sables d'Olonne w tejże Wandei. Sąd orzekł, że powinien być usunięty, bo narusza „laickość przestrzeni publicznej". Miejscowy burmistrz – katolik – zorganizował referendum, w którym 94,5 proc. mieszkańców opowiedziało się za pozostawieniem pomnika. Rada Stanu podtrzymała jednak decyzję sądu. W końcu osiągnięto kompromis – pomnik został przesunięty o kilka metrów na prywatną działkę, którą gmina przekazała w tym celu diecezji, ale nadal jest widoczny.

Historia Francji powinna być przestrogą dla Polski. U nas także widzimy dziś zdejmowanie krzyży w urzędach czy wypychanie chrześcijaństwa z przestrzeni publicznej. Ten przykład uczy też, że „neutralność światopoglądową" czy „świecką szkołę" można rozumieć dowolnie szeroko, a po każdym ustępstwie wobec rewolucjonistów pojawiają się kolejne żądania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

FOT. ADOBE STOCK

Katastrofa paryska

Rafał A. Ziemkiewicz

Europa pokazała na otwarciu igrzysk, że jest w schyłkowej fazie. To jak zaproszenie dla wrogów Zachodu, by zwiększyli wysiłki w wojnie cywilizacyjnej, którą od dawna prowadzą

Nawet najbardziej zagorzali krytycy wulgarnego i dekadenckiego widowiska, które wpletli Francuzi w ceremonię otwarcia igrzysk olimpijskich, nie doszacowują rozmiarów katastrofy, którą to stanowi. Poza bluźnierstwem, obrazą dobrego smaku i ideologicznym obłędem sprawa ma bowiem jeszcze jeden wymiar: geopolityczny. I mieć będzie, niestety, długofalowe skutki. Mówiąc krótko – w wojnie, którą prezydenci Chin i Rosji ogłosili przeciwko Zachodowi, dostali oni właśnie od Francji broń potężniejszą od hipersonicznych rakiet.

Chyba szkoda czasu na dowodzenie, jak ogromną siłę ma w dzisiejszym świecie obraz – wyrazisty, niosący emocje kadr, czasem wyostrzony do formy mema krótkim hasłem. Wystarczy sobie przypomnieć, jak skutecznie skruszono opór europejskiej opinii publicznej przed otwarciem na masową imigrację, rozpowszechniając zdjęcie martwego dziecka na tureckiej plaży z sugestią, jakoby padło ono ofiarą nieczułości państw bogatych na „dramat uchodźców". Obrazy, które posłała w świat Francja, mają moc porównywalną. A ceremonię otwarcia igrzysk, transmitowaną na cały świat, oglądały na żywo setki milionów ludzi na wszystkich kontynentach (kolejnym miliardom zaś będą w nieskończoność przypominane jej najmocniejsze fragmenty). Co więcej, najbardziej bulwersujące sceny, parodiujące w perwersyjno-dekadenckiej konwencji „Ostatnią wieczerzę", wpuszczali organizatorzy pomiędzy prezentacją kolejnych ekip sportowych i występów artystycznych znienacka, w taki sposób, by lokalni operatorzy transmisji nie byli w stanie ich pominąć czy ocenzurować. Ten manifest kulturowego upadku miał zostać wciśnięty w oczy i głowy całemu światu – i został.

OBURZENIE I SPRZECIW

Z jakim efektem? Nie trzeba być wielkim specjalistą od innych kultur, by zrozumieć, że krańcowo przeciwnym niż zachwyt, ekscytacja i chęć naśladowania, na co zapewne liczyli zaczadzeni ideologią woke autorzy tego żałosnego spektaklu. W istocie wszędzie – czy to wśród ludzi ukształtowanych przez konfucjanizm, buddyzm lub hinduizm, islam czy kulturę latynoską – dominować musiały dwa odczucia. Nie musimy zresztą tego zgadywać, bo już w pierwszych dniach odezwało się w świecie wystarczająco wiele głosów, także ze strony rządów i głów państw, jasno to pokazujących.

Uczucie pierwsze to oburzenie, w najłagodniejszej wersji – niesmak. Mniejsza o europejskich chrześcijan – my już przywykliśmy być obywatelami drugiej kategorii, których klasa panująca stale demonstracyjnie opluwa i prowokuje szarganiem naszych świętości. Ale obrazki z burdelu dla dziwadeł (jak sami się oni z dumą nazywają: „queer") musiały wzbudzić obrzydzenie i sprzeciw także w każdym muzułmaninie – Jezus jest przecież w islamie uważany za „czcigodnego proroka", jednego z zapowiadających nadejścia Mahometa. Brodaty, tłusty chłop z doszytymi damskimi piersiami, mężczyźni poprzebierami w damską bieliznę lub lateks, kobiety udające mężczyzn, wszyscy kręcący zadkami omalże przed twarzą 10-, 12-letniej dziewczynki to jawna obraza pojęć męskości i kobiecości, obojętnie, czy wyrażanej w filozofii poszukiwania równowagi pomiędzy „yin" a „yang" czy w kulcie macho. Wcześniejsza „wrzutka" w przekazie, pokazująca jako symbol miłości dwóch mężczyzn i kobietę zamykających się w jednoznacznym celu w garsonierze (przy czym obaj mężczyźni całują się namiętnie przed twarzą swej towarzyszki), również musiała wzbudzić w milionach widzów, którym obiecano widowisko sportowe, co najmniej absmak.

Ale niesmak, obrzydzenie czy oburzenie to jeszcze nic – wyemitowany z Paryża obrazek „oto jest dzisiejszy Zachód" po-

eprasa.pl 920a274a11

kazał przede wszystkim słabość i śmieszność dominującej niegdyś cywilizacji. Ci, którzy byli kiedyś silni, którzy dominowali nad resztą świata, którzy resztę świata, w powszechnym przekonaniu, obrabowali i na tym kolonialnym rabunku zbudowali swój dobrobyt, patrzcie – doszczętnie w tym dobrobycie się zdegenerowali, zgłupieli, zatracili nie tylko dawną siłę i zasady, lecz także nawet elementarne poczucie zdrowego rozsądku i przyzwoitości. Widzicie? To tylko zgraja zdegenerowanych ciot. Aż prosi się tam jechać, pogonić ich i odebrać ukradzione naszym przodkom bogactwa.

Ten fantastyczny propagandowy prezent dostają wrogowie Zachodu jak raz w momencie, gdy toczą z nim hybrydową wojnę. Niektórzy nie chcą tej wojny przyjmować do wiadomości, wolą mówić ostrożnie o „zaostrzającej się konfrontacji" czy „napięciu" między „krajami rozwiniętymi" a „globalnym południem". Mniejsza o nazwę – odkąd przywódcy Rosji i Chin ogłosili wspólny manifest (notabene: też podczas igrzysk olimpijskich, tylko zimowych), w którym otwarcie wezwali wszystkie państwa niezachodnie do wspólnego z nimi wystąpienia przeciwko narzucającej światu swą dominację i wyzyskującej liczne ludy cywilizacji Zachodu, nie ustają oni w pracy mającej na celu zbudowanie realizującego ten cel bloku politycznego.

CZEKAJĄC NA DOMINACJĘ

Jest to ukoronowanie procesu dobrze już opisanego w wielu książkach, m.in. w dostępnej w języku polskim pracy Joshui Kurlantzicka „Demokracja liberalna w odwrocie". Gdzieś do lat 70. ubiegłego stulecia cywilizacja zachodnia imponowała całemu światu (tym bardziej, im mniej kuszącą alternatywą dla niej stawał się sowiecki socjalizm). W każdym kraju – czy to azjatyckim, czy afrykańskim – wiedziano, że jedyną drogą do modernizacji i bogactwa jest naśladowanie wzorców zachodnich: trzeba budować wolny rynek i demokratyzować się, trzeba przyjmować zachodnią kulturę, kształcić młode pokolenia za Zachodzie lub podług zachodnich wzorców, integrować się z zachodnimi instytucjami. Potem trend zaczął się odwracać – i nie od razu zrozumiano, że np. klęska projektu westernizacyjnego w Iranie nie jest chwilowym cofnięciem się na jedynie możliwej drodze, ale początkiem nowej tendencji.

Obrazek wyemitowany przez Paryż mówi: ci, którzy kiedyś byli silni, doszczętnie się w dobrobycie zdegenerowali

Konfrontacyjny manifest Xi Jinpinga i Władimira Putina, po którym, miesiąc później, nastąpiło rzucenie Zachodowi zbrojnego wyzwania na Ukrainie, był dobitnym postawieniem kropki nad i. Nie tylko nie jesteśmy gorsi od Zachodu i nie musimy naśladować jego systemu politycznego i gospodarczego: jesteśmy lepsi, możemy i powinniśmy odwrócić światowy „porządek dziobania", zmienić hierarchię mocarstw i zdetronizować białego człowieka. Który – Bóg jeden może wiedzieć, na ile sam z siebie, na ile przy wsparciu agentur wpływu – jednocześnie sam zaczął na różne sposoby potwierdzać, że czuje się istotą schyłkową, wypierać się swoich dawnych wartości, nieustająco przepraszać i korzyć się przed kolorowymi (przypomnijmy sobie choćby sławne klękanie wymuszone przez ruch Black Lives Matter).

Mimo to, jak dotąd, marzenie Chin i giermkującej im Rosji o wielkim, spójnym bloku antyzachodnim dalekie jest od realizacji. Na niczym spełzły projekty wspólnej waluty krajów BRICS, konkurencyjnej wobec dolara – zbyt rozbieżne są ich interesy gospodarcze. Również z przyczyn kulturowych i historycznych uznanie przywództwa Chin pozostaje nieakceptowalne dla licznych krajów azjatyckich, z rosnącymi w siłę Indiami na czele. Mimo wszystko istnieje klej łączący społeczeństwa państw postulowanej koalicji: jest nim właśnie narastająca pogarda dla Zachodu i nieodłączna od niej wrogość, chęć odegrania się za wszystkie prawdziwe i urojone krzywdy doznawane niegdyś od kolonizatorów, a dziś od bezwzględnych w swej chciwości globalnych koncernów, w przytłaczającej większości działających z USA i Europy.

To pozwala Chinom i ich akolitom żywić nadzieję, że prędzej czy później dominacja nad światem przejdzie w ich ręce – trzeba tylko cierpliwie, krok po kroku zwalczać Zachód wszystkimi dostępnymi środkami. Jakkolwiek chcemy to nazywać – to jest wojna. A na wojnie narracja, która uzasadnia i usprawiedliwia jej prowadzenie, jest bronią co najmniej równie ważną jak bezpośrednie środki niszczenia – w tej kwestii całkowicie by się zgodzili Sun Tzu z Clausewitzem.

Narracja o zgniliźnie i zepsuciu Zachodu, eksponująca zarówno moralne prawo do pokonania go – czy to zbrojnie, czy to przez masowe osiedlanie się i przejmowanie „od środka" – jak i sugerująca łatwość, z jaką można to zrobić (możemy znaleźć do woli konkretnych przykładów w każdym medium rosyjskim), została więc za sprawą igrzysk olimpijskich wydatnie wzmocniona. Co ważne – została wzmocniona w społecznych „dołach", z nastrojami, z którymi muszą się liczyć rządzący. Większość z nich zresztą ma powody narrację tę umacniać; kreowanie wroga zawsze się w polityce opłaca, a szatański, tyleż zepsuty, ileż pławiący się w niezasłużonym bogactwie Zachód doskonale się na niego nadaje. Ci z rządzących, którzy dotąd starali się trzymać raczej z USA i Europą, znaleźli się w kłopocie. Stąd gwałtowna reakcja tureckiego prezydenta Erdoğana i próba włączenia w rozwiązanie wizerunkowego problemu papieża, w obrębie Zachodu lekceważonego, ale dla świata niezachodniego pozostającego jednym z jego symboli.

Procesy historyczne przebiegają latami, ale gdy już zmiana się dokona, potomni szukają jakiejś wyraźnej cezury, symbolicznego przełomu – w taki sposób np. obalenie jednego rzymskiego cesarza i odesłanie insygniów drugiemu, przez współczesnych odebrane jako zjednoczenie Cesarstwa, a więc jego wzmocnienie, dla potomnych stało się momentem jego upadku. Jednym z symbolicznych początków wieku XX, wieku osiągnięcia przez Zachód maksymalnej dominacji nad światem, wskazywanym przez historyków, jest wystawa światowa w Paryżu w roku 1900. Uważam za bardzo prawdopodobne, że dla podkreślenia cykliczności historii i narracyjnego efektu przyszli historycy będą wskazywać późniejsze o 124 lata igrzyska olimpijskie w tym samym (choć jakże bardzo nie takim samym) Paryżu jako symboliczny koniec stulecia, a może i zachodniej cywilizacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

Rekonkwista dość niepewna siebie

Piotr Semka

Pierwsze głosy „moralnego niepokoju" publicystów, którzy dotąd jednoznacznie wspierali linię nowego rządu, pokazują, że nie daje się nie zauważać oczywistych wad polityki Donalda Tuska

Operacja „wrogiego przejęcia państwa", którą rządząca koalicja podjęła 13 grudnia, wchodzi w dziewiąty miesiąc. Widać już, że rachuba części polityków koalicji, iż rozliczeniom z PiS poświęcona będzie tylko pierwsza połowa roku po wyborach, jest już mało aktualna. Kampania walki z opozycją i odbijanie jeszcze niezajętych instytucji państwowych trwać będą bezterminowo. Jeśli dla Donalda Tuska istnieje jakaś najbliższa cezura, to są nią wybory prezydenckie w połowie przyszłego roku. To dlatego decyzja Państwowej Komisji Wyborczej na temat ewentualnego cofnięcia dotacji dla PiS jest oczekiwana z taką niecierpliwością. Na ostateczny werdykt poczekamy jeszcze miesiąc, ale może to być także miesiąc nacisków ekipy Tuska na członków PKW.

Politycy z czołówki PO nawet nie kryją swojego zaaferowania. Jan Grabiec z PO mówi: „Jeśli członkowie z PKW poświęcą czas na to, żeby zapoznać się z tym materiałem (na temat domniemanych nie-

eprasa.pl 920a274a11

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

prawidłowości PiS) i będą bezstronni, to wierzę, że tak jak w przypadku wcześniejszych decyzji PKW odrzuci sprawozdanie".

Widać też już wyraźnie, że swoistą metodą działania ekipy Tuska jest konsekwentny plan likwidowania niezależności wszystkich instytucji niezależnych od obecnej koalicji. To dlatego trwa nieustająca wojna z Krajową Radą Radiofonii i Telewizji, Krajową Radą Sądownictwa, Trybunałem Konstytucyjnym czy Instytutem Pamięci Narodowej. Platforma, mając niezwykle dużo władzy, wciąż ogarnięta jest obsesją jakiejś podziemnej siatki postpisowskiej w łonie administracji państwowej. W myśl tej chorej logiki zaniedbanie prokuratury, która nie sprawdziła, że poseł Marcin Romanowski ma podwójny immunitet, skłoniło ministra Radosława Sikorskiego do insynuowania, że w przedstawicielstwie rządu RP przy Radzie Europy są osoby stawiające rzekomo wyżej interes partii (w domyśle PiS) niż państwa. W imię tej doktryny czystości kadr usuwanych jest blisko 50 ambasadorów, mimo że większość z nich, mimo nominacji w epoce PiS, bardzo lojalnie podchodziła do reprezentowania nowego rządu.

ŻADNYCH GRANIC

Ta logika długiej wojny na wyniszczenie opozycji powoduje, że Tusk przestanie już mamić część członków rządu obietnicami, iż po wykonaniu brudnej roboty dostaną jakąś atrakcyjną funkcję międzynarodową. Tacy posłowie Platformy jak Bartłomiej Sienkiewicz czy Marcin Kierwiński mogą uważać się za szczęśliwców, gdyż Donald Tusk stosunkowo szybko pozwolił im zejść z „gorących krzeseł" w kluczowych ministerstwach. Adam Bodnar, który według upartej plotki miał za sprzątanie w pierwszych miesiącach po wyborach dostać funkcję członka Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, musi nastawić się na długą, czarną robotę.

Tym bardziej że nadzieje Tuska na to, że członków dawnego rządu, na czele z ludźmi Zbigniewa Ziobry, da się na tyle zastraszyć, iż część z nich przyjmie status świadków koronnych, którzy będą ratować własną skórę za cenę pogrążania liderów, na razie się nie sprawdzają. A przecież ludzie Ziobry mieli być tylko początkiem rozliczeń. W dalszym planie prokuratorzy mieli zająć się młodymi współpracownikami Mateusza Morawieckiego. Podstawą do aresztowań miały być zarzuty w kwestii ich aktywności w Rządowej Agencji Rezerw Materiałowych. Jednak skoro rozliczenia samych ziobrystów utknęły, to co dopiero mówić o rozliczaniu młodej gwardii Morawieckiego?

Każdy dzień przynosi kolejne przykłady przekraczania dotychczas nieprzekraczanych granic. Oto minister Bodnar wprost odreagowuje irytację za porażkę w kwestii próby odebrania immunitetu posłowi Marcinowi Romanowskiemu i atakuje obrońcę Romanowskiego Bartosza Lewandowskiego. Bodnar publicznie spekuluje: „Ciekawe jest dla mnie, jakim cudem uczelnia Collegium Intermarium, która ledwo co powstała, dostawała dotacje publiczne po ładnych kilka milionów złotych. Jej pierwszym rektorem był Lewandowski".

Jakby Tuskowi mało było problemów ze ślimaczącymi się rozliczeniami wobec polityków PiS, jednocześnie ma on kłopoty z rozpętaniem ideologicznego lewicowego wzmożenia w instytucjach kultury i mediach podporządkowanych ekipie Platformy. Co przeszkadzało nowym władcom Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku zostawić dla świętego spokoju nieliczne przecież poprawki, które wprowadziła najpierw ekipa Karola Nawrockiego, a potem Grzegorza Berendta? Po co rozpętano kampanię insynuacji wobec uczciwości byłej szefowej Bielsatu, Agnieszki Romaszewskiej? Postaci, która przez całe osiem lat rządów PiS utrzymywała wyraźny dystans wobec partii Jarosława Kaczyńskiego? Po co wreszcie Platformie są takie awantury – dobrze negliżujące ideowy zwrot w lewo – jak zawieszenie Przemysława Babiarza za mało kontrowersyjną tezę, że piosenka Johna Lennona kojarzyć się może z ideami komunizmu?

We wszystkich tych sprawach oczywiście skandal wybuchł nie wskutek jakichś bezpośrednich telefonów z sekretariatu Tuska, nakazujących czy to usunięcie zdjęć o. Kolbego czy rtm. Pileckiego w Gdańsku czy też żądających zdjęcia ze stanowiska komentatorskiego Babiarza. A jednak obecny premier ma takie kadry, że wciąż wybuchają kolejne skandale z nową ekipą jako obercenzorem w roli głównej. Wychył w lewo, spowodowany zastępowaniem wszystkich ludzi z czasów PiS nowymi miłośnikami kulturowej rekonkwisty, musiał doprowadzać do tego typu ekscesów. A te już idą na konto rządzącej obecnie Koalicji.

Na dodatek jeszcze Tusk nie robi nic, aby osłabić manierę upokarzania PSL za dość nieliczne próby przypominania o tym, że ludowcy są bardziej konserwatywni niż platformersi, ludzie od Hołowni czy lewicowcy. Dobrym przykładem tolerowania niepisanego dogmatu, że PSL ma się zgadzać na każdy postulat obyczajowy PO i Lewicy, było wylewanie pomyj na ludowców za głosowanie przeciw ustawie o depenalizacji aborcji. Teraz najnowszym powodem do upokarzania Władysława Kosiniaka-Kamysza jest postulat PSL, by do szkół wprowadzić wychowanie patriotyczne. Najwierniejsi z wiernych kibice Tuska spod znaku OKO.press kpią, że Kosiniak-Kamysz jest od systemów Patriot, a nie od patriotyzmu, i oburzają się, że szef MON wykracza poza swoje

eprasa.pl 920a274a11

kompetencje. Z kolei Krzysztof Varga kpi w „Newsweeku", że lider PSL stracił „niepowtarzalną okazję", by pokazać, iż nie jest tak nieogarnięty, na jakiego wygląda.

Trudno oczywiście nie doceniać konformizmu ludowców, którzy potrafią wiele wytrzymać, aby tylko móc trzymać rękę na wybranych resortach, ale ważniejsze jest co innego. Tusk w imię zakończenia rozliczeń z PiS nie jest w stanie zatrzymać rauszu światopoglądowej rewolucji w wykonaniu części polityków PO i Lewicy. A problemy związane z takim zaangażowaniem będą dokonywały korodowania koalicji.

NIEJASNE OBAWY

Wydawałoby się, że sondaże powinny satysfakcjonować zwolenników platformerskiej rekonkwisty. Platformie udała się sondażowa mijanka. Już od dwóch miesięcy KO wyprzedza PiS w stosunku od 2 do 4 punktów procentowych. Tyle że pojawiają się już pierwsze ciemne chmury.

„Tej koalicji praktycznie nie ma – alarmuje Jerzy Baczyński, naczelny tygodnika »Polityka« w redakcyjnym wstępniaku. – To znaczy rząd działa, większość sejmowa objawia się w różnych głosowaniach, ale koalicja nie funkcjonuje jako byt publiczny ani polityczny. Nie ma regularnych spotkań czterech liderów partnerskich partii, a nawet jeśli się odbywają, to wyborcy o nich nie wiedzą, więc jakby ich nie było. Rozmaite wypowiedzi panów Hołowni, Kosiniaka-Kamysza, Czarzastego często wskazują na pełne zaskoczenie jakąś decyzją, inicjatywą czy opinią premiera. Coraz częściej też liderzy zaskakują siebie wzajemnie niekonsultowanymi pomysłami".

Komunikat CBOS z ostatnich dni lipca głosi: „W lipcu odnotowano wyraźne pogorszenie ocen rządu. Generalnie we wszystkich wymiarach przeważają opinie negatywne". Komunikat CBOS podkreśla, że nadal utrzymuje się pewien kredyt zaufania wobec gabinetu Donalda Tuska w kwestii politycznej. Ale w kwestii ocen rozwoju sytuacji w gospodarce i przekładania się tego stanu rzeczy na poziom życia zwykłych ludzi – sondaże wskazują na znaczące pogorszenie nastrojów.

Na dodatek dziennikarze ekonomiczni wskazują, że słabną perspektywy polskiej gospodarki. Jak donosi „Rzeczpospolita", Credit Agricole Bank Polska dokonał ostatnio mocnej rewizji w dół swoich prognoz dotyczących sytuacji gospodarczej Polski. Zdaniem ekonomistów CABP w tym roku PKB może realnie zwiększyć się nie o 2,8 proc., jak wcześniej prognozowali analitycy banku, ale o 2,3 proc. A w 2025 r. nie o 4,6 proc., ale tylko o 3,5 proc.

Senator PSL Jan Libicki nie kryje rozdrażnienia tym, co mianowańcy Tuska zrobili z telewizją publiczną. „Z telewizji, której albo się nie oglądało, albo którą oglądało się z irytacją, Tomasz Sygut (nowy prezes Telewizji Polskiej) zrobił telewizję, której nikt nie ogląda". Publicysta Cezary Michalski martwi się, że dotąd – wobec kompromitacji sejmowych komisji mających pogrążyć PiS – „ważną rezerwą personalną Donalda Tuska był Roman Giertych, który w razie rozdzielenia stanowisk prokuratora generalnego od funkcji ministra sprawiedliwości miał zająć to stanowisko". Michalski z niepokojem wskazuje, że konflikt Giertycha ze swoją partią w kwestii depenalizacji aborcji mocno komplikuje ten scenariusz. I jeszcze jedna pełna niepokoju refleksja Michalskiego: „Tusk rozumie politykę i realną władzę. Dobrze wybrał priorytety na przedwojenne czasy. Problemem pozostaje jego skrajnie solowa kultura zarządzania partią i państwem. Sprawia to, że te dobrze wybrane priorytety są czasem obsługiwane przez zbyt słabych ludzi. Tuska czeka nowy zaciąg pracowników. Temu właśnie – odświeżaniu kadr – powinna służyć kampania wyborcza według Platformy". Michalski wydaje się myśleć życzeniowo. Jeśli już teraz Tusk wprowadził system jedynowładztwa, który promuje stosunkowo słabych wykonawców jego poleceń, to sięgnięcie po nowych następców obecnej generacji ludzi, typu Jan Grabiec czy Tomasz Siemoniak, może przynieść jeszcze bardziej opłakane efekty.

Innym przykładem niepokoju, który pojawia się w obozie dotychczasowych bezwarunkowych zwolenników polityki Tuska, jest wywiad politologa prof. Andrzeja Rycharda dla portalu Wyborcza.pl. Rycharda niepokoi to, że „Nadmiernie wzmacnia się perspektywę jurydyczno-kryminalną w zadaniach przywracania demokracji w Polsce". Jak wskazuje naukowiec, ta optyka jurydyzacji polityki, w której liczy się to, czy dana osoba została aresztowana czy nie, to droga donikąd. Jak wskazuje: „Przecież nie całe to zło, które wyrządził PiS, da się wyplenić na salach sądowych".

I znów, podobnie jak w wypadku Michalskiego, ta bardzo delikatna krytyka dotychczasowej polityki Tuska ma w sobie duży ładunek niekonsekwencji. Bo do tego, aby krytyka poczynań ekipy PiS była w ustach przedstawicieli Platformy wiarygodna, musiałaby znajdować się na o wiele lepszym poziomie obecna praktyka nowej ekipy. Przyznaje to zresztą pośrednio sam Rychard, mówiąc: „Ciekaw jestem, ile było realnych konkursów na ważne stanowiska przy okazji zmian w spółkach Skarbu Państwa. Co wiemy w ogóle o przywracaniu służby publicznej, o zaawansowaniu zmian w tym obszarze?". I znów mimowolnie sympatyzujący przecież z PO politolog pokazuje na niekonsekwencje w swoim rozumowaniu. Skoro cały wysiłek kładzie się na prokuratorsko-politycznym piętnowaniu poprzedniej ekipy, to nie starcza już siły na to, jak Platforma i jej koalicjanci korzystają z oddanej w jej ręce władzy.

Przywołane tutaj pierwsze głosy „moralnego niepokoju" publicystów, którzy dotąd jednoznacznie wspierali linię nowego rządu, pokazują, że nie daje się nie zauważać oczywistych wad polityki Donalda Tuska. Tymczasem dworsko opakowuje się je w zarzut, że „nowy rząd wchodzi w buty starego PiS". Ale czas płynie nieubłaganie. I ciągłe przyrównywanie nowej ekipy do epoki PiS-owskiej staje się coraz bardziej anachroniczne i mało nośne propagandowo.

Gdyby „Polityka" czy „Newsweek" w większym stopniu patrzyły na ręce ludziom Tuska, np. przy obsadzaniu spółek Skarbu Państwa, to być może ludzie z czołówki PO bardziej uważaliby na trafność nominacji. Ale skoro Platformie wolno więcej, to tym więcej błędów popełnia. A to z czasem może powodować pełzającą erozję polityki rządu. Każda medialna bezkarność rozregulowuje standardy sprawowania władzy. Rząd Donalda Tuska nie jest w tej mierze żadnym wyjątkiem. I w tym sensie sprawa Przemysława Babiarza zyskuje całkiem uniwersalny charakter. Trafnie ubrała to w słowa gwiazda Polsatu Dorota Gawryluk: „Skoro można wyrzucić dziennikarza TVP za to, że wyraził w telewizji własną opinię, to za chwilę każdego będzie można wyrzucić z jego pracy, bo powie coś głupiego czy mądrego".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

Z Ewą Zajączkowską-Hernik, eurodeputowaną Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Mówię: sprawdzam

RYSZARD GROMADZKI: „Tupeciara" to jedno z łagodniejszych określeń, które znaleźć można było w mediach społecznościowych pod pani adresem po wystąpieniu w Parlamencie Europejskim, w którym nie zostawiła pani suchej nitki na Ursuli von der Leyen. Ale obok nienawistnych ataków w sieci nie brakowało słów uznania po pani odważnym przemówieniu. Zresztą chyba podobnie było w samym europarlamencie, już w trakcie pani wystąpieniu obok buczenia słychać było głośne oklaski.

EWA ZAJĄCZKOWSKA-HERNIK: Nie śledziłam polskich mediów społecznościowych i nie analizowałam poszczególnych opinii. Za to mogę powiedzieć, że oddźwięk po moim przemówieniu był bardzo pozytywny nie tylko w Parlamencie Europejskim, lecz także w całej Europie. Zaraz po moim wystąpieniu podeszli do mnie z gratulacjami posłowie frakcji Patriotów dla Europy i Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Mówili, że powiedziałam w ich imieniu to, co wyborcy w ich krajach myślą o Ursuli von der Leyen. Wiem też o wielu pozytywnych komentarzach w prasie i mediach społecznościowych w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanii, Grecji, na Węgrzech czy Słowacji. Właściwie hejt i nieprzychylne komentarze pod moim adresem kierowane były głównie z kręgu ludzi związanych z obecną partią władzy Donalda Tuska. Mam wrażenie, że tak jak kiedyś wybuchła afera po ujawnieniu, że Prawo i Sprawiedliwość miało swoich trolli, których zadaniem było hejtowanie przeciwników politycznych, tak teraz podobnych praktyk chwyta się Platforma Obywatelska. To są ludzie, którzy są w stanie napisać każdą bzdurę i największe świństwo na temat innej osoby, mając za nic wolność wypowiedzi czy tolerancję dla innych poglądów. Charakterystyczne, że to właśnie te środowiska najgłośniej mówią o wolności wypowiedzi, tolerancji i szacunku dla innych poglądów. Pod warunkiem że te poglądy mieszczą się w ramach politycznej poprawności.

Czy reakcja, z którą spotkała się pani po swoim wystąpieniu w Parlamencie Europejskim, może być zwiastunem przełomu w tej instytucji? Głos konserwatystów będzie się bardziej liczył w unijnej polityce czy raczej będziemy tylko świadkami pojedynczych szarż i „gestów Rejtana", a walec budujący „europejskie superpaństwo" będzie toczył się dalej?

Rzeczywiście, reakcja, z którą spotkałam się po swoim przemówieniu w Parlamencie Europejskim, kiedy miałam okazję powiedzieć z mównicy prosto w oczy Ursuli von der Leyen, co o jej polityce myślą ludzie, że nie chcą takich ludzi na najwyższych stanowiskach w Brukseli, może być oznaką przełomu. Wyczuwa się społeczne zapotrzebowanie, żeby w końcu uderzyć pięścią w stół i wygarnąć prawdę eurokratom. Takich mocnych wystąpień nie brakowało podczas sesji, w której europarlament debatował nad kandydaturą von der Leyen. Z oskarżeniem wobec niej wystąpiła m.in. Christina Anderson, eurodeputowana AfD, która zaatakowała ostro von der Leyen za brak przejrzystości przy zawieraniu kontraktu z Pfizerem na szczepionki przeciw COVID-19. Co ciekawe, w trakcie wystąpienia, kiedy rozwijała ten wątek, wyłączono jej mikrofon. Wiele argumentów przeciw kolejnej kadencji w roli przewodniczącej Komisji Europejskiej dla von der Leyen padło w pierwszej części sesji, kiedy przemawiali szefowie poszczególnych frakcji europarlamentu, m.in. lider francuskiego Frontu Narodowego w Parlamencie Europejskim Jordan Bardella. Jednak – jak relacjonowali mi inni deputowani – ani w jego wystąpieniu, ani w żadnym innym krytyka von der Leyen nie wybrzmiała tak ostro jak w moim.

À propos współpracy z innymi grupami politycznymi w europarlamencie. Wyrzuca się pani i dwóm innym deputowanym Konfederacji alians z Alternatywą dla Niemiec. W jednym z wywiadów tłumaczyła pani, że to taktyczny sojusz. Co to właściwie oznacza?

Sojusz taktyczny oznacza ni mniej, ni więcej współpracę na płaszczyźnie polityki unijnej. Mamy bardzo podobne poglądy, jeśli chodzi o Europejski Zielony Ład czy napływ imigrantów. Jeśli chodzi o rzeź wołyńską i związaną z tym prawdę historyczną, to politycy AfD deklarują jednoznacznie, że polskie ofiary ludobójstwa dokonanego przez Ukraińców powinny zostać ekshumowane. Nasze stanowiska w tej sprawie są zbieżne. Trzeba jednak pamiętać, że czym innym jest polityka europejska, a czym innym polityka krajowa. Tak jak AfD będzie w pierwszym rzędzie realizowało interes Niemiec, tak bardzo bym chciała, żeby politycy polscy realizowali interes Polski. My mamy problem z czymś innym, bo o ile niemieccy politycy realizują niemieckie interesy, co jest całkowicie zrozumiałe, o tyle interesy niemieckie realizują także politycy polscy, co jest nie do zaakceptowania. Co do współpracy z AfD to oczywiste, że są sprawy, w których się zasadniczo różnimy, ale jednocześnie trzeba umieć budować relacje wszędzie tam, gdzie można współpracować. Taką płaszczyzną są różne szkodliwe polityki europejskie, współdziałając, mamy większe szanse, żeby je skutecznie zatrzymać. Dzięki aliansowi z AfD udało się powołać

eprasa.pl 920a274a11

w europarlamencie odrębną grupę Europy Suwerennych Narodów, której wiceprzewodniczącym został Stanisław Tyszka. W nowym układzie w Parlamencie Europejskim, w wielu komisjach, to prawica ma większość, co daje nadzieję na zatrzymanie najbardziej szkodliwych dla Europejczyków projektów.

Demonstracyjna prorosyjskość AfD pani nie przeszkadza?

Każda z niemieckich partii ma skrzywienie prorosyjskie. Donald Tusk też współpracuje z niemieckimi partiami. Wiadomo, że jego relacje z niemieckimi politykami są zażyłe. Viktor Orbán również prowadzi otwartą politykę wobec Rosji. W Patriotach dla Europy również są politycy mający bliskie relacje z Rosją. Uważam te oskarżenia wobec nas za nieco absurdalne.

Zapowiedziała pani, że za rok w siedzibie Parlamentu Europejskiego doprowadzi pani do otwarcia wystawy przedstawiającej ukraińskie ludobójstwo na kresach w czasie drugiej wojny światowej. Spełnienie tego zobowiązania wobec wyborców może być problematyczne. Trudno oczekiwać, by unijny establishment wspierał inicjatywy, które uderzają w mit bohaterskiej Ukrainy, która broni Europy przed najazdem Putina.

Powiem wprost, że moje pomysły stawiają polityków Prawa i Sprawiedliwości w ogromnym szachu. To nie tylko kwestia prezentacji dotyczącej rzezi wołyńskiej. Akurat w tej sprawie spodziewam się bardziej oporu ze strony urzędów i instytucji unijnych. Być może zablokują one ten projekt. Poważnie się z tym liczę. Będę o tej sprawie uczciwie informować za pośrednictwem mediów społecznościowych. Co do postawy polityków PiS to jestem bardzo ciekawa, jak zachowa się wobec postulowanego przeze mnie powołania komisji śledczej w europarlamencie do spraw nielegalnej imigracji. Poprzez tę inicjatywę mówię „sprawdzam" do polityków Prawa i Sprawiedliwości. Jeśli poprą ten pomysł, to znaczy, że chcą realnie zatrzymać nielegalną imigrację do Unii Europejskiej, że chcą chronić Polaków przed ogromnym niebezpieczeństwem, które wiąże się z napływem nielegalnych imigrantów. Jeżeli będą się opierać przed podpisaniem się pod takim wnioskiem, to będzie to dowód ogromnej hipokryzji z ich strony.

eprasa.pl 920a274a11

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Czy wobec podziałów, w sprawach tak istotnych jak zagrożenie nielegalną imigracją, możliwe jest zbudowanie szerokiego konserwatywnego frontu, co w praktyce przełożyłoby się na poparcie dla jednego kandydata w przyszłorocznych wyborach prezydenckich? Zapewne w drugiej turze tych wyborów, jeśli do niej dojdzie.

To jest bardzo dobre pytanie. Nie będę odpowiadać za całe moje środowisko, bo to jest pieśń przyszłości. Jest za dużo niewiadomych, żeby spekulować, czy jesteśmy w stanie poprzeć jakiegoś kandydata w drugiej turze. Nie wiadomo, kto tym kandydatem będzie. Więc to wróżenie z fusów. Osobiście uważam, że jest niezwykle istotne, żeby prezydentem został ktoś z obozu przeciwnego do obecnie rządzącego. Jeśli prezydentem zostanie kandydat Platformy Obywatelskiej, to będziemy mieć w Polsce jazdę bez trzymanki, gdzie najbardziej szalone lewackie pomysły będą przegłosowywane, a następnie podpisywane przez prezydenta. Tak było też za rządów PiS. Taka sytuacja jest bardzo groźna dla demokracji.

PiS, PO jedno zło? Słuchając pani, mam wrażenie, że ta formuła wciąż określa taktykę polityczną Konfederacji.

W wielu aspektach to hasło jest nadal aktualne. Światopoglądowo jesteśmy w jednej konserwatywnej grupie z PiS. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Spodziewa się pani przesilenia politycznego w Polsce? Mam na myśli wybuch niezadowolenia społecznego związany z rosnącymi kosztami życia, co w głównej mierze jest skutkiem polityk narzucanych nam przez Unię Europejską.

Na pewno spodziewam się kolejnego ogromnego uderzenia w przedsiębiorców. Ogromna dziura w budżecie Narodowego Funduszu Zdrowia, problemy, z którymi będzie teraz borykał się rząd, to będzie wymagało wyciągnięcia z kieszeni Polaków jak najwięcej pieniędzy. Tego się obawiam. Mam nadzieję, że ta przykra sytuacja, w obliczu której stoimy, da Polakom do myślenia, że nie warto głosować na tych, którym dali władzę, a warto postawić na kogoś innego, kto ma zupełnie inny styl prowadzenia polityki, kto stawia na pierwszym miejscu interesy Polaków.

Czy jeśli Konfederacja ma stać się alternatywą dla dotychczasowego układu politycznego rządzącego Polską, to partia nie powinna „dorosnąć", pozbyć się etykiety „partii happeningów"?

Myślę, że na wszystko w polityce jest miejsce. Ciężką merytoryczną pracę, pisanie projektów ustaw, forsowanie tych projektów ustaw w parlamencie. Ale jest też miejsce na happeningi. Oczywiście tworzone ze smakiem, z pewną kulturą polityczną. To nie może być jakaś dziecinada. Jeśli coś z pozoru jest głupie i działa, to znaczy, że nie jest głupie. Więc jeśli te happeningi kierują uwagę wyborców w naszą stronę, to znaczy, że to działa. Warunkiem jest zachowanie kultury politycznej.

Jakie znaczenie dla polskiej polityki będzie miał wynik wyborów prezydenckich w USA?

Oczywiście będzie miał istotny wpływ. Pytanie, jak Donald Tusk będzie potrafił się porozumieć z Donaldem Trumpem lub Kamalą Harris. Problem z naszymi politykami jest taki, że prowadzą oni politykę na kolanach. Niezależnie od tego, kto zostanie nowym amerykańskim prezydentem, obawiam się, że nie będziemy mieli do czynienia z naszej strony z polityką uwzględniającą polski interes narodowy. Wciąż będziemy mieli do czynienia z polityką prowadzoną z kolan, a to bardzo niebezpieczny sposób prowadzenia polityki.

> **Każda z niemieckich partii ma skrzywienie prorosyjskie. Donald Tusk też współpracuje z niemieckimi partiami**

Nie milkną echa bluźnierczej inscenizacji, którą zafundowali organizatorzy igrzysk olimpijskich w Paryżu. Miliony chrześcijan na całym świecie zostały obrażone profanacją „Ostatniej wieczerzy". To, co wydarzyło się w Paryżu, to kolejny przyczynek do upadku Zachodu?

Mogę tylko powtórzyć komentarz, którym podzieliłam się wcześniej na X. To promocja dewiacji i pedofilii, połączona z profanacją najświętszych prawd wiary katolików i wspaniałego dzieła Leonarda da Vinci „Ostatnia wieczerza". Ohyda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

Jan Fiedorczuk

Oczywiste jest, że Polacy masowo broniący CPK nie są ekspertami od lotnictwa, logistyki czy transportu i nie potrafią fachowo ocenić zasadności tak złożonego projektu. Dlatego komunikacyjny węzeł nie jest zwykłą inwestycją rozwojową, tylko projektem godnościowym, aspiracyjnym. Przede wszystkim jednak jest on przejawem zmiany w polskim społeczeństwie. Zmiany, której PiS nie udźwignął, a którą Donald Tusk najwyraźniej zignorował

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Przegapiona rewolucja

Ruch w obronie CPK jest ciekawy z co najmniej kilku względów. Jeżeli politycy w ogóle ulegają wyborcom, to jest to związane zazwyczaj z oporem społecznym i protestami przeciwko jakimś rozwiązaniom. W przypadku Portu widzieliśmy jednak coś odwrotnego – powstał wielki, oddolny ruch nie przeciwko czemuś, ale za czymś; ruch przekraczający podział na prawicę i lewicę, obóz władzy i opozycję. Fenomen tego ruchu polega na tym, że mówimy de facto o projekcie rozwojowym, o inwestycji w transport. O ile w kwestiach światopoglądowych stosunkowo łatwo jest o wzniecenie dużych emocji i wyprowadzenie ludzi na ulicę, o tyle trudniejsza jest podobna mobilizacja na rzecz projektów gospodarczych.

Logika podpowiada, że wyborcy PiS powinni bronić budowy, a elektorat rządzącej koalicji być przeciwko niej. Stało się jednak inaczej, a poparcie poszło w poprzek partyjnych podziałów. Pewnym symbolem tej ponadpartyjności jest niedawne powołanie przez Marcina Horałę z PiS oraz Paulinę Matysiak z partii Razem ruchu „Tak dla rozwoju". Jednak w rzeczywistości w obronie CPK nie chodzi wcale o sam Port.

CPK JAKO SZTANDAR

Oddolna i ponadpartyjna obrona CPK robiła wrażenie swoją skalą, ale trudno nie dostrzec, że w pewnym momencie wpadła ona wręcz w histeryczno-apokaliptyczne tony. Przez sam fakt, że Tusk chce podnieść rękę na Port, tenże projekt urósł do rangi dziejowej szansy na cywilizacyjny awans państwa. Ci sami ludzie, którzy przez lata z obojętnością przyjmowali kolejne doniesienia o budowie CPK, nagle uznali, że Polakom może uciec historyczna okazja na rozwój kraju. W petycji skierowanej do obozu rządzącego (podpisało się pod nią niemal 100 tys. obywateli) czytamy, że sieci kolejowe stanowiące część Portu to wręcz historyczna szansa na przełamanie skutków rozbiorów. Tak podsumowuje podobne głosy Jan Filip Libicki z PSL: „Jeśli na te aspiracje nie odpowiemy, to moim zdaniem – będzie z nami jako rządzącymi krucho".

A przecież jest czymś oczywistym, że tysiące obywateli broniących CPK nie są w stanie racjonalnie ocenić zasadności tej inicjatywy, konkretnych rozwiązań dotyczących projektowania tras kolejowych, przepustowości lotniska etc. Ile milionów pasażerów rocznie powinno to lotnisko przyjmować? Które kierunki powinny być priorytetowe? Jak winna przebiegać kolej? Czy Baranów to najlepsza lokalizacja? Można te pytania mnożyć bez końca. Dlatego nie o węzeł komunikacyjny tu chodzi, tylko o godnościowe aspekty przedsięwzięcia. Jak zauważa lewicowy publicysta Jakub Dymek na łamach „Tygodnika Powszechnego", poparcie dla CPK jest wyrazem „rosnącego przekonania, że zasłużyliśmy na coś dużego – nawet jeśli sami nie umiemy jasno określić, na co konkretnie". Dokładnie tak jest. W CPK nie chodzi o samo CPK, tylko „o coś dużego", co się Polakom należy po 35 latach III RP.

W podobnym tonie co Dymek pisał na łamach „Dziennika Gazety Prawnej" dr Marcin Kędzierski, dowodząc, że „w akcji #takdlaCPK nie chodzi o lotnisko i szprychy, lecz o przekonanie, że państwo

eprasa.pl 920a274a11

może pomóc w zaspokojeniu rosnących aspiracji społeczeństwa". To trafna ocena, lotnisko i kolej to jedynie dodatek do wielkiego sztandaru ambicji Polaków.

PRZEGAPIONA ZMIANA

Lekceważąca postawa Donalda Tuska wobec CPK sugeruje, że premier ze swoją analizą sytuacji politycznej w Polsce zatrzymał się na 2014 r., gdy opuszczał kraj dla posady w UE i nie dostrzegł ambicjonalnej zmiany, która zaszła w ciągu ostatniej dekady w polskim społeczeństwie. Wiedział, jak odebrać PiS władzę, ale nie zrozumiał, czemu PiS tę władzę w ogóle uzyskał.

Cofnijmy się zatem na chwilę do 2015 r. Jarosław Kaczyński zaprezentował wówczas swój obóz jako obrońców pogardzanego ludu, podczas gdy PO obsadził w roli zblazowanych elit. I mimo że sam PiS w kolejnych latach coraz bardziej upodobniał się do tychże znienawidzonych elit, przetrwała jego narracja o konieczności budowy państwa dla „zwykłych obywateli". Koniec końców PiS nie udźwignął własnej opowieści, nie sprostał jej. W ostatniej dekadzie część Polaków zaczęła stawiać politykom konkretne wymagania, zamiast brać z pocałowaniem ręki, co szykują im elity, a PiS tych wymagań nie potrafił spełnić. Stał się ofiarą własnej strategii.

Ostatecznie Polacy są tak rozczarowani PiS, jak Donaldem Tuskiem. Parafrazując Jarosława Gowina – głosują na nich, ale się nie cieszą. Pisał o tym niedawno Piotr Trudnowski na portalu Klubu Jagiellońskiego, wskazując, że CPK „stał się wspólnotowym totemem", za którym kryją się „już całkiem indywidualne aspiracje i poczucie rozczarowania całą klasą polityczną". Gdyż cóż osiągnął premier przez ponad pół roku rządów? Co zaoferował Polakom? Sto konkretów na pierwsze sto dni jest w lwiej części niezrealizowanych, światopoglądowe postulaty nieruszone, koalicjanci dalej się buntują, wiele grup społecznych (na czele z budżetówką), które liczyły na poprawę swego bytu, musiało obejść się smakiem, a całe społeczeństwo musi się szykować na wyższe rachunki. Z jednej strony zwolennicy CPK wskazują, że Tusk stopuje wielki węzeł transportowy, który miał rzekomo zapewnić nam epokowy skok rozwojowy, a z drugiej Rafał Trzaskowski, cudowne dziecko PO i zapewne kandydat na prezydenta Polski, stawia warszawiakom... kładkę rowerową, trąbiąc przy okazji o historycznym sukcesie. To jest właśnie kontrast, na którym traci rządzący obóz: platformerska mikromania vs. PiS-owska megalomania. Obecnie to ta druga zyskuje na znaczeniu.

„Trzeba uczciwie przyznać, że na początku swoich rządów PiS miał rozmach, przynajmniej w deklaracjach. To była miła odmiana po latach nieprzesadnie ambitnej – delikatnie mówiąc – polityki PO-PSL" – to cytat z tekstu Piotra Wójcika opublikowanego na łamach lewicowej „Krytyki Politycznej", co dość trafnie oddaje, jak bardzo zmieniły się nastroje w Polsce w ciągu minionej dekady. Kaczyński miał dobrą intuicję co do aspiracji Polaków w 2015 r., jednak nie do końca je zrozumiał, postrzegając rozwój państwa w kategoriach redystrybucji PKB, i to w socjal, a nie w faktyczny rozwój kraju, inwestując gros energii i zasobów. Przecież CPK przez osiem lat rządów nie był żadnym priorytetem dla Zjednoczonej Prawicy. PiS wielkie inwestycje ogłaszał, ale tak naprawdę zostawiał je odłogiem – CPK, elektrownia atomowa, elektrownia w Ostrołęce, rozbudowa mieszkalnictwa, elektryczne samochody, a także już zupełnie zapomniane projekty, jak „Cyberpark Enigma", „Luxtorpeda 2.0" czy „inteligentna kopalnia", albo z drugiej strony projekty tożsamościowe, jak budowa łuku triumfalnego oraz Muzeum Bitwy Warszawskiej lub odbudowa Pałacu Saskiego. Lista niezrealizowanych ambitnych obietnic jest długa. PiS je hucznie ogłaszał, a później wygaszał i ukradkiem porzucał, co sugeruje, że nawet jeżeli dobrze odczytano emocje społeczne, to nie do końca wierzono, że Polacy faktycznie postawią CPK czy atom ponad „500+".

Z kolei PO zdaje się w ogóle odrzucać ideę modernizacji sterowanej z poziomu centralnego. Rozwój? Owszem, ale drobny, lokalny i zasilany z funduszy unijnych. Problem w tym, że kładkami rowerowymi nie zmodernizuje się państwa. Samorządowymi inwestycjami nie tylko nie zbuduje się portu komunikacyjnego, lecz także połączeń logistyczno-transportowych na skalę całego kraju, elektrowni atomowych, ani nie rozwinie się przemysłu wojskowego. O ile PiS dostrzegał aspiracje Polaków, sam je rozbudzał, ale nie potrafił im sprostać, o tyle Donald Tusk wydaje się je świadomie ignorować.

W ostatnich miesiącach premier Donald Tusk skupił się na obsługiwaniu najbardziej radykalnego elektoratu, którego aspiracje polityczne ograniczają się do wsadzenia PiS-owców za kraty. Jednak w 2023 r. to nie radykałowie dali mu władzę, tylko umiarkowane centrum, które zagłosowało na Trzecią Drogę, czym uniemożliwiło PiS – największej partii w Sejmie – utrzymanie władzy. „Jakkolwiek umowny »elektorat partii CPK« […] nie stworzy trwałej politycznej reprezentacji, to jednak pozostanie kluczowy dla wyników kolejnego cyklu wyborczego" – ocenia cytowany już Trudnowski. I faktycznie tak może być. W 2015 r. to wyłamujący się z logiki polaryzacyjnej wyborcy Kukiza zdecydowali o podwójnym zwycięstwie PiS i zupełnie nowej dynamice politycznej, która wyczerpała się dopiero w 2023 r.

Tusk tymczasem, narzucając Hołowni radykalną agendę i wciągając marszałka w wojnę z Kaczyńskim, skutecznie go „ubrudził" i pozbawił nimbu niezależnego gracza spoza PO-PiS. Fundamentalne pytanie brzmi: Gdzie odpłynie jego elektorat – do Trzaskowskiego, kandydata Konfederacji czy PiS? Jak zachowa się w II turze wyborów prezydenckich? Jeżeli prawica nie prześpi zmiany, do której doszło w polskim społeczeństwie, i będzie potrafiła zaprezentować się jako siła prorozwojowa, to być może znajdzie drogę do wyjścia z kryzysu, w którym się znalazła po wyborach parlamentarnych w 2023 r.

Tymczasem Donald Tusk najwyraźniej nie ma żadnego pomysłu na zagospodarowanie „elektoratu CPK", wyborców centrum i „normalsów", ograniczając całą swoją polityczną strategię do depisyzacji. Być może dlatego, że lider PO bez Kaczyńskiego po prostu nie istnieje. Gdy wojna polsko-polska łagodnieje, gdy zaczyna się dyskusja o rozwoju, cenach prądu albo modernizacji wojska, Tusk się kurczy do wymiarów zwykłego polityka, jednego z wielu technokratów. Gdy jednak na horyzoncie pojawia się widmo kaczyzmu, Tusk urasta do rangi katechona rodzimego liberalizmu i demokracji. Dlatego też rozmowa z Polakami o rozwoju kraju i wielkich inwestycjach jest ostatnim, czego potrzebuje. Aby rządzić, Tusk potrzebuje wojny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

„Specjalne” traktowanie

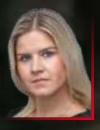

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Aresztowane w marcu byłe urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości są traktowane niemal jak najpoważniejsi przestępcy. Kobietom ogranicza się kontakt ze światem zewnętrznym i utrudnia praktykowanie wiary. Wszystko po to, by pokazać, że „rozliczenia” poprzedniej władzy to nie żart

FOT. DONAT BRYKCZYŃSKI/REPORTER

Zabrano wszystkie moje rzeczy – nawet sweter – choć było zimno […]. Podczas korzystania z toalety byłam nadzorowana przez funkcjonariuszy mężczyzn przez okienko w drzwiach” – napisała w liście Urszula D., jedna z dwóch byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości, zatrzymanych i aresztowanych w śledztwie dotyczącym Funduszu Sprawiedliwości. Jako podwładna wiceministra Marcina Romanowskiego pełniła stanowisko dyrektora departamentu Funduszu Sprawiedliwości. Jak twierdzi prokuratura, to ona zaakceptowała dokumenty konkursowe, na podstawie których Fundacja Profeto (jej szef, ks. Michał Olszewski, również przebywa w areszcie) miała otrzymać 98 mln zł dotacji na budowę ośrodka pomocy ofiarom przestępstw Archipelag (w sumie wypłacono ponad 60 mln zł). Od marca jest za kratkami. Decyzja o tymczasowym aresztowaniu zapadła ze względu na wysokość kary, a także z obawy przed matactwem procesowym i ucieczką. Jeśli sąd uzna jej winę, to urzędniczce grozi do 10 lat pozbawienia wolności.

POKAZÓWKA I UPOKORZENIE

Najpierw do mediów przedostała się relacja z aresztu ks. Olszewskiego. Opisał on w niej złe traktowanie przez służby w pierwszych godzinach po zatrzymaniu. Sercanin przekazał, że pozbawiano go w nocy snu, a także odmawiano dostępu do wody. Nieco mniejszym echem odbił się już list Urszuli D., choć jest również porażający. Była urzędniczka MS wskazała, że tuż po zatrzymaniu na policyjnej izbie zatrzymań obchodzono się z nią brutalnie. „Podczas korzystania z toalety byłam nadzorowana przez funkcjonariuszy mężczyzn przez okienko w drzwiach. Niektórzy wprost patrzyli na mnie, jak załatwiam swoje potrzeby fizjologiczne. Podobnie, gdy myłam się pod prysznicem. Było to upokarzające” – czytamy w liście. „Gdy zrobiło mi się niedobrze i poprosiłam o wyjście z celi do toalety, żeby zwymiotować, policjant odpowiedział: »Teraz nie możesz, wal na podłogę«” – opisała. Ponadto utrudniano jej dostęp do toalety, choć ma problemy z pęcherzem.

Już samo zatrzymanie kobiety było ewidentną „pokazówką”, mającą ją zastraszyć, a także dać sygnał opinii publicznej – litości nie będzie. „Zostałam zatrzymana przez ABW w liczbie kilkunastu funkcjonariuszy, którzy 26 marca 2024 r. wkroczyli do mojego domu i na oczach obudzonego dziecka, w atmosferze krzyku i agresji, skuli mnie kajdankami. Chwilę wcześniej – robiąc hałas na całą ulicę – ABW próbowało wyważyć drzwi, mimo iż krzyczałam, aby tego nie robić, bo już schodzę otworzyć. Na moje pytanie, czemu akcja jest prowadzona tak agresywnie, zważywszy, że nie utrudniam czynności i nie stanowię zagrożenia, funkcjonariusz mi otwarcie powiedział, że oni też woleliby tego tak nie robić, ale otrzymali z góry takie polecenia na odprawie, która odbyła się w przeddzień” – czytamy w liście. „W areszcie dowiedziałam się, że proku-

eprasa.pl 920a274a11

rator zarządził moją całkowitą izolację, co oznacza, że jestem sama w celi monitorowanej kamerami, nawet w toalecie. Przez pierwszy miesiąc oznaczało to dla mnie brak odzieży, majtek, biustonoszy, ciepłej zmiany ubrań – ponieważ talon na paczkę z ubraniami, który wysłałam do domu, prawie miesiąc leżał w prokuraturze" – opisuje Urszula D. w swojej relacji.

Od końca marca, decyzją dyrektora aresztu śledczego Warszawa-Grochów, Urszula D. oraz Karolina K., była wiceszefowa departamentu Funduszu Sprawiedliwości (zatrzymana tego samego dnia, pracowała przy konkursie dotyczącym Profeto), są traktowane jak najgroźniejsi przestępcy. Choć postawiono im zarzut przekroczenia uprawnień, niebudzący mocno kryminalnych skojarzeń, to objęto kobiety „specjalnym nadzorem" – żadna z nich o to nie wnioskowała. Zgodnie z Kodeksem karnym wykonawczym status taki przyznaje się, jeśli „wystąpiło poważne zagrożenie lub istnieje bezpośrednia obawa wystąpienia poważnego zagrożenia dla [...] życia lub zdrowia". Wobec takich aresztantów stosowane są izolatka, stały monitoring, wielokrotne kontrole i zapalane co godzinę światło w nocy. Od traktowanych w ten sposób np. morderców byłe urzędniczki różni to, że nie są skute i nie muszą nosić czerwonych drelichów. „Rzeczpospolita" ustaliła, że sam fakt bycia pracownicami resortu sprawiedliwości mógłby budzić – według służby więziennej – wrogość innych osadzonych, stąd nadzwyczajne środki.

Wątpliwości co do intencji SW nie ma jednak pełnomocnik Karoliny K. – Dyrektor aresztu nie uzasadnił swojej decyzji. Moja klientka to urzędnik służby cywilnej, nie była przedstawicielem służb mundurowych i nie chce być taką ochroną objęta. Uważamy to za szykanę, nadużycie. Mam wrażenie, że to wszystko wiąże się z jej postawą procesową – mówi mec. Adam Gomoła. Ocenę tę potwierdza obrońca Urszuli D., mec. Krzysztof Wąsowski. Jedna kwestia bulwersuje szczególnie – w czerwcu, gdy przewożono Karolinę K. z aresztu na drugie przesłuchanie, miała ona na sobie kajdanki zespolone, czyli zakładane na ręce i nogi – niczym groźny morderca.

POP ZAMIAST KAPŁANA

Więcej dowiadujemy się z wywiadu ojca Urszuli D. – 26 marca, akurat w dniu urodzin córki, godzina 6 rano. Kilkunastu funkcjonariuszy ABW wdziera się, mało drzwi nie wywalą. Córka mówi, że otworzy. Natychmiast rozbiegli się, szukają dokumentów. Wszystkie laptopy, tablety, nawet tablet wnuka szkolny zabrali […]. Wtedy zabrali córkę do policyjnej izby zatrzymań. Nawet nie wiedziałem, że tak ciężkie godziny przechodziła. Dowiedzieliśmy o tym dopiero z Telewizji Republika – opowiedział Andrzej Skrzetuski. – W liście do RPO było wyszczególnione, jakie spotkały ją represje. Musiała się rozbierać, przejść przez łaźnię, zabrali ubranie. Te pierwsze godziny były wielką udręką. Wiedzieliśmy, że jest ciężko, że nie „cackają się", ale jest taka dziwna sytuacja, gdy się znęcają. Kontakt jest mocno utrudniony. Listy, jeśli docierają, to z wielkim opóźnieniem, rzędu 4–6 tygodni. Gdy ja wysłałem list do córki, chyba tylko jeden dotarł. Reszta ląduje w szufladzie prokuratorów z Zespołu Śledczego nr 2 […]. Wydaje się, że wszystko to, co się dzieje, jest niezgodne z prawem – wskazał ojciec w rozmowie z TV Trwam.

Według relacji córki podejmowane są próby wymuszenia na niej zeznań obciążających Marcina Romanowskiego i Zbigniewa Ziobrę. – Ale muszę powiedzieć, że córka jest twarda, ma taki charakter, że się nie poddaje. Chciałem powiedzieć też, że ma dobrą formację, bo jest w Opus Dei, a przez wiele lat była w Focolare [Dzieło Maryi; katolicki ruch religijny założony w 1943 r. w Trydencie, we Włoszech, przez Chiarę Lubich – przyp. red.]. Ma ten kościec moralny. Wytrzyma. Mówi, że bardziej martwi się o nas, czy my wytrzymamy te wszystkie obciążenia. Przeprasza, że jest z nią tyle problemów, ale mówi, że wytrzyma; „jestem mocna" – pisze do mnie – „przecież jestem twoją córką". Jak to czytałem, to się popłakałem – wyznał Skrzetuski, nie kryjąc bolesnych emocji.

Choć Urszula D. jest wierząca, a aresztant ma prawo do praktyk religijnych, to ma być z tym problem. – To był koniec marca, przed nami była Wielkanoc. Prosiła o posługę kapłana. Po paru dniach odwiedził ją pop. To nie było to, o co prosiła. Z ostatniego listu wynika, że już był kapłan, odwiedził ją, miała dwukrotną możliwość wyspowiadania się. Ma zupełnie odcięty kontakt od ludzi, jest izolowana, więc gdy ksiądz odprawia mszę, tylko ona może być w kaplicy. Nikogo nie może spotkać. Wyjątek stanowią adwokaci i kapłan, który też za wiele czasu nie ma, bo musi dotrzeć do innych osób – opowiada ojciec byłej urzędniczki. Nie tylko relacje z aresztu budzą oburzenie, lecz także budzi podejście wymiaru sprawiedliwości do zatrzymanych kobiet. Pełnomocnik Karoliny K. przekazał niedawno, że jego klientka niemal od dwóch miesięcy bezskutecznie czeka na kontynuację przerwanego nagle przesłuchania. „Karolina K. chce dowieść swojej niewinności, ale prokuratura nie znajduje na to czasu" – wytyka mec. Gomoła.

ZIOBRO WSKAZUJE NA TUSKA

Dramatyczną sytuację aresztowanej Urszuli D. skomentował dosadnie Zbigniew Ziobro. „»Funkcjonariusze mężczyźni patrzyli na mnie, jak załatwiam swoje potrzeby fizjologiczne. Podobnie, gdy myłam się pod prysznicem. Było to upokarzające« – te słowa zatrzymanej urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości na zawsze okryły Cię hańbą" – pisze były minister sprawiedliwości, zwracając się do Donalda Tuska. „Przed kamerami opowiadasz frazesy o prawach kobiet, o wspieraniu Polek, udajesz wielkiego demokratę i obrońcę praw człowieka. Ale gdy zgasną światła, pokazujesz swoją prawdziwą twarz, bo za poniżanie i zastraszanie tej kobiety spada na Ciebie pełna odpowiedzialność. W trakcie zatrzymania zamknięta w zimnej celi bez toalety, bez bielizny na zmianę, bez ciepłego ubrania, bez środków higieny. Gdy było jej niedobrze, kazali jej wymiotować na podłogę. Odmówili kontaktu nawet z jedynym jej dzieckiem. Traktują ją jak najgorszego zbrodniarza" – wskazuje Ziobro. „Wciąż nie mogę uwierzyć, że pod Twoim okiem Twoi ludzie mogą to robić kobiecie, matce i żonie. Że dla politycznych korzyści jesteś zdolny akceptować takie pastwienie się nad kobietą…" – podsumował były minister.

W ubiegłym tygodniu mec. Adam Gomoła poinformował, że Sąd Apelacyjny w Warszawie skrócił areszt ks. Michała Olszewskiego oraz urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości do 31 sierpnia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

Puste plaże

Łukasz Zboralski

Właściciele pensjonatów nad Bałtykiem i górale narzekają jednakowo, bo znacznie ubyło im turystów, na których zarabiają. Co się stało, że na plaży nie ma już parawanu przy parawanie, a na górskich szlakach nie wszędzie maszerują tłumy?

FOT. ADOBE STOCK

Dziwnów. Środek sezonu wakacyjnego. Plaża właściwie pusta. Parawany można policzyć na palcach jednej ręki. To zdumiało autora fotografii. „Tak pustych plaży, przy doskonałej pogodzie w niedzielę w wakacyjny weekend, jeszcze nie widziałem… Czy to ceny? Czy blokady przez rolników? Czy wizja kilkugodzinnej podróży w korkach? Tego nie wiem, ale lokalny biznes jest w lekkim szoku…" – napisał na portalu X.

Widok takiej plaży zdumiał nie tylko jego. Ktoś inny zaraz wrzucił widok z kamery na plaże w Mielnie. Pustki. Sprawdzam to potem po kilku dniach. Rzeczywiście, widoki z plaż pokazują niewielką liczbę plażowiczów, ich postacie giną w przytłaczającej pustce piasku…

Trudno powiedzieć, by sprawiała to niepewna pogoda. Choć nad morzem bywało chłodniej niż w centralnej części kraju, to lato należy do słonecznych. Tymczasem nawet przedstawiciele turystycznej branży przebąkują w mediach, że sezon nie jest dla nich zbyt dobry. „Szczerze to wydaje mi się, że z roku na rok przyjeżdża coraz mniej ludzi" – przyznawała Twojej Telewizji Morskiej jedna z barmanek. Zaznaczała, że ci, którzy się zjawili nad Bałtykiem, zaczynają omijać restauracje i bary. Napoje i jedzenie wolą kupić taniej, w sklepie.

„Ceny tak poszybowały w górę, że jest zdecydowanie mniej ludzi niż w poprzednich sezonach" – przyznał z kolei tej samej telewizji właściciel punktu wynajmu rowerów w Dębkach.

Zmniejszenie ruchu turystycznego nad Bałtykiem i w górach widać było już zresztą podczas majówki, też wyjątkowo akurat pogodowo udanej. Właściciele nadmorskich pensjonatów notowali mniejsze obłożenia pokojów i coraz krótsze terminy, na które turyści rezerwowali miejsce. „Wiem od naszych mieszkańców, że wciąż jest jeszcze sporo wolnych miejsc na lato u nas. Pojawił się mały niepokój, jeżeli chodzi o obłożenie" – mówił wówczas Wp.pl Krzysztof Obszyński, sołtys Dębek w powiecie puckim. „Na pewno jest gorzej. Coś złego się stało, że to zainteresowanie spadło. Być może chodzi tylko o ubiegłoroczne, zimne lato. Zobaczymy".

Po raz pierwszy od dawna na szlakach w Tatrach nie widać też tłumów latem. Górale narzekają na słaby sezon. „Lipiec jest dużo słabszy w porównaniu z poprzednimi latami, mamy mniej rezerwacji. Początek wakacji był falstartem. Pogoda miała na pewno na to wpływ. Pierwsza połowa lipca była burzowa, deszczowa i było bardzo duszno, podczas gdy zazwyczaj w górach jest rześkie powietrze" – powiedział portalowi o2.pl menedżer pensjonatu Szarotka Michał Pietrzak.

W ubiegłym tygodniu posłanka Joanna Lichocka zamieściła zdjęcie z plaży w Łebie i napisała na Facebooku o tym, że prawie w każdej noclegowni w tym mieście jest wiele wolnych miejsc.

W tym roku przybyło turystów, którzy mocno się targowali o ceny noclegów. Skłonni byli rezygnować z części usług, by mieć coś taniej. Czy to oznacza, że

eprasa.pl 920a274a11

Polakom zabrakło pieniędzy na takie wakacje, jakie do tej pory udawało się im organizować?

CENY, DOJAZD, POGODA

Po pierwsze, nie można nie zauważyć, że do 31 marca ubiegłego roku Polacy mogli wykorzystywać Polski Bon Turystyczny, czyli pieniądze, które rząd dosypywał przez pandemię, by ratować branżę turystyczną. Można było dostać 500 zł na jedno dziecko (oraz 1000 zł w przypadku dziecka z niepełnosprawnością). W przypadku mniej zamożnych rodaków zaczynały być to kwoty, które pozwalały na zorganizowanie choćby krótkiego urlopu w kraju. Tych pieniędzy już dziś nikt im nie daje (choć gwoli ścisłości zauważyć należy, że każdy rodzic nadal dostaje co miesiąc na każde dziecko 800 zł).

„Teraz przyjeżdża dużo mniej dzieci, a to dlatego, że skończyły się bony, do których dopłacało państwo. Bony zdecydowanie napędzały tutaj turystykę i powodowały, że na wakacje wyjeżdżały dzieci, które nigdy by na te wakacje nie wyjechały. Dzieci i ich rodzice" – cytowała właściciela pensjonatu z Łeby w mediach społecznościowych posłanka Lichocka.

Brak dopłat do wakacji na pewno wyciął pewną klientelę. I było to widać zresztą już w poprzednim sezonie. Nad Bałtykiem widać było mniejszą liczbę turystów i to, że mocno zwracali uwagę na ceny, zanim zdecydowali się na zakupy w gastronomii czy innych sklepach. Północna Izba Gospodarcza przyznawała, że obłożenie w hotelach było nawet niższe niż w pandemicznym 2021 r. i wahało się na poziomie 50–90 proc.

Przedstawiciele Izby zżymali się wtedy na dziennikarzy. Mieli mediom za złe, że wciąż informują o niezwykle wysokich cenach wypoczynku w kraju. „Ile można narzekać na paragony grozy? Ile można zwracać uwagę na najdroższe oferty, które oferują hotele w regionie? Jeżeli ktoś ma ochotę na weekend w Hiltonie, to oczywiście ma do tego prawo, ale w Kołobrzegu, Świnoujściu czy w Międzyzdrojach można wypocząć za naprawdę rozsądne pieniądze. Na polską turystykę w ostatnich dwóch latach prowadzona jest niezrozumiała dla mnie nagonka. Efekt jest taki, że turystów z Polski jest w tym roku mniej nad polskim morzem. To sytuacja dla mnie zaskakująca i niezrozumiała" – mówiła w RMF FM Hanna Mojsiuk, prezes Północnej Izby Gospodarczej w Szczecinie.

Jednak chyba nie tylko ceny powodują odpływ turystów w Polsce. „Jest drogo, pogoda niepewna, zimna woda w morzu, parawany, papierosy, sikające psy do piasku, głośna muzyka puszczana z komórek, czyli brak szacunku dla turysty zarówno ze strony wynajmujących, restauratorów, jak i innych plażowiczów itd... Pokolenie starszych Niemców wymarło, a coroczne opisy paragonów grozy, warunków na plaży i zachowania turystów odstraszają" – wyliczał jeden z czytelników komentujący w sieci teksty o pustoszejących plażach. Zwrócił uwagę jeszcze na kilka innych aspektów: „I dojazd... Ja ze wschodniej Polski nie mam zamiaru się męczyć wiele godzin samochodem lub pociągiem, gdy mam samolot do dyspozycji do dowolnego kraju. Pamiętam Mielno sprzed 20 lat i było tam cudownie, ale już nie jest. Zagraniczne kurorty mają dużo więcej do zaoferowania, a szkoda, bo polskie plaże są piękne, szerokie i w miarę czyste. Nie wszyscy lubią południowe upały w lipcu jak w tym roku. Na południu Europy też nie jest idealnie, ale jednak wypoczywa się lepiej" – dodał.

Takich głosów jest znacznie więcej. Widać je było w dyskusji pod zdjęciem pustej plaży na portalu X. Jeden z użytkowników napisał tam: „Wszedłem na Booking i wyszukałem Dziwnów. Ceny 2500, 3500, 4000, a nawet 5000 za tydzień. Za 3500 wynająłem dosłownie dzisiaj z dziewczyną pięć dni w Portugalii na południu mieszkanie 60 mkw., a jeszcze wcześniej będziemy w Porto i w Lizbonie, pijąc wino za 2 euro i pijąc kawę za tyle samo, zamiast chodzić na śniadania po jajko na miękko + kawa za 50 PLN/osobę".

JEDZENIE, CIEPŁA WODA, ZABYTKI

To, co piszą internauci, jest prawdziwe. Przy cenach przelotów – na południe Włoch można lecieć za niecałe 500 zł w dwie strony – i cenach kwater dorównujących zakwaterowaniu w Polsce część osób może wybierać pewniejszą pogodę. Nad Adriatykiem ma się pewność, że morze jest ciepłe, że nie będzie sinic i raczej podczas tygodnia urlopu nie spędzi się połowy w barze, chowając się przed deszczem.

Ceny jedzenia są nawet niższe niż w Polsce. We włoskim regionie Apulia za kawę espresso w kawiarni w nadmorskim kurorcie zapłacić obecnie trzeba w przeliczeniu na złotówki 5,14 zł. Cappuccino jest droższe – 6,4 zł. Najprostsza pizza – 25 zł. Dania z makaronem i owocami morza – ok. 50 zł.

A przecież nie chodzi tylko o ceny. Ktoś, to pojedzie do Turcji czy Grecji, oprócz pewnej pogody i podobnych cen wyżywienia posmakuje też lokalnej kuchni, zetknie się z inną kulturą i zobaczy inne zabytki.

Na te same aspekty w internetowej dyskusji pod zdjęciem pustej bałtyckiej plaży wskazał ekonomista Cezary Bachański. Wyliczył:

„– Podobne morze (tylko dużo cieplejsze) z gwarancją pogody jest za mniejsze pieniądze w Bułgarii. Dwie godziny samolotem.

– Z południa Polski jest niewiele dłużej do Chorwacji samochodem niż do Mielna. Gwarancja pogody, ciepła woda i dużo domów do wynajęcia. Większą grupą wychodzi porównywalnie z polską kwaterą. Jeżeli ktoś nie jada w restauracjach, które tam są bardzo drogie, to wyjdzie mu porównywalnie.

– Dwie godziny samolotem jest Albania. Ciepła, ładna i tania. Dobrze wypatrzona wycieczka lub zakup biletów na tanie linie z dużym wyprzedzeniem pozwala na tańsze wakacje niż w Polsce. Nie pada.

– Wakacje all-inclusive w Grecji i Turcji też potrafią wyjść taniej dla pary niż cały tydzień nad polskim morzem. Tam też rzadko pada latem. Biura podróży dla małych dzieci mają też dużo promocji, w tym do pewnego roku życia mają wakacje za darmo.

Taki mamy klimat, to tak to wygląda. Niemcy też raczej jeżdżą po Europie na wakacje, a nie do siebie".

Wszystko więc wskazuje na to, że być może nie tylko inflacja zatrzymała Polaków w domach, ale pod względem wypoczynku już dogoniliśmy Zachód, który w wielu dziedzinach tak chcieliśmy doścignąć. Jeśli tak jest, to widać w tym same plusy. Polacy jeżdżą do ciepłych krajów, a jednocześnie ci, którzy lubią niepowtarzalny zapach jodu czy tatrzańskich świerków, mogą spędzać urlop w kraju w miejscach, które nie są już tak mocno zatłoczone.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

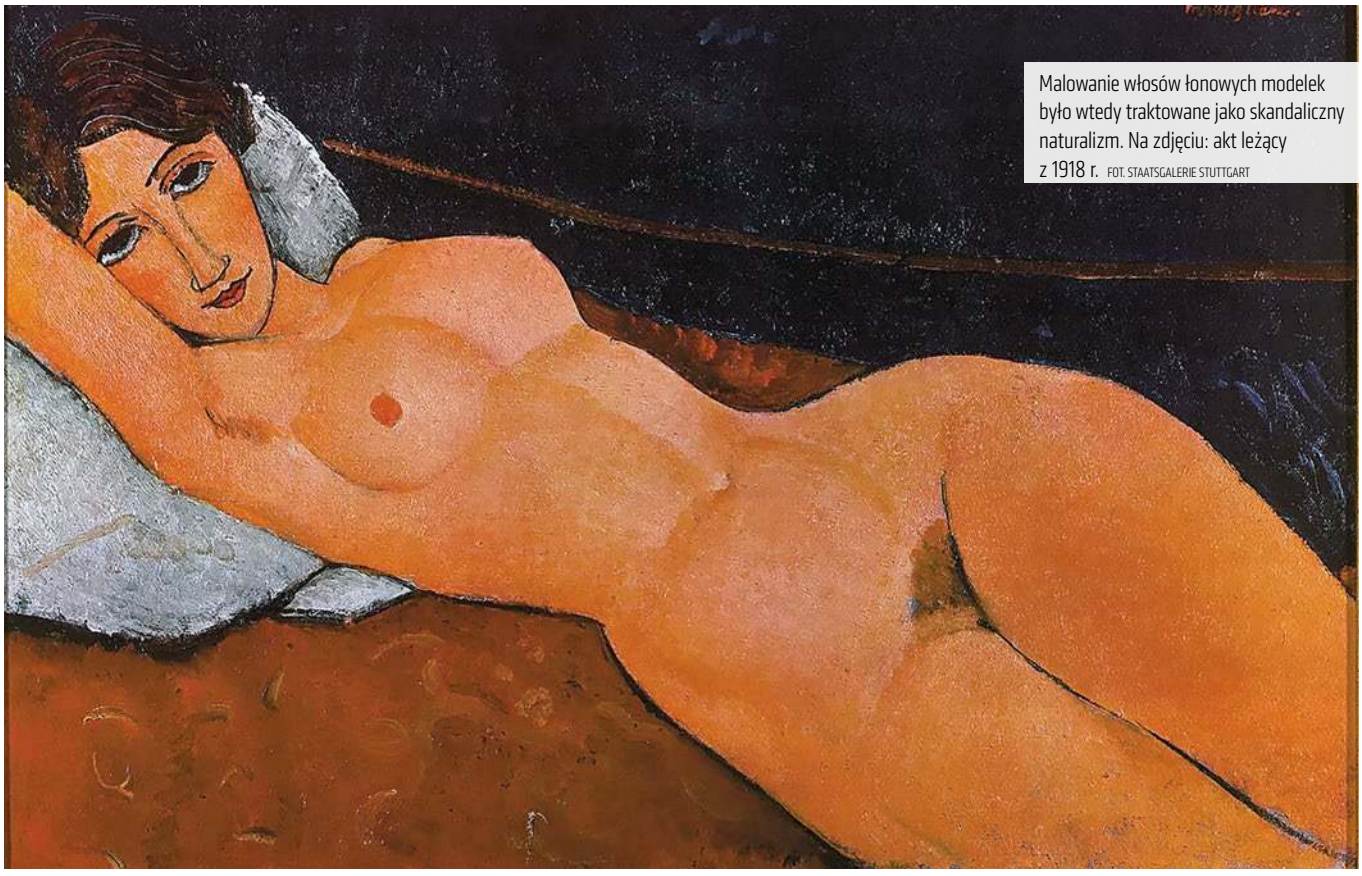

Malowanie włosów łonowych modelek było wtedy traktowane jako skandaliczny naturalizm. Na zdjęciu: akt leżący z 1918 r. FOT. STAATSGALERIE STUTTGART

Modigliani i jego kumple

Piotr Semka z Poczdamu

Po śmierci Modiglianiego jego obrazy trafiały niekiedy na śmietnik. Dopiero ponad dekadę później handlarze sztuką zorientowali się, że jego dzieła mogą być złotym interesem. Samemu artyście, który leżał już wtedy od dawna w zimnym grobie, nic z tego renesansu popularności jego dzieł nie przyszło

Gdyby za życia dostawał choćby tysięczną część sum, za które dziś sprzedawane są jego dzieła, nie umarłby w tak strasznej nędzy. Jego imię oznacza dosłownie „Umiłowany przez Boga", ale podobnie jak jego imiennik Amadeusz Mozart nie potrafił zamienić talentu na trwałą zamożność. W malarstwie wyprzedził swój czas i zapłacił za to gorzką cenę. Amedeo Clemente Modigliani (1884–1920) jest głównym bohaterem wystawy w Muzeum Barberini w Poczdamie, na której zgromadzono eksponaty z 53 muzeów i kolekcji prywatnych.

ZASŁONIĘTY WŁASNYM MITEM

Są artyści, których twórczość jest mniej znana niż ich dramatyczny życiorys. Pamiętam, że w moim liceum w latach 80. w szkolnej bibliotece był egzemplarz wydanej w latach 60. biografii Modiglianiego „Piekło i raj" pióra André Salmona, który dosłownie rozsypywał się w rękach, tak był doszczętnie sczytany. Piosenka „Nasz Modigliani" grupy Nasza Basia Kochana była bun-

eprasa.pl 920a274a11

towniczym hymnem młodzieży w latach 70. „Życie jest darem od nielicznych dla wielu / Od tych którzy wiedzą i mają / Dla tych którzy nie wiedzą i nie mają”.

Użyte w piosence Jerzego Filara słowa to cytat z listu Modiglianiego do swej muzy Ludwiki (Luni) Czechowskiej. Ta córka anarchisty z warszawskiej Pragi była przez wiele lat najbliższą powiernicą rozterek artystycznych malarza. Niedawno opowieść o relacjach Modiglianiego z Czechowską napisała Sylwia Zientek. Ale najsilniej chyba mit „malarza przeklętego” wykreował film „Modigliani, pasja tworzenia” z 2004 r., który zdobył popularność dzięki mistrzowskiej kreacji Andy’ego Garcii. Tu akcent postawiono na rywalizację za życia malarza z innym imigrantem Pablem Picassem.

Jednak ta fascynacja niezwykłym życiorysem malarza przesłoniła – jak się zdaje – samą jego twórczość. Dlatego wystawa w Poczdamie jest okazją do skonfrontowania się na nowo z jego płótnami, jego fascynującą estetyką. Stylem, który tak bardzo różni się od wszystkich innych malarzy z jego czasów. Właściwie wystawa ma dwie części. Pierwsza to jego słynne akty, a druga to portrety postaci z jego otoczenia z paryskich lat 1906–1920.

TAJEMNICA SZARYCH OCZU

Akty leżące – nu couché. Jest ich na wystawie w Palazzo Barberini aż 23. Najpiękniejsze są te, które przedstawiają modelkę Jeanne Hébuterne, która była matką jego dwojga dzieci i którą traktował fatalnie. Jak na tamte czasy akty leżące prezentowały się istotnie bardzo śmiało. Malowanie włosów łonowych modelek było wtedy traktowane jako skandaliczny naturalizm. Pierwsza i ostatnia wystawa aktów Modiglianiego odbyła się w paryskiej galerii należącej do marszandki Berthe Weill w grudniu 1917 r. Tamta ekspozycja zakończyła się szybką interwencją policji, która zakwestionowała ekspozycję na podstawie przepisów o ochronie dobrych obyczajów.

Dziś w książce o Modiglianim przedstawia się ten najazd mundurowych na galerię jako przykład pruderii dawnej epoki. Chyba niesłusznie. Autorzy zapominają, że trwała wówczas wojna, w której codziennie ginęły tysiące

Chaim Soutine na zdjęciu i na portrecie

FOT. THE JEWISH MUSEUM (NY), STAATSGALERIE STUTTGART

Leopold Zborowski na zdjęciu i na portrecie

FOT. ARCHIWUM LIDII DMOCHOWSKIEJ, THE ISRAEL MUSEUM

Mojżesz Kisling na zdjęciu oraz na portrecie

FOT. DOMENA PUBLICZNA, PINACOTECA DI BRERA

młodych Francuzów, a ludzie cierpieli niedostatek z racji gospodarki wojennej. Nic dziwnego więc, że wystawianie w takim trudnym czasie nagich aktów na witrynie salonu madame Weill musiało budzić naturalny sprzeciw.

Kobiety uwieczniane w słynnych aktach mistrza raz mają namalowane oczy, a raz zamiast nich malarz umieszcza migdałowate szare źrenice. Te nieobecne oczy są dziś znakiem rozpoznawczym płócien Modiglianiego. 9 listopada 2015 r. jeden z jego aktów został sprzedany w londyńskim salonie aukcyjnym Christie aż za 170 mln dol. Obraz powędrował do Chin do tamtejszego milionera i konesera sztuki, który nazywał się Liu Yigalem.

W Poczdamie możemy się przyjrzeć aktom Modiglianiego za niewygórowaną cenę biletu. Modelki chętnie mu pozowały. Włoski malarz o orientalnym sefardyjskim wyglądzie miał – jak zgodnie twierdzą świadkowie jego życia – hipnotyzującą wręcz urodę. Gdy spodobała mu się jakaś dziewczyna, nie miał oporów, by wprost na ulicy proponować jej pozowanie. André Salmon wspominał: „Zaczepiał je z wdziękiem, odrobinę górnolotnym, by zaprowadzić je do siebie. Łagodnie, ale nieco władczo [...]. Zdawała się promieniować z jego postaci jakaś tajemniczość, której piękno obywało się bez malowniczej scenerii”.

Akty na leżąco malował między jesienią i zimą 1917 r. a wiosną i latem 1918 r. w okresie intensywnego napływu sił twórczych. Tyle że ten powrót energii miał się nijak do jego warunków bytowych. W jego nędznym atelier, jak wspominały po latach byłe modelki, były tylko kanapa, dwa krzesła, statyw do obrazu i nieodłączna butelka brandy. Te akty, już po śmierci Modiglianiego, początkowo były niekiedy wyrzucane na śmietnik. Dopiero ponad dekadę później marszandzi zaczęli wygrzebywać je z piwnic na Montparnassie, a handlarze sztuką zorientowali się, że dzieła Modiglianiego stały się złotym interesem. Samemu artyście, który leżał już wtedy od dawna w zimnym grobie, nic z tego renesansu popularności jego dzieł nie przyszło.

KTO JEST KIM?

Autorzy wystawy wpadli na prosty pomysł. Zderzyli portrety Modiglianiego z życiorysami postaci, które malował. Oto Leopold Zborowski (1889–1932), dobry duch opiekuńczy Modiglianiego – Żyd z naszych kresowych Zaleszczyk. Do Paryża przybył w 1913 r. i natychmiast zaczął handlować obrazami Modiglianiego oraz je lansować. To on opłacał modelki dla artysty, wierzył w jego talent. Po śmierci mistrza przejął wszystkie pozostawione przez niego obrazy. Zmarł w 1932 r. załamany kryzysem, który zatrzymał popyt na płótna.

A teraz stajemy przy portrecie Mojżesza Kislinga z Krakowa (1891–1953). Ten wychowanek polskiego malarza Józefa Pankiewicza zdobył dyplom na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, ale rychło wyjechał do Paryża zwabiony legendą

eprasa.pl 920a274a11

nowych trendów w malarstwie. Nazywano go „księciem Montparnass'u" i był jednym z niewielu szczerych przyjaciół Modiglianiego.

Z żydowskiego sztetla w Śmiłowiczach koło Mińska Litewskiego wywodził się z kolei Chaim Soutine (1893–1943), który przyjął z czasem zgalicyzowaną formę nazwiska Sutin. Według paryskiej legendy Sutin, używający wówczas francuskiej formy nazwiska Soutine, wdarł się z grupą przyjaciół do paryskiej rzeźni, by ukraść rozpłataną tuszę wołową. Wisiała ona następnie parę dni w pracowni malarza, „aby nabrała odpowiedniej barwy". W końcu lokatorzy wezwali straż miejską, bo nie mogli znieść narastającego fetoru w pracowni. Soutine zmarł schorowany w czasie ukrywania się przed Niemcami okupującymi Paryż.

Nie sposób przeoczyć też utrzymanego w ciemnych barwach portretu Diego Rivery (1886–1957). Ten meksykański malarz, niestrudzony uczestnik popijaw z Modiglianim, zachwycał się wówczas artystyczną aurą Paryża. Potem znany był bardziej ze swego związku z Fridą Cahlo. Ale wtedy na paryskim bruku był tylko lekceważonym Latynosem. I wreszcie portret kobiety, którą romans z Modiglianim po prostu zniszczył. To wspomniana już Jeanne Hébuterne (1898–1920). Jako obserwatorka malarstwa poznała Modiglianiego, który zrobił na niej ogromne wrażenie. Malarz był ojcem jej dziecka, ale przez większość

Diego Rivera na zdjęciu i na portrecie

FOT. DOMENA PUBLICZNA, KUNSTSAMMLUNG NORDRHEIN-WESTFALEN

Zdjęcie i portret Jeanne Hébuterne, matki dwojga dzieci Modiglianiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA, OHARA MUSEUM OF ART (KURASHIKI)

sukcesów. Dominują tragiczne zgony, wieczny brak pieniędzy i zanurzanie się w otchłaniach alkoholu i używek. A mimo to media i twórcy skupiają się na romantycznym aspekcie życia ówczesnej bohemy artystycznej. Nic dziwnego. W końcu barwne opowieści o kradzieży tuszy wołowej z paryskiej rzeźni brzmią atrakcyjniej od opisu malarza zwijającego się w amoku głodu heroinowego.

Dlaczego Modigliani tak często malował szare migdałowe oczy bez źrenic zamiast oczu? Podobno mistrz nigdy nikomu nie chciał tego wyjaśnić. Można powiedzieć jedno: na pewno było to nawiązanie do stylu afrykańskich masek

życia uchylał się od związania ze swoją wyznawczynią. Obrońcy Modiglianiego twierdzą, że tuż przed śmiercią chciał ją poślubić, ale zanim do tego doszło, malarz zmarł wyniszczony heroiną. Jeanne na wieść o śmierci ukochanego rzuciła się z okna, mimo że nosiła w swym ciele nienarodzone dziecko artysty.

To tylko pięć z ponad 20 postaci z bohemy paryskiej, które malarz sportretował. Mało wśród tych osób

Ostatnia część wystawy to portrety tzw. sawantek. Były to wyemancypowane panie. Żyły, z kim chciały, i spały ze swoimi partnerami na zasadzie wolnej miłości. To one były najbardziej zwracającą uwagę częścią bohemy na Montparnassie w latach wojny. Po wojnie wszystkie kobiety przyjęły ich fryzury na chłopczycę. Nosiły demonstracyjnie męskie stroje – bardzo często marynarskie mundurki. Tyle że okresy sławy trwały krótko, a potem te emancypantki zazwyczaj ginęły w labiryncie alkoholu i narkotyków. Pozostały po nich ich portrety – twarze dumne, drapieżne i wyzywające.

BELLE ÉPOQUE?

Dlaczego Modigliani tak często malował szare migdałowe oczy bez źrenic zamiast oczu? Podobno mistrz nigdy nikomu nie chciał tego wyjaśnić. Można powiedzieć jedno: na pewno było to nawiązanie do stylu afrykańskich masek, które budziły wtedy w Paryżu wielkie zainteresowanie. Mało kto wie, że Modigliani przed pierwszą wojną światową widział siebie raczej w roli rzeźbiarza niż malarza. Na wystawie zgromadzono wiele jego rzeźb. Jednak tuż przed wielką wojną porzucił rzeźbę i wrócił do malarstwa.

Oczywiście – jak to często bywa w Niemczech – autorzy wystawy nie powstrzymali się przed dość nachalną feministyczną agitką. „Wystawa pokazuje malarza jako kronikarza rosnącej kobiecej pewności siebie w latach poprzedzających wojnę światową i w jej trakcie". Podobny charakter mają opinie w katalogu, że „międzynarodowy skład środowiska Modiglianiego był protestem przeciw narastającemu nacjonalizmowi tamtejszej epoki".

Modigliani i jego kumple zapijający się najtańszym winem jako kontestatorzy wielkiej rzezi narodów? To byli po prostu imigranci, którzy na paryskim bruku lgnęli do siebie, bo ani nie mieli tu rodzin, ani nie mieli wejść do paryskiej elity. Mieli tylko talent i jedni lepiej, a drudzy gorzej go wykorzystywali. A otaczały ich kobiety lgnące do artystycznego półświatka. Takie jak wspomniana już córka rewolucjonisty Lunia Czachowska czy nieszczęsna Jeanne Hébuterne, która wzgardziła mieszczańskim domem, by towarzyszyć Modiglianiemu aż do śmierci – jego i jej.

Każdy, kto chce poznać tę epokę – bardzo ważną dla malarstwa – powinien wybrać się do Poczdamu. Tylko nie powinien zapominać, że za malarskimi poszukiwaniami stały tragedie, pułapki nałogów i często śmierć w nędzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Modigliani. Współczesne spojrzenie" czynna będzie w Museum Palazzo Barberini w Poczdamie do 18 sierpnia 2024 r.

eprasa.pl 920a274a11

Tajemnica Johna Chau

Piotr Gociek

Sprawnie zrealizowany dokument „Misjonarz" jest – zapewne wbrew intencjom twórców – opowieścią nie o straceńczej wyprawie, lecz o próbach wiary

Każde pokolenie od czasów Jezusa czeka na jego powrót. Bezskutecznie. Dlaczego? Wierzę, że przyczyną są sami chrześcijanie, którzy nie wypełnili zadania niesienia słowa Bożego w każdy zakątek Ziemi" – zapisał w swoim dzienniku John Allen Chau.

W październiku roku Pańskiego 2018 Chau przybył do Port Blair, największego miasta na należącej do Indii wyspie Andaman Wschodni. Tam rozpoczął ostatni etap swoich przygotowań. Nie były trudne – John był doświadczonym miłośnikiem survivalu, który od lat spędzał wiele czasu w dziczy. Listę potrzebnego ekwipunku i lekarstw miał gotową już dużo wcześniej. W Port Blair skupił się na przygotowaniu podarunków oraz tablic z rysunkami, które miały pomóc mu w porozumieniu się z mieszkańcami wyspy Sentinel Północny.

„Choć antropolodzy nazywają ich Sentinelczykami, nikt nie wie, jak sami się określają" – pisał Adam Goodyear w roku 2000 na łamach kwartalnika „The American Scholar" w artykule „The Last Island of the Savages". Niewielu widziało ich na własne oczy, nie wiemy, jakim językiem się posługują. Maleńka wyspa (nieco ponad 70 km kw.) nigdy nie wzbudziła zainteresowania podróżników, kupców czy kolonizatorów. Tak mała, że niewarta uwagi; uważano ją także powszechnie za niezamieszkaną.

WYSPA PEŁNA TAJEMNICZYCH MIESZKAŃCÓW

Wedle relacji kapitana frachtowca „Primrose", który w sierpniu 1981 r. rozbił się na rafie koralowej nieopodal Sentinelu Północnego, na brzegu wyspy dało się dostrzec grupę kilkudziesięciu tubylców. Byli niedużego wzrostu, ciemnoskórzy, o kędzierzawych włosach, odziani jedynie w przepaski na biodrach. Nie zachowywali się przyjaźnie. Byli uzbrojeni w łuki i włócznie. Załoga „Primrose" każdej nocy oczekiwała ataku. Po tygodniu marynarze z frachtowca zostali ewakuowani drogą powietrzną. Pozostała tajemnicza wyspa pełna tajemniczych mieszkańców. Rząd Indii odrzuca plotki, jakoby byli to kanibale. Naukowcy podkreślają, że to jedno z ostatnich plemion nietkniętych cywilizacją, i apelują o pozostawienie ich w spokoju. Wedle jednych Sentinelczycy żyją na swej wyspie osobno „od tysięcy lat", inni wskazują, że może to być nawet 30 tys. lat. Może być. A może i nie. Nikogo nie było w pobliżu, aby obserwować, kiedy i jak się na wyspę wprowadzili.

Wiemy natomiast, jak wyglądał ich ostatni kontakt z cudzoziemcami. W połowie listopada 2018 r. John Allen Chau, 26-letni amerykański misjonarz, z pomocą rybaków dotarł na plażę Sentinelu Północnego. W swoim dzienniku odnotował, że pomogli mu bracia w wierze. Wedle innej wersji miał on przekupić miejscowych rybaków. Mnogość wersji i interpretacji to cecha charakterystyczna dla całej tej historii, choć wydaje się ona prosta: Sentinelczycy zabili przybysza.

Dokumentalny film „Misjonarz" („The Mission", 2023) przemknął kilka miesięcy temu przez ekrany polskich kin. Teraz oglądać go można w serwisie Disney+. Jego twórcy, Amanda McBaine i Jesse Moss, wykonali sporo pracy: nagrali przyjaciół i współpracowników Johna, przyjrzeli się fenomenowi m.in. organizacji misyjnej All Nations i kilku wcześniejszym próbom ewangelizacji dzikich plemion w ostatnich dekadach. Wzorem do naśladowania był dla Chaua misjonarz Bruce Olson, który w latach 70. XX w. z sukcesem nawracał mieszkańców dżungli w Kolumbii i Wenezueli (lud Motilone Bari). Swe doświadczenia opisał w bestsellerowej książce „Bruchko".

Przede wszystkim twórcy „Misjonarza" oddali jednak głos samemu Johnowi Chau, cytując obszerne fragmenty jego notatek i listów. Ojciec zabitego misjonarza, Patrick Chau, nie zdecydował się na występ przed kamerą. Jego słowa także odczytywane są przez aktora, zaczerpnięte z publicznie dostępnych materiałów. Ze względu na brak materiału filmowego wiele sekwencji zostało przedstawionych w formie animacji, szczególnie jeśli chodzi o ostatnie tygodnie życia młodego misjonarza. McBaine i Moss przedstawiają rozmaite punkty widzenia: rodziny, kaznodziejów, historyków, antropologów, innych misjonarzy. Mimo że uznawani są za dokumentalistów ze szkoły cinéma-vérité, nie pozostają bezstronni.

Konfrontację narracji zacząć możemy właśnie od Patricka Chau, ojca Johna. Uciekł z Chin w czasach rewolucji kulturalnej, w Ameryce poślubił Lyndę Adams. John był jego najmłodszym dzieckiem. Rozpacz rodzica po utracie dziecka zawsze jest zrozumiała, gdzieś w słowach Patricka pobrzmiewa także żal, że ziemia obiecana, miejsce, gdzie czekała lepsza

eprasa.pl 920a274a11

przyszłość, odebrała mu syna. Nie może być jednak całkiem zaskoczony: Lynda była aktywną działaczką organizacji Chi Alpha krzewiącej Słowo Boże wśród młodych, John uczył się w Vancouver Christian School. Nie można się dziwić, że młodzieniec wychowywany na chrześcijanina stał się gorliwym chrześcijaninem. Dlaczego postanowił służyć Bogu, ryzykując życie jako misjonarz? To osobne pytanie – i najważniejsze w całym filmie.

ZOSTAWIĆ W SPOKOJU

Patrick Chau nie atakuje wiary wprost, ale daje do zrozumienia, że jego syn zadawał się z niewłaściwymi ludźmi – tzn. członkami ewangelikalnych wspólnot, dla których krzewienie wiary było najważniejszym zadaniem stojącym przed chrześcijaninem. Ten ton powraca w „Misjonarzu": podział na „dobrych" i „złych" chrześcijan. Modlić się, chodzić do kościoła, brać udział w mityngach? Czemu nie? Ale żeby od razu nawracać? Bez przesady, mamy przecież XXI w.

Uniwersyteccy mędrcy, którym twórcy filmu oddają głos, uderzają w inne tony:

Modlić się, chodzić do kościoła, brać udział w mityngach? Czemu nie? Ale żeby od razu nawracać? Bez przesady, mamy przecież XXI w.

dla dobra samych Sentinelczyków trzeba zostawić ich w spokoju, obcy przynieść im mogą jedynie choroby, próba kontaktu skończyć się musi zagładą unikatowej społeczności. Zatem w imię nauki John Allen Chau winien od swych zamiarów odstąpić. Zaraz potem idą argumenty natury ideologicznej: sama koncepcja szerzenia wiary i nawracania dzikich plemion jest rasistowskim wymysłem białego człowieka, który chce narzucać innym swoją wizję świata. A przecież wszystkie kultury są sobie równe i gdyby Sentinelczycy chcieli coś o Jezusie usłyszeć, toby sami zapytali. Skoro jednak do nas się po nauki nie wybierają, to należy ich pozostawić w spokoju. Tylko kolonizator, patriarchalny agresor i religijny szaleniec mógłby myśleć inaczej. Jakiego rodzaju szaleństwo miałoby poprowadzić Johna ku śmierci? Kompleks mesjasza – odpowiadają przed kamerami niektórzy bohaterowie filmu. Byłby zatem według nich młody Chau osobnikiem dotkniętym schizofrenią lub cyklofrenią. Bo któż inny w naszych czasach może uważać, że został do jakiegoś dzieła wybrany, że czeka go jakieś przeznaczenie?

Skoro już jesteśmy przy próbie krytyki przez racjonalizację, to odnotujmy jeszcze jeden zarzut, który pada w filmie „Misjonarz": zmarnowane życie. Młody, wykształcony, energiczny, powszechnie lubiany, przystojny (była w życiu Chau i pewna dziewczyna) – toż to grzech lekką ręką odrzucić wszystkie te dary i w imię jakiejś dziwacznej fantazji wyzionąć ducha na plaży wyspy u krańca świata. A taki był obiecujący, taka przyszłość przed nim! O słodka hipokryzjo! Odnotujmy to uważnie: mieszkańcy świata, w którym czymś normalnym i powszechnym mają być zabijanie dzieci nienarodzonych oraz eutanazja na życzenie, mają

eprasa.pl 920a274a11

John Allen Chau FOT. MATERIAŁY PRASOWE

pretensję, że swoje „prawo wyboru" John Allen zużył poprzez wystawienie się na strzały Sentinelczyków. Ach, gdyby po prostu rzekł, że ma nieuleczalną depresję i trzeba mu zrobić pilnie zastrzyk…

Jest wreszcie zarzut najcięższy: chrześcijaństwo jako takie. Gdyby nie istniało, to John Chau żyłby sobie spokojnie dalej. A tak trzeba jego nazwisko dopisać do długiej listy ofiar tej wstrętnej religii. Nie żartuję, jeno streszczam punkt widzenia najdziwniejszej i najsmutniejszej figury, która pojawia się w filmie duetu McBaine i Moss. To także postać najznaczniejsza, ceniony akademik, autor licznych prac z dziedziny lingwistyki, niejaki Daniel Everett. To z jego ust padają w finale „Misjonarza" słowa o tym, że to nie do wiary, iż dziś, w XXI w., są jeszcze ludzie, którzy na serio biorą mity z pierwszego stulecia naszej ery – tzn. słowa Biblii. Co gorsza – narzeka Everett – z miliardów chrześcijan żyjących na świecie pewnie tak z miliard solidaryzuje się w pełni z Johnem Chau i jego prozelityzmem.

Daniel Everett, przybierający pozę mędrca, to także misjonarz. Tyle że upadły. Co tłumaczyć może jego neoficką zaciekłość, z którą stara się deprecjonować nie tylko samego młodego Amerykanina, lecz także wszystko, co go uformowało. Everett, nawrócony na chrześcijaństwo w 17. roku życia, doskonalił swe zdolności językowe na kursach dla misjonarzy, gdzie uczono przekładania Pisma Świętego na języki i dialekty odległych ludów świata. Jako 18-latek poślubił Keren Graham (córkę misjonarzy). Kilka lat później wraz z żoną i trojgiem dzieci przeprowadził się do Brazylii, gdzie szlifowali portugalski i szykowali się do pracy w dżungli. W roku 1978 cała rodzina zamieszkała w wiosce plemienia Pirahã nad rzeką Maici w Amazonii, by studiować język tubylców i nawracać ich na wiarę Chrystusa.

Zebrane przez kolejne dwie dekady materiały stały się paliwem rakietowym dla późniejszej kariery uniwersyteckiej Everetta. Celu misjonarskiego osiągnąć się jednak nie udało. Sam naukowiec, rozczarowany brakiem postępów i opornością Pirahã na zrozumienie konceptu Jezusa, utracił wiarę (o czym zresztą opowiada w filmie „Misjonarz"). Przez wiele lat ukrywał ten fakt przed rodziną; kiedy wreszcie przyznał się do ateizmu pod koniec lat 90., skończyło się to rozwodem. Także dwoje dzieci państwa Everett zerwało wszelkie kontakty z ojcem.

Należałoby tu powtórzyć słowa o słodkiej hipokryzji – Daniel Everett przez 15 lat udawał przed własną rodziną, że jest wierzący, podczas gdy zbierał jedynie materiały do przyszłej naukowej sławy, do prac, które miały pozwolić mu w przyszłości zdobyć uniwersyteckie uznanie i siłować się w polemikach z Noahem Chomskym. Teraz ten sam Everett występuje jako główny ekspert od spraw wiary Johna Allena Chau.

PRÓBA WIARY

„Misjonarz" to sprawnie zrealizowany dokument o wartkiej narracji; film, z którego dowiadujemy się wielu rzeczy, ale który ostatecznie omija sedno sprawy. Może dlatego, że referując rozmaite punkty widzenia, omija pytanie najważniejsze: Czego chce od nas Bóg? Ku czemu jesteśmy powołani? Z notatek młodego misjonarza wyłania się obraz człowieka głęboko wierzącego, a wiara ta jest gorąca i czysta. Być może zgrzeszył pychą. A może nie? Nie dowiemy się tego, przynajmniej nie na tym świecie, bo wszystko to pozostaje między nim a Stwórcą.

Jeśli chrześcijaństwo jest tylko bajką, mitem „z pierwszego stulecia" – jak prawi pan Everett – to film „Misjonarz" jest jedynie opowieścią o wariacie ogarniętym manią wielkości. Dla tych, którzy uważają inaczej, będzie – zapewne wbrew intencjom twórców – opowieścią nie tyle o samym Johnie Chau, ile o próbie wiary. O trudnej sztuce czytania znaków. Jest przypomnieniem słów z Ewangelii Mateusza: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody" i okazją do zapytania, kto i w jaki sposób rozumie je dziś i wypełnia. Daniel Everett swej próby nie przeszedł, więc łatwo w jego słowach dostrzec próbę samoobrony przez deprecjonowanie wiary innych. „Boże, nie chcę umrzeć" – zapisał w jednej z ostatnich notatek Chau. Potem znów wyruszył na brzeg. I co innego było mu pisane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

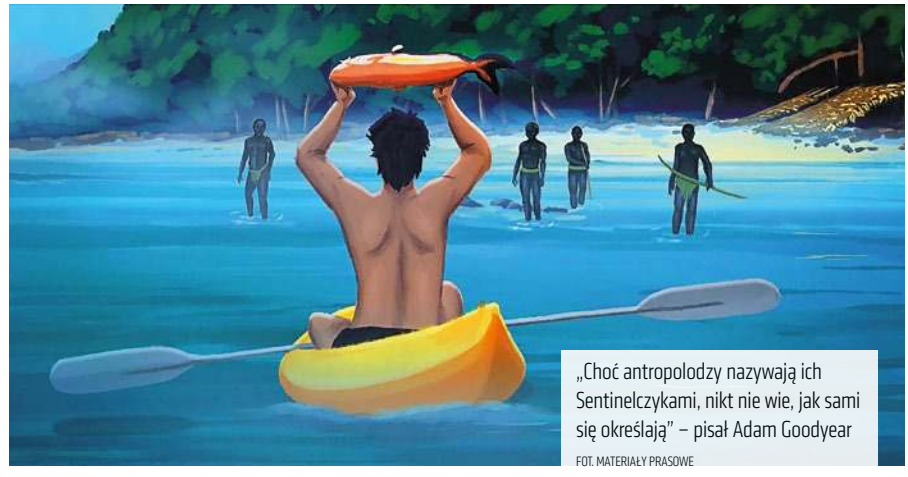
„Choć antropolodzy nazywają ich Sentinelczykami, nikt nie wie, jak sami się określają" – pisał Adam Goodyear
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 920a274a11

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Synowie złudzenia

★★★☆☆☆

REŻ. JEFF NICHOLS
„MOTOCYKLIŚCI" („BIKERIDERS")
USA 2023

wyst. Tom Hardy, Austin Butler, Jodie Comer

Duch „Synów anarchii" unosi się nad filmem „Motocykliści". Co w życiu ważniejsze: rodzina czy kumple na harleyach? Czy można być prawdziwym bikerem, nie wchodząc w konflikt z prawem? Czy istniało w ogóle coś takiego jak „złota era motocyklistów"? W latach 60. XX w. fotograf Danny Lyon podróżował kilka lat z gangiem Outlaws (jednym z największych w USA). To, co widział i słyszał, opisał w albumie „The Bikeriders" (1968 r.), który zainspirował reżysera i scenarzystę Jeffa Nicholsa.

Nichols zamienił nazwę Outlaws na Vandals i dał założycielowi grupy słodkie początki: Johnny (gra go Tom Hardy) zobaczył w telewizji powtórkę „Dzikiego" z Marlonem Brando i postanowił, że też chce zostać buntownikiem. Założona przez niego ekipa to jednak jeszcze nie groźni bandyci, tylko grupa tatusiów znudzonych życiem rodzinnym oraz paru zapalonych mechaników. Główne zajęcie – wspólne picie piwa i robienie groźnego wrażenia podczas wspólnych przejażdżek po mieście. Czasem jakaś bójka, czasem ściganie się dla frajdy z policyjnymi radiowozami.

Historię Wandali opowiada Kathy (Jodie Comer), żona jednego z bikerów, charyzmatycznego Benny'ego (Austin Butler stylizowany na skrzyżowanie Jamesa Deana z Johnym Deppem). A wysłuchuje jej wspomniany fotograf Danny Lyon (w tej roli Mike Faist). Seria epizodów układa się w historię, którą dobrze znamy: nowi członkowie grupy nie chcą słuchać starych i zadowalać się browarem – wolą rabować, gwałcić, zabijać i handlować prochami. Lektura akt spraw sądowych członków prawdziwych Outlaws (i im podobnych) jeży włos na głowie. Jak wielu innych przed nim, Nichols wpada w pułapkę nostalgii i zanim pokaże smutną praktykę, wybiela początki karier bandziorów, którzy nie mają nic wspólnego z romantycznymi marzeniami o wolności i „walce z systemem".

Nichols zebrał na drugim planie świetną obsadę. Co scena, to atrakcja: Michael Shannon, Norman Reedus (motocyklista Daryl z „The Walking Dead"), Boyd Holbrook, Damon Herriman (grał Charlesa Mansona u Tarantino). Nie wykorzystuje jednak tego aktorskiego potencjału, zatrzymując się na niezbyt świeżej refleksji: wszyscy marzymy o wolności. „Nikogo o nic nie proszę, nikomu nic nie zawdzięczam" – mówi Benny. Łudzi się. To nie wolność, to samolubna samotność. ©℗

NOWE SERIALE: „BATMAN: MROCZNY MŚCICIEL"

prime video

Ed Brubaker, twórca komiksów i współautor serialu Refna „Za starzy na śmierć" (2019 r.), wskrzesza ducha klasycznego serialu noir „Batman: The Animated Series". Dwa sezony zamówione przez HBO trafią ostatecznie do Amazona. Animowana opowieść koncentruje się na wczesnych latach aktywności Batmana, zanim jeszcze wszedł w sojusz z komisarzem Jimem Gordonem. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Batman: Mroczny mściciel" („Batman: Caped Crusader"), USA 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Kobiety w błękicie" („Las Azules"),*** *Meksyk 2023* — tv+
- *sezon 1* ***„Knuckles",*** *USA 2024* — sky SHOWTIME
- *sezon 5* ***„Niezapomniane" („Unforgotten"),*** *Wielka Brytania 2023* — BBC FIRST

eprasa.pl 920a274a11

KINO

Urodzone morderczynie

Feminizm w wersji bojowej. Padają ostatnie bastiony toksycznej męskości: siłownie i strzelnice. Wyobraźcie sobie fabrykę mięśniaków, w której panowie wylewają hektolitry potu oraz szprycują się sterydami, zarządzaną przez lesbijkę. Nikt jej nie podskoczy, jest bowiem córeczką bossa lokalnej mafii. Siostra Lou to nudziara, kocha na zabój męża – damskiego boksera. Kruchą równowagę patologicznej rodzinki naruszy biseksualna kulturystka z Oklahomy, czuła na kobiecą krzywdę.

Polsko-angielski duet scenarzystek szydzi z amerykańskiego podejścia do ciała i broni palnej, lecz przesadną oryginalnością nie grzeszy. Fabułą o wyznawczyniach Safony wplątanych w kryminalną aferę debiutowali bracia Wachowscy. We francuskim „Gwałcie" eksterminacji męskich szowinistycznych świń towarzyszyły sceny hard porno. Kino zemsty bije rekordy popularności, tylko czekać, aż ktoś stworzy festiwal dedykowany temu gatunkowi. Kiczowata „Dzikość serca" Lyncha inspiruje zaś kolejne pokolenia.

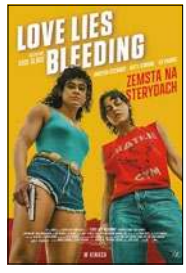

★★★★☆☆
REŻ. ROSE GLASS
„LOVE LIES BLEEDING"
USA/WIELKA BRYTANIA 2024

wyst. Kristen Stewart, Katy O'Brian, Ed Harris

Uczciwość każe przyznać, że „Love Lies Bleeding" potwierdza famę o reżyserskim talencie Rose. Obawiam się jednak, że pastiszowy ton filmu może wzbudzić obiekcje smakoszy thrillerów ociekających krwią i feromonami. O reakcję fanów art house'u bym się nie martwił. Oni kupią każdy towar opatrzony etykietą: „kino autorskie". ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

I TO WSZYSTKO?

max

★★★☆☆☆
REŻ. LAURENT BOUZEREAU
„FAYE"
USA 2024

Faye Dunaway: modelka, ikona mody i przede wszystkim gwiazda kina próbującego wyzwolić się ze schematów i cenzuralnych ograniczeń starego Hollywood. Na ekranie zwykle była silną, niezależną kobietą – zanim stało się to modne. Co najmniej trzy z filmów, w których wystąpiła („Bonnie i Clyde", „Chinatown" oraz „Sieć"), uchodzą za klasyki. Mogła zostać aktorką stulecia, jednak opinia zawziętej, humorzastej i trudnej we współpracy hetery sprawiła, że wiele ról przeszło Faye koło nosa. W dokumencie podsumowującym jej życie i karierę o dziwo jest dowcipna i zdystansowana. Szczerze opowiada o swych korzeniach i depresjach, mniej chętnie o romansach. Niestety, Dunaway (rocznik 1941) przegrała walkę z czasem i dziś z twarzy przypomina Mickeya Rourke'a, swego partnera z „Ćmy barowej". W pamięci zostaje fotografia: nazajutrz po otrzymaniu Oscara Faye pozuje na tle basenu z miną mówiącą: „I to wszystko?". ©℗

LATO W MIEŚCIE

red.go

★★★★☆☆
REŻ. ALFRED HITCHCOCK
„OKNO NA PODWÓRZE"
(„REAR WINDOW")
USA 1954

wyst. James Stewart, Grace Kelly, Thelma Ritter

Już 70 lat filmowi krytycy pastwią się nad „Oknem na podwórze". Jednych zachwyca autotematyzm, inni dopatrują się zaszyfrowanych treści, które zdekodować może tylko człek obeznany w psychoanalizie oraz obsesjach Hitchcocka. Tymczasem intryga jest prosta jak autostrada Wrocław – Berlin. Bez trudu dałoby się ją wystawić na deskach teatru. Oto szalejący fotoreporter źle znosi żywot rehabilitanta, urozmaicony jedynie wizytami pielęgniarki tudzież Lisy – „zbyt doskonałej" narzeczonej. Powodowany nudą i wścibstwem obserwuje sąsiadów. Lato w Greenwich Village jest upalne, okna są otwarte na oścież i w końcu Jeff zauważy coś, czego widzieć nie powinien. Hitch jest w swoim żywiole: opowiada obrazem, bawi się słowem, znalazł nawet czas na wymyślenie strojów zjawiskowej Grace Kelly. „Okno na podwórze", dzieło nowatorskie, jak na ironię sukces zawdzięczało odwiecznej ludzkiej pasji: podglądactwu. ©℗

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „F1 MANAGER 2024"

★★★★☆☆

W swojej niszowej kategorii zdecydowanie najlepszy tytuł. A zatem fani F1, którzy chcieliby poprowadzić swój własny team, niech biorą w ciemno. Gra posiada oficjalną licencję, a zatem znajdziemy w niej wszystkie tory i zawodników z bieżącego sezonu. Naszym zadaniem jest czuwać nad pracą całego zespołu – od mechaników, inżynierów, do kierowców – oraz nad biznesowym aspektem naszego zespołu. Sport sportem, medale medalami, ale kasa też się musi zgadzać. ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *strategiczna*
- ***Platforma:*** *PS5, PS4, XSX, XONE, NS, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Frontier Developments*

eprasa.pl 920a274a11

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Palę Paryż

Do lektury książki Krzysztofa Lubczyńskiego zabrałem się w najlepszym, jak mogłoby się zdawać, momencie, bo w dniu otwarcia igrzysk olimpijskich w Paryżu. Pochłaniałem więc ten specyficzny przewodnik po stolicy Francji, ze szczególnym zainteresowaniem wczytując się w jego literackie odniesienia, a tych jest tam mnóstwo.

Ta literacka wędrówka po Paryżu przypomniała mi moje poznawanie tego miasta, właśnie poprzez książki. Ileż ich było! Z tym większą satysfakcją odnajdywałem więc odniesienia do powieści Balzaca i Flauberta, Dumasa i Zoli, France'a i Maupassanta, a przede wszystkim Wiktora Hugo. To przecież z jego „Nędzników" uczyłem się Paryża, łamiąc sobie język na nazwach ulic, placów i mostów, i nic dziwnego, że gdy pierwszy raz znalazłem się nad Sekwaną, musiałem zobaczyć most Notre Dame, z którego rzucił się do rzeki gnębiony wyrzutami sumienia inspektor Javert, czy Ogród Luksemburski, po którym Jean Valjean spacerował z Kozetą. Teraz, przy czytaniu książki Lubczyńskiego, zastanawiałem się, czy w Dzielnicy Łacińskiej trafiłem na ulicę Censier, gdzie mieszkali ci bohaterowie „Nędzników", jak również do kościoła Saint-Medard, gdzie chodzili na nabożeństwa. Bo już na pewno w dzielnicy Marais nie dotarłem na ulicę de la Verrerie, a tam pomieszkiwał Mariusz. Szkoda.

A skoro Hugo, to oczywiście i „Katedra Marii Panny w Paryżu", i „Rok 93". I właśnie czytając o paryskich tropach w tej ostatniej powieści, zacząłem oglądać transmisję z inauguracji igrzysk, by następnie śledząc to, czym uraczył milionową widownię nad wyraz postępowy Thomas Jolly, międlić przywołane przez Hugo w „Roku 93" zdanie Robespierre'a: „Ateizm jest arystokratyczny, prosty lud wierzy w Boga". Niemal dokładnie 230 lat temu Robespierre'a zgilotynowano i pochowano podobno w katakumbach, Bóg jeden wie gdzie. A wcześniej można go było spotkać na Pont Nef, po którym to moście spacerował sobie z pieskiem. Co się przez te lata zmieniło w Paryżu? Ludzie. Traktując serio słowa przywódcy jakobinów, żyją tam już chyba sami arystokraci. Widać dobrze się czują w takim świecie, jaki zamarzył się Johnowi Lennonowi w „Imagine".

FOT. PISARZE.PL

Przemysława Babiarza pozdrawiam w tym miejscu jak najserdeczniej. Powiedział, co myśli, a w swoim myśleniu nie jest wcale odosobniony. Co do mnie zawsze wolałem Stonesów od Beatlesów, z tym że Lennon to był fantastycznie zdolny facet, który jednak po tym, jak związał się z lewostronną Yoko Ono, zaczął wypisywać różne mądrości w rodzaju „Woman Is the Nigger of the World" czy „Imagine" właśnie. Bardzo się to podobało, a dziś to już wyjątkowo.

Transmisję obejrzałem, na szczęście, do końca. I zaszkliły mi się łzy już po pierwszych taktach „Hymne a l'amour" finalizującego koszmarne widowisko z popisami drag queen, a gdy zobaczyłem i usłyszałem Celine Dion, ryczałem już jak bóbr, choć jeszcze chwilę wcześniej, maksymalnie wnerwiony, chciałem wyłączyć telewizor. I już tylko powtarzałem te słowa, napisane i wyśpiewane po raz pierwszy 75 lat temu przez Edith Piaf, spoczywającą, co przypomina Krzysztof Lubczyński w swojej książce, w 97. kwaterze cmentarza Père-Lachaise:

Le ciel bleu sur nous peut s'effondrer
Et la terre peut bien s'ecrouler
Peu m'importe si tu m'aimes
Je me fous du monde entier...

Nie wiem, czy będę jeszcze kiedykolwiek w Paryżu i co z niego zostanie. Łatwo mi wyobrazić sobie „Mona Lisę" w nurtach Sekwany wrzuconą do rzeki przez jakieś „ostatnie pokolenie", obalone pomniki z naszym Mickiewiczem włącznie, wystawy artystów LGBT w Musée d'Orsay, Grand Palais zamieniony na jeden wielki squat. I nowe „fosy arystokratów", jak ta z dawnego przedmieścia Saint-Antoine, w której spoczywa 1,3 tys. zgilotynowanych przeważnie latem 1794 r. ofiar.

Wielki Molier pisał: „Tu l'as voulu, George Dandin". Ten dawny, wyfiokowany, libertyński Paryż sam sobie zgotował krwawą łaźnię. Widocznie jednak przykład jest za mało zniechęcający, a hasłu „Liberté, égalité, fraternité, ou la mort" można nadawać nową treść. Niegdyś komunista Bruno Jasieński napisał powieść pt. „Palę Paryż". Zanim jego wizja się spełni, doczytam „Paryż. Przewodnik literacko-historyczny" do końca. Piękne było miasto... ©℗

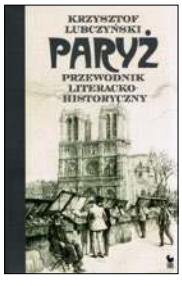

★★★★☆☆
KRZYSZTOF LUBCZYŃSKI „PARYŻ. PRZEWODNIK LITERACKO-HISTORYCZNY" ISKRY, WARSZAWA 2024

eprasa.pl 920a274a11

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Koniec to początek

Cywilizacja, którą znamy, zostaje w powieści Johna Wyndhama dotknięta dwoma ciężkimi ciosami: pewnej nocy tajemniczy deszcz meteorów oślepia niemal wszystkich mieszkańców Ziemi. Są powody, by podejrzewać, że broń chemiczna umieszczona na orbicie wymknęła się spod kontroli. Los milionów ślepców – i tak koszmarny, bo naraz świat przestał działać i znikąd nie można oczekiwać pomocy – staje się jeszcze tragiczniejszy z powodu tryfidów. Dziwne rośliny hodowane dla oleju stają się śmiertelnym zagrożeniem dla bezradnych ludzi, żerują bowiem niczym rosiczki, na świeżym mięsie, paraliżując ofiary silną toksyną. Jak niewidomy może wystrzec się takiego wroga?

Opowieść o tryfidach powstała w 1951 r., w czasach, gdy jak świat długi i szeroki eksperymentowano z roślinami, sprawdzając choćby, czy nie rozwijają się lepiej, gdy gra się im Beethovena. Rozpędzała się zimna wojna, każdy pomysł na niespodziewaną przewagę zdawał się dobry, jedni popadali w szaleństwo łysenkizmu, inni badali fenomeny paranormalne. U Wyndhama pojawia się sugestia, że tryfidy wyhodowane zostały przez Sowietów – w pierwszym PRL-owskim wydaniu książki owe partie zostały wykreślone przez cenzurę, podobnie jak fragment o angielskich komunistach pragnących na gruzach Wielkiej Brytanii zbudować gułag.

„Dzień tryfidów" jest jednym z wczesnych – i udanych – przykładów transformacji science fiction z literatury pomysłu w literaturę refleksji. Niezwykłe wydarzenia wprawiają akcję w ruch, ale to, co najciekawsze w książce Wyndhama, to obraz potrzaskanej ludzkości próbującej zorganizować się na nowo. Strategie przetrwania są rozmaite, w chwili próby okazuje się, na kogo można liczyć, na kogo nie, kto jest okrutnikiem, a kto altruistą; kto z nieszkodliwego marzyciela zamienił się w niebezpiecznego utopistę.

Wyndham błyskawicznie został klasykiem literatury fantastycznej, ze specjalizacją „postapo" czy raczej katastroficznej, bo terminu „postapo" jeszcze nie znano, został ukuty dopiero w latach 70. XX w. Powieść „Dzień tryfidów" napędzała czytelnikom stracha, ale zarazem pocieszała: próby są ciężkie, lecz wyjdziemy z nich zwycięsko. Nawet opowieści o końcu świata bywały optymistyczne w czasach wiary we własne siły i witalności Zachodu. To już niestety przeszłość. ©℗

★★★★★☆
JOHN WYNDHAM „DZIEŃ TRYFIDÓW" REBIS 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerny album dokumentujący życie i dorobek jednego z najważniejszych fotografów Powstania. Z trzech tysięcy zdjęć ocalała połowa. Ocalał też autor, który w 1946 r. uciekł z PRL do Szwecji, a potem do USA.

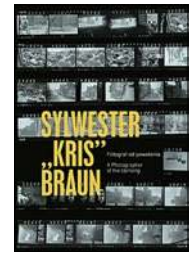

AUTORZY RÓŻNI „SYLWESTER »KRIS« BRAUN. FOTOGRAF OD POWSTANIA" MUZEUM WARSZAWY

Stworzone w ramach Grupy „Północ" 7 sierpnia zgrupowanie walczyło na Starym Mieście. Dzieje oddziału opowiada grafik, historyk, żołnierz, powstaniec, jeden z obrońców gmachu PWPW.

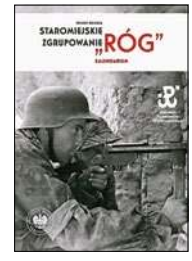

JULIUSZ KULESZA „STAROMIEJSKIE ZGRUPOWANIE RÓG" IPN I MPW

Wznowienie biografii znakomitej malarki włoskiej wczesnego baroku. Jako pierwsza kobieta została przyjęta do florenckiej Accademia del Disegno, jej dzieła są ozdobą kolekcji w muzeach od Detroit do Neapolu.

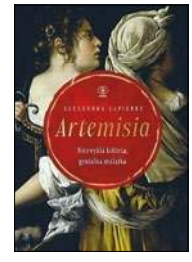

ALEXANDRA LAPIERRE „ARTEMISIA" REBIS

W starej angielskiej rezydencji od 300 lat straszy duch, którego imienia boją się nawet inne magiczne istoty. Czy jego los odmieni nowa lokatorka, młoda Amerykanka Jenny? Powieść autora „Ostatniego jednorożca".

recenzuje Piotr Gociek

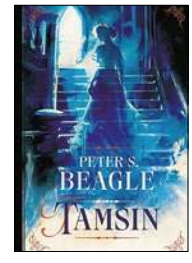

PETER S. BEAGLE „TAMSIN" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „MADEMOISELLE BAUDELAIRE"

Pod pseudonimem Yslaire kryje się wzięty belgijski rysownik i scenarzysta Bernard Hislaire, znany przede wszystkim z bestsellerowego cyklu „Sambre". Album „Mademoiselle Baudelaire" powstał z okazji dwusetnych urodzin poety Charlesa Baudelaire'a w 2021 r. Jest to opowieść o związku autora „Kwiatów zła" z kochanką i muzą Jeanne Duval, tancerką i aktorką z Haiti.

Piotr Gociek

YSLAIRE „MADEMOISELLE BAUDELAIRE" SCREAM COMICS 2024

eprasa.pl 920a274a11

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Wolski i genetyka pamięci

Wystawa „Xawery Wolski. Genetyka pamięci" nie skupia się tylko na postaci rzeźbiarza Xawerego Wolskiego [choć „stanowi próbę uchwycenia (jego) niezwykłej drogi życiowej i artystycznej"]. Jej istotą jest bowiem upamiętnienie dwóch rocznic: likwidacji więzienia niemieckiego w 1944 r. oraz więzienia NKWD w 1954 r. na Zamku Lubelskim.

„Ekspozycja ma na celu konfrontację dwóch sposobów zapisu pamięci: zbiorowej, historycznej, oraz subiektywnej pamięci jednostki – jej przeżyć, doświadczeń i myśli wyrażonych w dziele sztuki" – piszą autorzy wystawy, którzy postanowili oprócz dzieł Wolskiego użyć innej formy wyrazu – niepublikowanych wcześniej fragmentów wspomnień rzeźbiarza.

Wystawy nie zamknięto wyłącznie w sali wystaw czasowych. Objęła ona także inne miejsca lubelskiego wzgórza Zamkowego: dziedziniec, lapidarium, kaplicę Trójcy Świętej oraz średniowieczny zamkowy donżon. ©℗

FOT. MACIEJ NIEŻKO/MNWL

GDZIE? *Zamek Lubelski*
KIEDY? *do 1 grudnia*

FOT. KORDEGARDA

POD OKUPACJĄ

Artyści Referatu Graficznego Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej tworzyli plakaty, ulotki i rysunki do powstańczej prasy. Na wystawie można zobaczyć m.in. plakaty Mieczysława Jurgielewicza i Edmunda Burkego, Stanisława Tomaszewskiego, Henryka Chmielewskiego oraz prace graficzne i rysunkowe Mieczysława Jurgielewicza, Stanisława Tomaszewskiego, Aleksandra Sołtana, Ludwika Gardockiego i Jana Marcina Szancera. Są i zdjęcia dokumentujące plakaty na ulicach powstańczej Warszawy. ©℗

GDZIE? *Warszawa, Kordegarda*
KIEDY? *do 8 września*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zsynchronizowany produkt

Ostatni, najpopularniejszy album Policjantów ukazał się 17 czerwca 1983 r. Przyniósł pięć singli i rozszedł się w 11-milionowym nakładzie. W rzeczywistości sytuacja grupy nie była wówczas tak różowa, gdyż tworzyła ją trójka skłóconych muzyków. The Police od początku istnienia była sztucznym tworem. Zespół debiutował w okresie ekspansji punk rocka i nowej fali, tyle że jej członkowie byli nie tylko znacznie starsi od buntowników, lecz także wywodzili się z innych muzycznych rejonów. Sting grał jazz, Stewart Copeland występował w prog-rockowym Curved Air, a najstarszy, Andy Summers, debiutował jeszcze w latach 60., grając m.in. w Animalsach. Aby przypodobać się młodym słuchaczom, muzycy utlenili włosy i stworzyli popowe brzmienie na bazie wybielonego reggae. Okazało się ono idealną propozycją nie tyle dla punkowców, ile dla rockowej klasy średniej, która cieszyła się życiową stabilizacją. Serca tej samej publiczności równolegle podbiło Dire Straits i Phil Collins. I, co najważniejsze, byli to głównie amerykańscy yuppies.

Nowe, rozszerzone wydanie „Synchronicity" zawiera sześć kompaktów, na których znajdziemy piosenki z b-stron singli, 36 nagrań demo, 11 utworów niepublikowanych oraz nagrania koncertowe z tournée po USA z 1983 r. Zestaw uzupełniają: 64-stronicowa książka oraz cztery pamiątkowe zdjęcia grupy. ©℗

★★★★★

THE POLICE
„SYNCHRONICITY [SUPER DELUXE EDITION]"
POLYDOR

★★★★☆

MIKE CAMPBELL & THE DIRTY KNOBS
„VAGABONDS, VIRGINS & MISFITS"
BMG

Po śmierci Toma Petty'ego gitarzysta The Heartbreakers kontynuuje karierę z zespołem Dirty Knobs. Trzeci album Mike'a stanowi ucztę dla wielbicieli rockowego grania.

★★★★★

RICH RUTH
„WATER STILL FLOWS"
THIRD MAN RECORDS

Czwarty album rzeźbiarza dźwięków. Gitarzysta tworzy psychodeliczne figury, wplatając w konstrukcje dźwięki harfy, saksofonu, gitary hawajskiej i skrzypiec. Utwory przypominające mroczne suity składają się na niezapomnianą podróż po krainie brzmień i dźwięków.

eprasa.pl 920a274a11

Lato opery

FOT. OPERA KRAKOWSKA

Grzegorz Kondrasiuk

Lato to czas plenerowych wydarzeń oraz festiwali muzycznych i operowych

Zgodnie ze stereotypem na temat lata i sezonu ogórkowego letni program wakacyjny ma być lekki i wypoczynkowy. Ale jest to także czas plenerowych wydarzeń oraz festiwali muzycznych i operowych, wśród których – oprócz rozrywkowych formatów – pojawiają się także ambitniejsze propozycje. Informacje o nich niekoniecznie przebiją się do mediów, co nie przeszkadza w ich popularności wśród widowni, znacznie przewyższającej ofertę teatrów dramatycznych.

Wakacyjną stolicą opery i operetki w tym najbardziej tradycyjnym wydaniu jest oczywiście Krynica-Zdrój, za sprawą Festiwalu im. Jana Kiepury. To kilkadziesiąt wydarzeń w ciągu ośmiu dni (10–17 sierpnia), na trzech scenach: w amfiteatrze, w Pijalni Głównej i na krynickim deptaku. Oprócz gal i koncertów, składanek arii czy hitów musicalowych i filmowych do wysłuchania pełne spektakle operowe: Verdi („Nabucco" z Opery Krakowskiej), Puccini („Turandot") Lwowskiego Narodowego Akademickiego Teatru Opery i Baletu i Strauss („Zemsta nietoperza" w wykonaniu studentów katowickiej Akademii Muzycznej).

Wraca z drugą edycją zainicjowaną w ubiegłym roku bardzo ciekawa, szukająca niestandardowych form muzycznych propozycja z Supraśla. To festiwal „Metastasio bez granic" (14–18 sierpnia), z programem zbudowanym przez Michała Znanieckiego wokół twórczości słynnego librecisty Metastasia, drukowanego w polskich tłumaczeniach przez supraskich ojców bazylianów w XVIII w. Tegoroczna edycja Festiwalu tematycznie odnosić się będzie do postaci ze Starego Testamentu – Joasza, Króla Judy. W Supraślu i Białymstoku odbędą się m.in.: plenerowe widowisko „Diva bez lustra" z udziałem operowej Małgorzaty Walewskiej i zespołu Arte dei Suonatori, koncert Kantyków supraskich w wykonaniu Chóru Opery i Filharmonii Podlaskiej, happeningi uliczne, warsztaty edukacyjne oraz prapremiera opery Pawła Łukaszewskiego „Joasz – Król Judzki". Jest to pierwsza z cyklu oper zamawianych przez Operę Podlaską według librett Metastasia tłumaczonych na język polski.

Lato to też okazja do obejrzenia inscenizacji muzycznych osadzonych w ciekawych, niestandardowych lokalizacjach. Na przykład… na Zamku Książąt Mazowieckich w Ciechanowie. Na finał Europejskich Dni Muzyki Romantyzmu „Mazovia Romantica" (4 sierpnia) galę z utworami Pucciniego, Verdiego, Rossiniego, Dvořáka, Offenbacha, Bizeta, Lehára i Kálmána proponuje Płocka Orkiestra Symfoniczna. Letni program mają także niektóre duże teatry operowe, np. Opera Wrocławska we wszystkie weekendy w foyer organizuje cykl „Letnie koncerty", gdzie oprócz Debussy'ego, Ravela czy Mahlera zagoszczą wiedeńskie walce Johanna Straussa czy fragmenty ze znanych musicali.

Spośród letnich wydarzeń muzycznych zdecydowanie wyróżnia się warszawski Festiwal „Chopin i jego Europa" Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina (17 sierpnia–8 września). W tym roku opatrzony został hasłem „Chopin i jego Europa i reszta świata", za którym kryje się eklektyczny repertuar obejmujący 400 lat, od renesansu do współczesności. Oprócz wirtuozów gry na instrumentach historycznych wystąpi cała plejada śpiewaków (Karen Gardeozabal, Agata Schmidt, Agnieszka Rehlis, Petr Nekoranec, Artur Ruciński, Krzysztof Bączyk, Mariusz Godlewski, Rafał Siwek, Krystian Adam, Christoph Prégardien, Julian Prégardien) czy Orchestre des Champs-Élysées pod batutą słynnego Philippe'a Herreweghe. Gratką będzie koncertowe, rejestrowane na potrzeby specjalnej serii fonograficznej, wykonanie „Strasznego dworu" Moniuszki na instrumentach historycznych (25 sierpnia) w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. Będzie to realizacja Europa Galante pod dyrekcją Fabia Biondiego, przy współpracy Chóru Opery i Filharmonii Podlaskiej, z wybitnymi solistami (Agnieszka Rehlis, Artur Ruciński, Rafał Siwek, Mariusz Godlewski, Petr Nekoranec, Karen Gardeazabal).

Tradycyjnie nie zawodzi radiowa Dwójka, z transmisjami z najważniejszych festiwali i wykonań. A jeśli ktoś chce poszukać skarbów muzycznych i operowych na własną rękę, to bogatą ofertę mają telewizyjne kanały operowe oraz internetowe platformy, jak np. Opera Vision (z propozycjami w wolnym, niepłatnym dostępie). ©℗

eprasa.pl 920a274a11

Co nam szykuje Ursula

Łukasz Warzecha

Ursula von der Leyen przez kolejną kadencję będzie szefować Komisji Europejskiej. W swoim przemówieniu zdradziła, jakie ma plany. Powinniśmy się ich obawiać

FOT. LAURIE DIEFFEMBACQ/EU/EP

Parlament Europejski 18 lipca zagłosował nad kandydaturą Ursuli von der Leyen na przewodniczącą Komisji Europejskiej. Błędem jest jednak twierdzenie, że to PE wybiera przewodniczącego Komisji. Parlament może wyłącznie przyjąć lub odrzucić kandydaturę zaprezentowaną przez Radę Europejską. Artykuł 17 traktatu lizbońskiego tak opisuje tę procedurę: „Uwzględniając wybory do Parlamentu Europejskiego i po przeprowadzeniu stosownych konsultacji, Rada Europejska, stanowiąc większością kwalifikowaną, przedstawia Parlamentowi Europejskiemu kandydata na funkcję przewodniczącego Komisji. Kandydat ten jest wybierany przez Parlament Europejski większością głosów członków wchodzących w jego skład. Jeżeli nie uzyska on większości, Rada Europejska, stanowiąc większością kwalifikowaną, przedstawia, w terminie miesiąca, nowego kandydata, który jest wybierany przez Parlament Europejski zgodnie z tą samą procedurą".

Nie wiadomo oczywiście, co to są „stosowne konsultacje" ani na czym ma polegać „uwzględnienie wyborów do PE". W praktyce proces wyznaczania kandydata, który potem jest przedstawiany parlamentowi, jest nieprzejrzysty i pozbawiony demokratycznej legitymacji. Niczego w tej kwestii nie zmienił zastosowany po raz pierwszy 10 lat temu nieformalny proces wyznaczania tzw. Spitzenkandidaten, czyli wiodących kandydatów. Nie ma on oparcia w traktatach i w przeszłości bywał kwestionowany. Zresztą w żaden sposób nie zwiększa on ani legitymizacji, ani przejrzystości wyboru kandydata.

A trzeba przy tym pamiętać, że w UE – inaczej niż w przypadku krajowych systemów politycznych – Parlament Europejski nie ma inicjatywy ustawodawczej, ma ją natomiast Komisja (a także Rada). Dlatego stanowisko przewodniczącego KE jest niezmiernie ważne.

Ursula von der Leyen w ubiegłej kadencji zbierała jako szefowa Komisji bardzo złe recenzje od swoich współpracowników – komisarzy, na ogół wyrażane jednak poza protokołem. Była oskarżana o to, że jej styl zarządzania jest obcesowy i autorytarny, a przede wszystkim o to, że bardzo wiele decyzji podejmuje ze swojego poziomu bez

eprasa.pl 920a274a11

konsultacji z członkami Komisji, którzy za daną dziedzinę odpowiadają. To, jak widać, nie przeszkodziło w wyznaczeniu jej przez Radę na kolejną kadencję. Ma jednak znaczenie, gdy weźmie się pod uwagę plany pani von der Leyen i możliwość ich realizacji – w wielu przypadkach w praktyce właśnie z pominięciem członków KE odpowiedzialnych za konkretne dziedziny.

Ostatecznie von der Leyen uzyskała 401 głosów, czyli sporo powyżej koniecznej większości bezwzględnej 360 głosów. (W tej chwili PE liczy sobie 719 członków, ponieważ mandat straciła irlandzka eurodeputowana Clare Daly po kolejnym przeliczeniu głosów już w czerwcu). To również wyraźnie więcej, niż zdobyła pięć lat wcześniej. Wówczas były to 383 głosy (potrzeba było 367 głosów). O wygranej von der Leyen zdecydowały wtedy głosy europosłów PiS, który w tamtej kadencji miał 26 miejsc. PiS przedstawiał to wówczas jako swoje wielkie zwycięstwo, chwaląc się, że Niemka złożyła obietnice dobrej współpracy z Polską. Argumentowano także, że alternatywnym kandydatem mógł być Frans Timmermans, znacznie gorzej nastawiony do Polski. Jest to jednak obłudne przedstawienie sprawy, ponieważ eurodeputowani nie muszą głosować na żadnego z prezentowanych kandydatów. PiS mógł nie popierać ani Niemki, ani Holendra. Jak ostatecznie wyglądała współpraca z panią von der Leyen – dzisiaj już wiadomo.

ZIELONY ŁAD I ZMIANA TRAKTATÓW

Kandydatka przed głosowaniem przekonywała parlamentarzystów w specjalnie przygotowanym wystąpieniu przez blisko godzinę. To był oczywiście tylko teatr czy może raczej potwierdzenie wcześniej już dogadanych zobowiązań. Kluczową rolę w uzyskaniu niezbędnej liczby głosów odegrała grupa polityczna Zielonych, co wpłynęło na treść przemówienia. Zieloni mają w PE 53 miejsca. Jak łatwo policzyć, bez ich wsparcia kandydatka skończyłaby z 348 głosami, brakowałoby zatem 12 do celu.

Wystąpienie pani von der Leyen było szeroko komentowane – głównie jednak z powodu dwóch zawartych w nim zapowiedzi: tej dotyczącej nowego celu redukcji CO_2 o 90 proc. do 2040 r. oraz tej dotyczącej zmiany traktatów. Tymczasem istotnych spraw było w nim dużo więcej.

Kandydatka postanowiła połączyć to, czego połączyć się nie da, oraz mówiła jednocześnie i o trwaniu przy Zielonym Ładzie, i o rozwoju przemysłu oraz zasobności obywateli UE. Te dwie kwestie są ze sobą fundamentalnie sprzeczne.

Z jednej więc strony von der Leyen wyrażała troskę w związku z obawami mieszkańców UE o swój byt – ale w szczególny sposób. Powiedziała: „Rodziny martwią się o koszty życia, rolnicy czują się przyciśnięci – i to jest symptom świata, w którym wszystko jest używane jako broń i kontestowane. To symptomy wysiłków na rzecz polaryzacji i podziału naszych społeczeństw […]. Nigdy nie pozwolę na akceptację skrajnej polaryzacji naszych społeczeństw. Nie zgodzę się, żeby demagodzy i ekstremiści zniszczyli nasz europejski sposób życia". Jak ten bełkotliwy fragment odczytywać?

Szefowa Komisji Europejskiej zapowiedziała nowy cel: redukcję emisji dwutlenku węgla o 90 proc. do 2040 r.

Przypomnijmy tu tegoroczne forum w Davos. Jego tematem przewodnim była „utrata zaufania", a przewodnicząca KE wygłosiła tam wystąpienie właśnie na ten temat. Mówiła wówczas: „Ekscelencje, panie i panowie, drogi Klausie, twój doroczny raport o globalnych ryzykach jest porażający i otrzeźwiający. Światowa wspólnota biznesowa za największe wyzwanie na najbliższe dwa lata uważa nie konflikt albo klimat, ale dezinformację i fałszywą informację, a zaraz za tym – polaryzację społeczeństwa. Te ryzyka są poważne, ponieważ ograniczają naszą zdolność uporania się z globalnymi wyzwaniami, przed którymi stajemy […]. Uderzający jest fakt, że obecnie rywalizacja pomiędzy krajami jest intensywniejsza, niż była w ciągu ostatnich dekad. To sprawia, że temat tegorocznego spotkania w Davos staje się jeszcze istotniejszy: odbudowanie zaufania. To nie jest czas na konflikty czy polaryzację. To czas na odtworzenie zaufania".

Wspomniany przez przewodniczącą KE raport przedstawiał sporządzony specjalnie dla uczestników forum sondaż, w którym respondenci wskazywali, jakie ich zdaniem są największe ryzyka dla świata w nadchodzącym roku. 53 proc. (drugie wskazanie) dotyczyło dezinformacji.

Jeżeli uważnie wczytać się w te dwie wypowiedzi, dość do siebie podobne, to okaże się, że zmartwieniem von der Leyen jest przede wszystkim to, co określa ona mianem polaryzacji, a co sprowadza się do niezgody coraz większej części Europejczyków na politykę głównego nurtu. Tę, którą reprezentuje sama von der Leyen. Stąd próba przedstawienia tej tendencji jako skutków dezinformacji, populizmu oraz oczywiście łączenia jej z wpływami rosyjskimi. Gdy w Davos von der Leyen mówiła o „odbudowywaniu zaufania", tak naprawdę mogła mieć na myśli ograniczenie dostępu do informacji niezgodnych z głównonurtowym przekazem.

Mamy w jej wystąpieniu w Parlamencie Europejskim zapowiedź, która niepokojąco wpisuje się w ten plan: powołanie Europejskiej Tarczy Demokracji. Ma to być struktura czy też program – trudno powiedzieć, jaka byłaby forma organizacyjna czy prawna – którego celem byłoby zapobieganie „dezinformacji i manipulacji". Oczywiście pod pretekstem ochrony przed zewnętrznymi wpływami i cyberatakami ze strony Rosji czy Chin, ale każda taka inicjatywa powinna budzić niepokój, zwłaszcza w zestawieniu z pomstowaniem na polaryzację i populizm.

NOWA SIŁA POLICYJNA?

Dodajmy do tego jeszcze jedną niepokojącą zapowiedź. Von der Leyen stwierdziła, że w Europie narasta przestępczość, mnożą się gangi – i w związku z tym należy wzmocnić Europol.

W tej chwili jest to jedynie platforma współpracy policji państw członkowskich. Przewodnicząca Komisji stwierdziła natomiast, że Europol powinien się stać normalną operacyjną siłą policyjną, mogącą działać we wszystkich państwach członkowskich.

Znów zabrakło detali, ale trzeba to rozumieć w ten sposób, że funkcjonariusze Europolu mieliby prawo, przynajmniej w niektórych okolicznościach – bez wcześniejszego uzgadniania swoich

eprasa.pl 920a274a11

poczynań z poszczególnymi państwami – prowadzić normalne policyjne działania w całej UE. Można założyć, że Europol zajmowałby się ściganiem tzw. przestępstw transgranicznych, do których przepisy unijne zaliczają w tej chwili m.in. handel ludźmi czy pedofilię. Trzeba jednak przypomnieć, że w styczniu tego roku PE uchwalił rezolucję, w której domagał się dołączenia do tej listy – na podstawie art. 83 Traktatu o funkcjonowaniu UE – „przestępstwa mowy nienawiści".

Komu Europol w nowej wersji miałby podlegać – nie wiadomo. Można natomiast wyobrazić sobie, że w przyszłości jego funkcjonariusze mogliby dokonywać zatrzymań za „mowę nienawiści" w dowolnym kraju Unii.

Czy takie poszerzenie roli Europolu w ogóle jest zgodne z traktatami unijnymi? Oczywiście nie, jednak tym pani von der Leyen wydaje się kompletnie nie przejmować, nie tylko zresztą w tej kwestii. Swój stosunek do ograniczeń, wynikających z traktatów, wyraziła dosadnie, zapowiadając powołanie komisarza do spraw mieszkalnictwa, a więc dziedziny, w której Unia nie ma żadnych uprawnień. Stwierdziła, że, owszem, niektórzy mieli wątpliwości, czy to w ogóle jest sprawa, którą UE może się zajmować na szczeblu wspólnoty, ale te wątpliwości są nieważne, bo przecież jest problem, więc będzie i komisarz.

PRZEMYSŁ NA CELOWNIKU

Wracając do sprawy Zielonego Ładu – najbardziej porażająca jest faktycznie zapowiedź emisji redukcji CO_2 do 2040 r. o 90 proc. Już obecny plan jest całkowicie nierealny, ten nowy jest zatem nierealny jeszcze bardziej. Tymczasem na celowniku von der Leyen znalazł się europejski przemysł. W ciągu pierwszych 100 dni urzędowania nowa Komisja ma przedstawić plan „czystego ładu" dla przemysłu, który miałby pracować na „czystej" stali i w „czystych" technologiach. Nie ma wątpliwości, że mowa o kolejnym podbiciu kosztów produkcji.

Zapewne całkowitym przypadkiem dokładnie w tym samym czasie – jak na swoim kanale YouTube „Moto Prawda" poinformował dziennikarz motoryzacyjny Interii Paweł Rygas – lobbystyczna organizacja Transport and Environment (która wielokrotnie już agitowała przeciwko tradycyjnej motoryzacji, pokazując bezczelnie zmanipulowane sondaże) skierowała do członków Komisji Europejskiej apel, aby przymusić europejskich producentów samochodów do korzystania z właśnie „czystej" stali. „Czystej" – czyli takiej, gdzie docelowo proces produkcji nie jest powiązany ze spalaniem węgla, ale wodoru. Taki proces jest oczywiście znacznie droższy, ale Transport and Environment twierdzi, że to koszt „zaledwie" 56 euro od samochodu. Komentując tę wiadomość, Rygas przytoczył inną informację (za Deutsche Welle): „Największy niemiecki producent stali ThyssenKrupp planuje wkrótce rozpocząć produkcję bardziej przyjaznej dla klimatu zielonej stali w Duisburgu. Miliardową inwestycję wesprze rząd Niemiec. Jest zgoda UE". Przypadek? Zapewne całkowity. Rząd federalny oraz kraj związkowy Nadrenia Północna-Westfalia na zakład w Duisburgu wydadzą ok. 2 mld euro subwencji.

Von der Leyen przekonywała, że Zielony Ład pozwoli uniezależnić się od „brudnych surowców" z Rosji

Kandydatka na przewodniczącą KE przekonywała, że Zielony Ład pozwoli uniezależnić się od „brudnych surowców" z Rosji. Ten argument – pojawiający się nieustannie po stronie zwolenników zielonej polityki – to demagogia. Surowce kopalne nie pochodzą bowiem jedynie z Rosji, złoża ropy należą również do krajów europejskich – podobnie zresztą jak złoża węgla – a ich import spoza naszego kontynentu jest całkowicie normalnym procesem gospodarczym, per saldo zaś jest po prostu tańszy niż zielone szaleństwo. Trzeba bowiem nieustannie przypominać, że coraz większy koszt korzystania z kopalin nie wynika z żadnego procesu rynkowego, ale jedynie z opodatkowania, które narzuciła sobie sama Unia Europejska.

Ursula von der Leyen była także bardzo zatroskana o rolników. Mówiła o tym, że uderzają w nich zmiany klimatyczne, ale już nie o tym, że znacznie bardziej uderzają w nich rozwiązania Zielonego Ładu dla rolnictwa. Zapowiedziała, że rozpocznie się „strategiczny dialog" w sprawie europejskiego rolnictwa z udziałem przedstawicieli farmerów, a także „organizacji ekologicznych" – czyli po prostu zielonych lobbystów. Wynagradzani mają być ci rolnicy, którzy będą prowadzili uprawy ekstensywne i ekologiczne. Oznacza to, że tradycyjne rolnictwo, dostarczające najtańszych produktów, będzie na cenzurowanym (co zresztą już się dzieje).

Sporo miejsca kandydatka poświęciła na wątki polityczne. Były rytualne potępienie Viktora Orbána (bez nazwiska) za jego wizytę w Moskwie (oklaski trwały kilkadziesiąt sekund) i równie rytualne zapewnienie, że UE będzie stać przy Ukrainie „tak długo, jak trzeba". Było również zapewnienie, że Unia otwiera drzwi dla kolejnego poszerzenia: o Bałkany Zachodnie, Mołdowę, Gruzję i oczywiście Ukrainę. Z poszerzenia zaś ma wynikać – tu von der Leyen powtórzyła od dawna obowiązującą linię niemieckiego rządu – rewizja traktatów, bo w powiększonej UE nie da się jej zdaniem działać tak jak dotychczas. Dodatkowym elementem ma być bezwzględne uzależnienie wypłacania funduszy UE od przestrzegania praworządności. Przypomnijmy, że na zasadę „pieniądze za praworządność" zgodził się rząd Mateusza Morawieckiego.

Na zakończenie von der Leyen odwołała się do osoby uznawanej przez niektórych za jednego z ojców założycieli wspólnoty. Nie byli to jednak ani błogosławiony Robert Schuman, ani chadek Alcide de Gasperi. Kandydatka wspomniała natomiast o „więźniach z wyspy Ventotene", a więc o Altiero Spinellim, Erneście Rossim i Eugenio Colornim, trzech autorach manifestu z Ventotene. Szczególną atencją głównego nurtu UE cieszy się w ostatnim czasie Spinelli – ideowy komunista, który na manifest miał największy wpływ. Sam zaś dokument jest przerażającą wizją Europy całkowicie sfederalizowanej i uwspólnotowionej, co miało być przeciwwagą dla państw narodowych. Jak na ironię jest to wizja jak z piosenki Johna Lennona „Imagine". Wizja komunizmu, niestety – by zacytować – można już chyba tak napisać: klasyka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

Czas środka

W wyborach do Parlamentu Europejskiego ludzie głosowali chętniej na prawicę, dostali jednak bardziej przechyloną w lewo Komisję Europejską

FOT. CHRISTIAN CREUTZ/EP/EU

Maciej Szymanowski

Europa Środkowa musi zdemontować trzecie kółka u swoich rowerów, jeśli chce skapitalizować politycznie swój skok. Nie możemy wciąż patrzeć na siebie jak na „peryferie"

Państwa Grupy Wyszehradzkiej są do siebie pod wieloma względami bardzo podobne. I wcale nie chodzi tu tylko o przeszłość. Mają porównywalny poziom PKB na głowę mieszkańca, zbliżoną strukturę produkcji, przez inwestorów zagranicznych są traktowane nieomal jak jeden rynek. Wraz z kilkoma innymi środkowo-europejskimi państwami Polska, Czechy, Słowacja i Węgry przynależą do jednego z najszybciej rozwijających się w ostatnich dekadach regionów świata, a nie tylko Europy. W testach wiedzy licealistów PISA młodzież znad Dunaju, Wełtawy i Wisły osiąga lepsze wyniki niż młodzi Niemcy czy Francuzi. Czy Grupa Wyszehradzka i – szerzej – Europa Środkowa są jednak w stanie lepiej, niż miało to miejsce do tej pory, skapitalizować politycznie ten nieomal cywilizacyjny skok, który dokonał się po upadku komunistycznej dyktatury i awansie do najbardziej elitarnego grona państw Europy i świata?

WOJNA I ZIELONY ŁAD

Żyjemy już w 10. roku formalnie nigdy niewypowiedzianej, ale prowadzonej przez Federację Rosyjską przeciw Ukrainie wojny. Choć, na szczęście, nie odczuwamy skutków tej wojny tak, jak chociażby miliony uciekających przed nią obywateli Ukrainy, którzy w tak nieprzewidywalnej chyba przez nikogo wielkiej liczbie znaleźli schronienie właśnie w granicach państw wyszehradzkich, to będącą efektem szokowego wzrostu cen energii wysoką inflację oraz pogorszenie się sytuacji bezpieczeństwa zewnętrznego i związane z tym konsekwencje wszędzie dało się w Europie Środkowej odczuć.

Patrząc z kolei na zachód i Unię Europejską – jesteśmy świeżo po wyborach do Parlamentu Europejskiego, w których społeczeństwa chętniej głosowały na prawicę, w zamian jednak otrzymując jeszcze bardziej przechyloną w lewo Komisję, ponieważ do tworzących dotąd jej zaplecze grup politycznych – liberałów, ludowców i socjalistów – doszła jeszcze w obecnej kadencji frakcja zielonych (G/EFA).

Dalej na sile będą też przybierać antyamerykańskie nastroje. Z jednej strony, z uwagi na rosnącą świadomość przegrywania konkurencji z USA. Wbrew planom w 2010 r. gospodarka UE jako całość nie tylko nie przegoniła amerykańskiej, lecz także z roku na rok coraz bardziej pozostaje za nią w tyle. I to z dość marnymi perspektywami na przyszłość, skoro w zestawieniu 20 spółek o największej kapitalizacji giełdowej na świecie są obecnie obecne dwie firmy z Unii i 17 z USA… Z drugiej strony, rośnie presja wywierana już nie tylko przez

eprasa.pl 920a274a11

republikanów, lecz także czołowych demokratycznych polityków z uwagi na to, że zobowiązania do wydatkowania minimum 2 proc. własnego PKB na cele obronne – faktycznego, a nie deklaratywnego wydatkowania – nikt tak ostentacyjnie nie ignoruje, jak połowa państw UE, z Francją i Niemcami na czele. I stan ten nie ulegnie zmianie. Dlaczego?

Ponieważ pieniądze, jak wiadomo, nie rosną na drzewie, a nowa Komisja Europejska i stojąca za nią większość w PE nie zamierzają rezygnować z wdrażania w życie tzw. Zielonego Ładu, którego koszty na poziomie budżetów państw i obywateli są astronomicznie wysokie. W Polsce szacuje się, że tylko wydatki na dostosowanie budynków do tzw. zeroemisyjności pochłoną nie mniej niż 1,5 bln zł, czyli całe trzyletnie dochody budżetu państwa. I to pod warunkiem, że drugie tyle będą chętni ze swoich kieszeni bezpośrednio wyłożyć obywatele. Czekają nas także realizacja Paktu o migracji i azylu, o także wysokie, choć trudne jeszcze do oszacowania koszty jego obsługi. Szczególnie gdyby obecny PE, jak zapowiada, przegłosował ujednolicenie zasiłków socjalnych dla przybywających do UE legalnych czy nielegalnych imigrantów, należy spodziewać się silnego osadniczego prądu skierowanego do państw Europy Środkowej, gdzie koszty życia pozostają niższe niż w Skandynawii czy Europie Zachodniej.

Ponieważ wszystko to rozgrywa się w sytuacji permanentnego braku zgody większości unijnych państw na podniesienie unijnych podatków. I bardzo mało prawdopodobnej zgody na ponowne sięgnięcie po mechanizm zadłużeniowy, jak stało się to w przypadku programu Next Generation, w warunkach nadchodzących wielkimi krokami spłat rat kapitałowych – a nie jak dotąd odsetek – od zaciągniętego m.in. na tzw. odbudowę postcovidową kredytu. Wewnętrzne konflikty w UE o charakterze finansowym i chęć przeniesienia zwiększonych obciążeń na innych wbrew zasadzie solidarności będą więc w najbliższych latach ekstremalnie wysokie.

ZMIANY ZASAD

A jeszcze nie dotarliśmy do trzeciego priorytetu przewodniczącej Ursuli von der Leyen z wygłoszonego przez nią w połowie lipca przemówienia programowego. Chodzi o zmiany w traktatach o UE i funkcjonowaniu Unii, przyjęte w formie 267 propozycji przez Parlament Europejski w listopadzie ubiegłego roku, które pozbawiają państwa członkowskie kompetencji w kluczowych obszarach polityki gospodarczej, finansowej, społecznej, obronnej i zagranicznej na rzecz Europejskiego Organu Wykonawczego, czyli obecnej Komisji Europejskiej. W tym znoszą prawo weta w Radzie Europejskiej, zobowiązują do przyjęcia waluty euro i zastąpienia równości kobiet i mężczyzn równouprawnieniem płci.

Dziś nie jest jasne, czy proponowane zmiany, zwykle zwane planem federalizacji Unii, choć noszą one przede wszystkim cechy silnej centralizacji, powołania do życia w miejsce unii superpaństwa, choć zapewne z zachowaniem obecnej nazwy Unia Europejska, odbędą się w sposób skokowy (nowy traktat) czy będą wprowadzane krok po kroku. Fakt i kierunek zmian pozostają jednak rozstrzygnięte. Tym bardziej że jego przeciwnicy podzielili się w nowym europarlamencie aż na trzy obozy. Mimo że występując razem byliby w stanie funkcjonować w ogóle jako najsilniejsza frakcja w PE. Dziś dwa największe z nich – Patrioci za Europą (PfE) oraz Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy (ECR) – to odpowiednio frakcja nr 3 i 4 co do liczebności, co pierwszym nie utorowało drogi do ważniejszych stanowisk w ogóle, a drugim – z uwagi na poparcie przez część europosłów tej grupy der Leyen na szefa Komisji – jedynie w ograniczonym stopniu.

W UE chęć przeniesienia zwiększonych obciążeń na innych będzie w najbliższych latach ekstremalnie wysoka

W nowym PE mamy więc blok (rządzących) frakcji, na pierwszy rzut oka różnokierunkowych, które spaja jednak nie tyle myślenie o rządzonych, ile realizacja celów ideologicznych (klimatyzm, multietniczne postnarodowe państwo, europejskie superpaństwo), oraz siły, gdzie idea solidarności narodowej, prymarne myślenie o własnych obywatelach, o wyznawanych przez nich wartościach i stosunku do przeszłości są programowo niemożliwe do zignorowania. Na poziomie propagandy podział ten przedstawiany jest jako konfrontacja niepopulistów z populistami albo sił proukraińskich z prorosyjskimi.

Podział przedstawiany bądź wręcz kreowany. Także w Europie Środkowej. Tak się bowiem złożyło, że wkrótce po wybuchu tzw. pełnoskalowej wojny gniewne demonstracje chodziły w Warszawie pod Ambasadę Węgier, wyjątkowo Rosji, a nigdy pod przedstawicielstwa dyplomatyczne państw, które wcześniej wymuszały na Ukrainie daleko idące ustępstwa w ramach rozmów prowadzonych w Mińsku czy dzieliły broń na śmiercionośną i nieśmiercionośną, aby uniknąć dostaw uzbrojenia w najbardziej krytycznym momencie wojny w ogóle.

Te same polskie media, które w swoich głównych serwisach informacyjnych w 2020 r. w ogóle nie zauważyły faktu wyborów parlamentarnych na Słowacji, już w ostatniej kampanii wyborczej potrafiły bezpardonowo atakować Roberta Ficę, o którego polityce jako wielokrotnego premiera można powiedzieć wszystko poza tym, że kiedykolwiek była antypolska. Warte odnotowania w omawianym kontekście jest pomijanie milczeniem przez te czeskie partie oraz media, które przez ostatnie lata wielokrotnie z troską wypowiadały się o istniejących zagrożeniach dla demokracji w Polsce, wprowadzanego w życie przez rząd Donalda Tuska planu delegalizacji Prawa i Sprawiedliwości, czyli partii cieszącej się poparciem milionów Polek i Polaków, która od 20 lat wygrywa albo zajmuje co najwyżej drugie miejsce w wyborach parlamentarnych i z której szeregów wywodzi się dwóch prezydentów.

Zupełnie jakby to, co dzieje się w państwie, z którym Czechy posiadają tylko minimalnie krótszą niż z Niemcami granicę, z bardzo silnymi więzami i interesami ekonomicznymi, było bez większego znaczenia. W tym jednostronne obniżenie na minimum dwa lata stosunków dyplomatycznych, bo takie przecież znaczenie ma odwołanie ponad pół setki własnych ambasadorów przez Warszawę, bez możliwości zapewnienia ich następców wcześniej niż na przełomie

eprasa.pl 920a274a11

lat 2025 i 2026. I to tylko pod warunkiem, że w przyszłorocznych wyborach prezydenckich wygra kandydat obozu rządzącego, i to taki, który zgodzi się grać rolę „przedłużonego długopisu" rządu. Z czym może być przecież różnie.

NOWY OGLĄD ŚWIATA

A jednak, używając znanych słów Marka Twaina, zapowiedzi o końcu współpracy środowisk, które nie chcą rezygnować z unijności Unii Europejskiej, bojąc się po prostu jej rozpadu, wydają się mocno przesadzone. Nawet jeśli to oczywiście Komisja dominuje jako organ nad PE, to frakcja ECR pozostanie w pół-, a nowo powstali Patrioci w całkowitej izolacji, wyrazistość i siła używanej publicznej argumentacji może i będzie miała wpływ na tempo i zakres realnie wprowadzanych w UE zmian. Pierwszy przykład z brzegu. Skoro już dzisiaj połowa ustaw czy zmian w ustawach przyjmowanych przez parlamenty są efektem inicjatyw KE i PE, to o ile należałoby zracjonalizować liczebność narodowych ciał przedstawicielskich po przygotowywanych centralizacyjnych zmianach w traktatach?

Europa Środkowa to z kolei system naczyń połączonych, gdzie sukces jednych pociąga za sobą sukces innych. W naukowym, choć pisanym z werwą stylu dobrze wyraża to chociażby niedawno wydana książka pt. „Husarskie cięcie" Balázsa Orbána, szefa gabinetu premiera Viktora Orbána (zbieżność nazwisk przypadkowa). Wychodząc od Węgier, „prawie niezauważalnej kropki na mapie świata", zakładając, „że, aby się łączyć, musimy się różnić. Ci, którzy całkowicie identyfikują się ze sobą, nie mogą tworzyć relacji", w książce Orbána odnajdujemy potwierdzenie wielowymiarowego sukcesu, który w ostatnich latach odniosły Węgry i cała Europa Środkowa, a jednocześnie całą liczbę zadań do wykonania „tu i teraz", o ile tylko chcemy pozostać w mainstreamie światowej gospodarki czasów wielkich azjatyckich funduszy kapitałowych, amerykańskich inwestycji w sztuczną inteligencję i zielonej rewolucji w Europie.

Najkrócej rzecz ujmując, Orbán namawia Środkowoeuropejczyków do porzucenia środkowoeuropejskiej perspektywy oglądu świata. Ściślej, jest za absolutnym zachowaniem państw

„Husarskie cięcie", książka Balázsa Orbána, szefa gabinetu premiera Węgier FOT. MATERIAŁY PRASOWE

i narodowych tożsamości w naszej części Europy, przy jednoczesnym porzuceniu myślenia w kategoriach: peryferii, wschodniej flanki, strefy buforowej etc. „Musimy być w stanie przekuć antagonizmy i rywalizację na współpracę, a podziały na wzajemne powiązania" – pisze, po czym następuje długa wyliczanka „spraw do załatwienia": od wyjścia z pułapki średniego rozwoju (konkurowanie w oparciu o tanią i obfitą siłę roboczą) czy konieczności tworzenia skutecznych politycznych koalicji w UE i poza UE, do środkowoeuropejskich centrów transportowo-logistycznych czy stworzenia regionalnych łańcuchów dostaw.

To oczywiście węgierska recepta na długofalową strategię rozwoju własnego kraju, nad którą pracują obecnie koordynowane przez Balázsa Orbána grupy ekspertów, umieszczone przy różnych think tankach od Brukseli do Pekinu. Warto śledzić jej formułowanie się zwłaszcza w świecie, w którym zdaje się dominować myślenie: aby do jutra albo – jak to często słyszymy u siebie w Europie Środkowej – nie zajmujmy się rzeczami, na które i tak nie mamy wpływu.

W odróżnieniu od zachodniej części kontynentu, w którego wielu zakątkach geograficznych i zakątkach umysłów wciąż ma się dobrze postimperialne myślenie, widoczne choćby w przyjmowanym bez żadnej logiki założeniu, że masowo przybywający do Europy nie-Europejczycy będą się asymilować (a niby dlaczego? Czy Hiszpan lub Francuz przeprowadzający się do Tokio na pewno marzą o tym, aby zostać Japończykami?), naszą część Europy charakteryzuje kompleks niższości. To jedna z niewielu rzeczy, której nie udało się zmienić po 1989 r. Kolejna generacja dziedziczy gen niedowartościowania, mimo że o ile w słynnym tekście tygodnika „Time" upłynęło ponad pół roku, zanim jego redaktorka uznała, że jednak nie da się przeżyć w USA, nie nabywając produktów made in China (poległa na bucikach dziecięcych), o tyle przeciętny Europejczyk nie jest w stanie przeżyć 15 minut bez takich rzeczy jak piżama (oczywiście z czystej bawełny, tylko z drobną domieszką silonu, którego produkcję rozpoczął Otto Wichterle), pasta do zębów umieszczona w tubce wymyślonej przez Max Factor (Maksymiliana Faktorowicza). Sięgając po długopis (László Biró) czy smarttelefon z licznymi appkami, których autorami są bardzo często osoby o słowackich nazwiskach, kolejne generacje dziedziczą gen mniejszej wartości.

Europa Środkowa to system naczyń połączonych, gdzie sukces jednych pociąga za sobą sukces innych

A jednak, jeśli chcemy wzmocnić wpływ państw Europy Środkowej na europejską politykę, przeforsować chociażby w końcu środki dofinansowujące rozwój infrastruktury północ-południe, na podobnym poziomie, jak stało się to już przed laty na kierunku zachód-wschód, zachować wolność i suwerenność, na poziomie narodowym i indywidualnym, iść drogą zmian bez konieczności wyzbywania się naszej przeszłości, kultury i tożsamości, nastał najwyższy czas na zdemontowanie trzecich kółek u naszych rowerów. Czas znalezienia równowagi bez dodatkowego punktu podparcia. Ambitną jazdę w peletonie. I cóż, jak w kolarstwie, w końcu żyjemy też w kapitalizmie, kontentowanie się premiami i finansowymi zyskami płynącymi z handlowej ekspansji i współpracy z sąsiadami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą akademickim, współtwórcą Polsko-Czeskiego Forum oraz Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.

Artykuł ukazuje się równolegle na łamach pism: czeskiego Echo24, węgierskiego „Mandiner" i słowackiego „Standard". Tytuły, śródtytuły i skróty pochodzą od redakcji.

eprasa.pl 920a274a11

WHO – pandemia na żądanie

Mariusz Jagóra

Jeśli dyrektor generalny WHO ogłosi międzynarodowy stan zagrożenia pandemicznego ptasią grypą, to wrócą maseczki, izolacja, kwarantanna i obowiązkowe szczepienia. Akcjonariusze firm farmaceutycznych już zacierają ręce

Firma farmaceutyczna, sponsor Światowej Organizacji Zdrowia, opracowała szczepionkę mRNA na nowy wariant niezwykle groźnego wirusa ptasiej grypy. W tym samym czasie dyrektor generalny WHO, gromadząc patogeny przysyłane przez państwa członkowskie do laboratoriów kierowanych przez organizację, znajduje wśród nadesłanych próbek potencjalnie groźny wirus ptasiej grypy i ogłasza międzynarodowy stan zagrożenia pandemicznego, promując program szczepień jako jedyne możliwe wyjście z kryzysu. Szybka ścieżka procedur regulacyjnych pozwala na błyskawiczną autoryzację preparatu przez agencje dopuszczające leki na rynek, a Cyfrowy Certyfikat Zdrowotny pomaga w promocji akcji szczepień: osoby niezaszczepione – mimo że oczywiście szczepienia są dobrowolne – nie mogą wchodzić do sklepów, barów i restauracji, mają kłopot ze znalezieniem pracy i nie mogą podróżować. Dzięki takiemu globalnemu „marketingowi" sprzedaż szczepionek idzie w miliardy, firma farmaceutyczna, usatysfakcjonowana zadowoleniem swoich inwestorów, odwdzięcza się WHO hojnymi datkami. Czy taki scenariusz to science fiction? Forsowane od 2022 r. zmiany w Międzynarodowych Przepisach Zdrowotnych pokazują, że pandemia na zawołanie to realne zagrożenie.

KONFLIKT INTERESÓW

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO, z ang. World Health Organization) to agencja specjalizowana Organizacji Narodów Zjednoczonych, zajmująca się kwestiami międzynarodowego zdrowia publicznego. Została założona 7 kwietnia 1948 r., w 1950 r. zrzeszała 60 państw członkowskich, liczba ta wzrosła do 103 w 1960 r., a w 1980 r. WHO liczyła 154 członków. Polskę – wtedy Ludową – do WHO wprowadził towarzysz Bierut, dołączając PRL do autorytarnych państw członkowskich w większości tworzących tę organizację.

W latach 80. większość członków WHO – bo aż 64 proc. – stanowiły pań-

eprasa.pl 920a274a11

FOT. ADOBE STOCK

stwa o ustroju reżimowym. Dziś sytuacja jest niewiele lepsza – w 2023 r., według Indeksu Demokracji The Economist Intelligence Unit, spośród 167 znajdujących się w WHO krajów tylko 14,4 proc. państw zostało sklasyfikowanych jako „pełne demokracje", 29,9 proc. państw określono jako tzw. wadliwe demokracje, a pozostałe państwa to „reżimy hybrydowe" (20,4 proc. krajów w rankingu) i „reżimy autorytarne", które stanowią aż 35,3 proc. krajów członkowskich – łącznie państw reżimowych jest 55,7 proc.

WHO może tworzyć prawa międzynarodowe, obowiązujące członków, bez potrzeby ratyfikacji uchwał czy rezolucji, prawa, które wchodzą w życie decyzją większości państw niedemokratycznych. Przykładem są Międzynarodowe Przepisy Zdrowotne (IHR), wiążący dla państw członkowskich instrument prawa międzynarodowego, tworzący prawa i obowiązki dla wszystkich tych państw. Oczywiście skuteczność umów wymaga zgody od członków, ale zgoda ta wyrażana jest w tzw. procedurze opt-out, co oznacza, że jeśli jakieś państwo nie poinformuje o odrzuceniu lub zgłoszeniu zastrzeżeń, to po upływie określonego w uchwale terminu umowa staje się automatycznie wiążąca, bez debaty i konieczności ratyfikacji przez parlament.

WHO jest instytucją, w której występuje olbrzymi konflikt interesów. Jest infiltrowana przez firmy farmaceutyczne i światowe fundacje oraz korumpowana przez darowizny finansowe od korporacji i organizacji pozarządowych, które wpływają na politykę WHO, czyniąc ją dla nich korzystną. WHO działa na rzecz tzw. istotnych interesariuszy, marginalizując potrzeby zwykłych ludzi. Wysiłki mające na celu poprawę zdrowia są ignorowane na rzecz działań, które mają przynieść zysk Big Pharmie. Organizacja jest zdominowana przez biurokratów i technokratów, a nie przez kompetentnych pracowników służby zdrowia, którzy zajmują się opieką nad pacjentami i pomagają im zachować oraz poprawić zdrowie. Jest nadmiernie zależna od kompleksu farmaceutycznego, medycznego i szpitalnego, który praktykuje medycynę mającą na celu maskowanie objawów, a nie rzeczywistą poprawę zdrowia.

WHO jest odpowiedzialna za wydanie zaleceń popierających stosowanie niebezpiecznych farmaceutyków, takich jak opiaty, które odpowiadają za miliony niepotrzebnych zgonów.

Będąc pod wpływem producentów i promotorów szczepionek, WHO straciła z oczu swój główny cel, którym jest promocja zdrowia, i położyła nadmierny nacisk na stosowanie „szczepionek", które nie poprawiły ogólnego stanu zdrowia miliardów ludzi na całym świecie, a wręcz go pogorszyły. Decyzje, rady czy zalecenia podejmowane przez WHO mogą mieć kolosalny wpływ na zyski dla firm przez tworzenie lukratywnych rynków zbytu dla ich produktów zdrowotnych w krajach rozwijających się. Dopełnieniem obrazu WHO jest postać jej szefa – Tedrosa Adhanoma Ghebreyesusa, skrajnie lewicowego polityka, który był częścią brutalnego reżimu w Etiopii, oskarżanego przez organizacje praw człowieka o systematyczne tortury, zaginięcia i represje wobec mediów i społeczeństwa obywatelskiego. Tedros był członkiem EPRDF, koalicji partii lewicowych, które rządziły Etiopią do 2019 r., kiedy to koalicja zmieniła nazwę na Partię Dobrobytu. Jego kandydaturę forsowały komunistyczne Chiny i wspierała Fundacja Billa i Melindy Gatesów.

NOWE PRZEPISY

1 czerwca 2024 r. WHO przyjęła poprawki do Międzynarodowych Przepisów Zdrowotnych. Tryb ich przyjęcia był niezgodny z art. 55 IHR, słychać głosy, że takie uchybienia proceduralne jak zlekceważenie własnych przepisów czy sposób wprowadzenia poprawek (brak głosowania, konsensus bez sprawdzenia większości reprezentantów na sali) powinny być powodem do ich odrzucenia. Ale większym problemem są nowe zapisy wprowadzone do IHR, które przez uruchomienie nowych mechanizmów finansowania działalności WHO wzmacniają jej pozycję pośrednika między Big Pharmą a sztucznie zawyżonymi rynkami zbytu dla produktów pandemicznych w krajach rozwijających się.

Nowo przyjęte zmiany stwarzają ramy do implementacji na życzenie podobnych środków, których użyto w czasie pandemii COVID – dywanowe testy PCR, jako rzetelną metodę diagnostyczną pozwalającą określić, czy ktoś jest chory i czy stanowi potencjalne zagrożenie dla innych ludzi, co napędzało statystyki pandemiczne, pozwalając na wprowadzanie coraz to nowych obostrzeń, nakazów i zakazów oraz szybką ścieżkę autoryzacji dla eksperymentalnych szczepionek, które nie powstrzymywały infekcji i nie zatrzymywały transmisji. Pośpiesznie zatwierdzone zmiany w IHR konsolidują praktycznie niekontrolowaną władzę i uprawnienia dyrektora generalnego WHO do ogłaszania stanów zagrożenia zdrowia publicznego i pandemii, a tym samym do uruchamiania i kierowania alokacją globalnych zasobów finansowych i produktów medycznych, a także szerokim zakresem działań i wytycznych w zakresie zdrowia publicznego. Szef WHO może ogłosić stan globalnego zagrożenia pandemicznego i zalecić stosowanie „odpowiednich produktów medycznych", które Big Pharma jest gotowa dostarczyć.

Jak to może wyglądać w praktyce? Nie ulega wątpliwości, że ogłoszenie stanu pandemii COVID-19 było niczym eldorado dla firm farmaceutycznych. BioNTech, niemiecka firma prowadzona przez

eprasa.pl 920a274a11

tureckich naukowców, która jest właścicielem licencji na szczepionkę powszechnie nazywaną Pfizer, w przeszłości ponosiła znaczne straty i ujemne przepływy pieniężne z działalności operacyjnej. Na dzień 31 grudnia 2020 r. ich skumulowane straty wyniosły 409,6 mln euro. Zostały one skompensowane przez zysk wygenerowany w roku podatkowym zakończonym 31 grudnia 2021 r., który wyniósł 9882,9 mln euro. Firma łącznie osiągnęła prawie 30 mld euro zysków ze sprzedaży produktu w latach 2021 i 2022. Jednak wraz z agresją Rosji na Ukrainie rynek szczepionek przeciwko COVID-19 załamał się, a BioNTech, który poza szczepionką przeciwko COVID-19 nie wprowadził żadnego produktu na rynek, ponownie zaczął przynosić straty. Jak donosi niemiecki dziennik „Der Tagesspiegel", firma zaksięgowała 300 mln euro strat w pierwszym kwartale 2024 r. przy 187,6 mln euro sprzedaży.

Najwyraźniej jednak firma jest przekonana, że dobre czasy wkrótce wrócą, bo – zgodnie z jej prognozami – BioNTech wkrótce osiągnie całkowitą sprzedaż w wysokości szacowanej na 2,5–3,1 mld euro. Skąd ten optymizm? Dlaczego BioNTech spodziewa się jesienią sprzedaży szczepionek na poziomie pandemicznym? Na swoich stronach internetowych firma chwali się, że obszarami terapeutycznymi jej platformy szczepionek mRNA są choroby zakaźne, w tym COVID-19 i grypa sezonowa, a w portfolio potencjalnych produktów są szczepionki na COVID-19, na grypę i łączone szczepionki na COVID i grypę.

TERAZ GRYPA?

Na początek października 2024 r. zapowiedziany jest Międzynarodowy Szczyt Dotyczący Ptasiej Grypy, który ma „odnieść się do palących obaw związanych z ostatnimi wydarzeniami dotyczącymi ptasiej grypy: wraz z pojawieniem się wysoce zjadliwego szczepu ptasiej grypy wpływającego zarówno na bydło i ludzi konieczne jest, abyśmy się spotkali, aby omówić gotowość, strategie reagowania i przyszłe implikacje tej rozwijającej się sytuacji".

Już w kwietniu tego roku Światowa Organizacja Zdrowia wyraziła zaniepokojenie rozprzestrzenianiem się ptasiej grypy H5N1, która charakteryzuje się „niezwykle wysoką" śmiertelnością wśród ludzi.

Będąc pod wpływem producentów i promotorów szczepionek, WHO straciła z oczu swój główny cel, którym jest promocja zdrowia

Jeremy Farrar, główny naukowiec agencji ONZ do spraw zdrowia, uważa, że jest to ogromny powód do niepokoju, że wariant A (H5N1) stanie się „globalną pandemią odzwierzęcą": „Wielkim zmartwieniem jest oczywiście to, że infekując kaczki i kurczaki, a następnie coraz więcej ssaków, wirus ewoluuje i rozwija zdolność do infekowania ludzi, a następnie zdolność do przechodzenia z człowieka na człowieka".

Co prawda, jak dotąd nie ma dowodów na to, że H5N1 rozprzestrzenia się między ludźmi, jednak zdaniem Farrara w setkach przypadków, w których ludzie zostali zarażeni poprzez kontakt ze zwierzętami w ciągu ostatnich 20 lat, „śmiertelność jest niezwykle wysoka", ponieważ ludzie nie mają naturalnej odporności na wirusa.

Według WHO od 2003 do 2024 r. na całym świecie odnotowano 889 przypadków i 463 zgony spowodowane przez H5N1 w 23 krajach, co daje wskaźnik śmiertelności na poziomie 52 proc. Przyznają państwo, że jest się czego bać. Jeremy Farrar, który od 2023 r. pełni funkcję głównego naukowca w Światowej Organizacji Zdrowia, był dyrektorem The Wellcome Trust w latach 2013–2023. Wellcome Trust wraz z Fundacją Gatesów były kluczowymi partnerami w założeniu Koalicji na rzecz Innowacji w Gotowości Epidemicznej (CEPI), inicjatywy mającej na celu przyspieszenie rozwoju szczepionek przeciwko chorobom zakaźnym, przygotowanie odpowiedzi na pandemię COVID-19 oraz przyspieszenie przygotowania na przyszłe pandemie. Warto dodać, że Fundacja Billa i Melindy Gatesów jest największym darczyńcą WHO – ponad 88 proc. całkowitej kwoty przekazanej WHO przez fundacje filantropijne pochodzi od Gatesów. Inni darczyńcy – Bloomberg Family Foundation, Wellcome Trust i Rockefeller Foundation – łącznie wpłacają ok. 6 proc.

W lipcu 2024 r. sekretarz Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej USA ogłasza ptasią grypę stanem wyjątkowym na mocy ustawy PREP: „Niniejszym stwierdzam, że istnieje znaczny potencjał wystąpienia stanu zagrożenia zdrowia publicznego wirusem typu A o potencjale pandemicznym, uzasadniający zezwolenie na awaryjne zastosowanie diagnostyki in vitro w celu wykrycia wirusa ptasiej grypy typu A (H7N9)".

FDA już udzieliła licencji na trzy szczepionki przeciwko ptasiej grypie (H5N1) – Sanofi, Biomedical i Seqirus – licencjonowane na podstawie badań, których próby prowadzone były na bardzo małych grupach ochotników, przy dużej liczbie występujących zdarzeń niepożądanych. Ogłoszenie stanu wyjątkowego pozwala na użycie szybkiej ścieżki autoryzacyjnej w trybie awaryjnym – a to już znamy.

Jeśli dyrektor generalny WHO ogłosi międzynarodowy stan zagrożenia pandemicznego, to historia zatoczy koło – wrócą maseczki, izolacja, kwarantanna i obowiązkowe szczepienia – akcjonariusze firm farmaceutycznych już zacierają ręce. Na razie 29 lipca na stronach WHO pojawia się informacja: „W dniu dzisiejszym uruchomiono nowy projekt mający na celu przyspieszenie rozwoju i dostępności szczepionek przeciwko ludzkiej ptasiej grypie (H5N1) opartych na platformie mRNA skierowany do producentów w krajach o niskim i średnim dochodzie. Argentyński producent Sinergium Biotech będzie przewodził tym wysiłkom, wykorzystując program transferu technologii mRNA Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) i Medicines Patent Pool (MPP)".

Jak wygląda sytuacja w Polsce? Osobą odpowiedzialną za implementację zmian w Międzynarodowych Przepisach Zdrowotnych IHR jest Główny Inspektor Sanitarny, niedawno nominowany na to stanowisko znany celebryta pandemiczny – Paweł Grzesiowski, który już dostrzegł powracające zagrożenie COVID-19, informując opinię publiczną o 10-krotnym wzroście zachorowań. W odpowiedzi „ministra" zdrowia Izabela Leszczyna poinformowała, że jej resort złożył zamówienie na zmodyfikowaną szczepionkę przeciwko COVID-19 dostosowaną do nowego wariantu wirusa, gdyż Główny Inspektorat Sanitarny zaobserwował wzrost zachorowań na tę chorobę. Tak się to toczyć będzie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Niekompetentni dowódcy

Każda kolejna rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego powoduje rozpalenie na nowo sporów o jego przyczyny, przebieg, konsekwencje i przede wszystkim skutki. Im większy upływ czasu, tym więcej mamy znawców i dyskutantów, którym znajomość dokumentów, biografii, tła (prozopografii) nie jest do tego potrzebna. I nie ma się co dziwić. Większość dokumentacji powstańczej, wytworzonej przez dowództwo, zgrupowania i oddziały, została uratowana. To są tysiące stron rozkazów, meldunków, opisów działań i wszelkiego rodzaju analiz. Z upływem czasu liczba badaczy, którzy się z nimi zapoznają (ze zrozumieniem), jest coraz mniejsza. Dlatego dyskusje mają taki emocjonalny i powierzchowny przebieg.

W tym chaosie warto jednak zwrócić uwagę na zagadnienie kompetencji dowódców różnych szczebli. Wszak to od nich zależały podejmowane działania i ich skutki. Tu warto się skupić na kadrze kierowniczej i jej poziomie merytorycznym. Posłużmy się dwoma przykładami. Zastępcą dowódcy AK i szefem sztabu był gen. Tadeusz Pełczyński „Robak". Wobec nieczynnego w sumie dowódcy, gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora", to na nim i jego najbliższym otoczeniu spoczywała odpowiedzialność za losy powstania, jego przebieg i ochronę ludności cywilnej. Czy stanął na wysokości zadania?

30 sierpnia 1944 r., gdy klęska powstania była oczywista, a przebieg walk wskazywał na przerażająco rosnące straty, wydał rozkaz do Okręgów AK: krakowskiego, kielecko-radomskiego, łódzkiego i śląskiego, opisujący doświadczenia z Warszawy i wzywający do dalszych działań powstańczych! Przy okazji dzielił się swymi doświadczeniami, wykazując nieprawdopodobną niekompetencję. Bo jak inaczej traktować jego wezwania do natychmiastowego przygotowania „ruin domów do obrony"? Jego twórczym wkładem do myśli powstańczej było zaś następujące wskazanie: „Wszystkie bramy zamknięte, by uniemożliwić nieprzyjacielowi w natarciu korzystanie z nich". Ale przecież większa część domów nie miała takich bram, ponadto Niemcy nie takie przeszkody potrafili pokonywać.

Po klęsce powstania i straszliwych stratach ostatni dowódca AK, gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek", dokonał całościowego podsumowania, pisząc, że gdyby ono nie wybuchło, to… „żołnierz AK załamałby się moralnie". Czyli to powstańcy chcieli ginąć i poświęcali ludność cywilną, a nie dowódcy?

Mentalność straceńczą Okulicki zawarł w zdaniu: „Straty materialne nie wchodzą w rachubę". Ich częścią były przecież straty ludzkie. Istnym curiosum było jego stwierdzenie, że była to „taktyczna przegrana, ale politycznie wygrana bitwa". ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwsza Kadrowa

Gdy serbscy zamachowcy zastrzelili w Sarajewie austriackiego następcę tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, Europa pogrążyła się w wojennym chaosie. Austria zaatakowała Serbię, Rosja wypowiedziała wojnę Austrii, Niemcy Rosji, w której obronie stanęły Francja i Anglia.

Wybuch wojny wywołał nieprawdopodobną eksplozję nastrojów patriotycznych w Galicji. Starcie zaborców przynosiło nadzieję na niepodległość, na zmianę sytuacji narodu rozdartego przez trzy cesarstwa. A w Galicji od lat Polacy cieszyli się autonomią polityczną i kulturalną, nasi rodacy bywali nawet premierami rządu austriackiego.

Piłsudski otrzymał zgodę austriackiego wywiadu na mobilizację oddziałów strzeleckich. Następnego dnia rosyjską granicę przekroczył siedmioosobowy patrol kawaleryjski Beliny-Prażmowskiego. Patrol wyruszył na rekonesans bryczkami (!!!), z wyposażenia kawaleryjskiego posiadając wyłącznie siodła. Podobno Piłsudski pożegnał wyruszających na patrol beliniaków krótkim zdaniem: „Chociaż zapewne będziecie wisieć, to spełnicie swój żołnierski obowiązek, a historia o was nie zapomni".

Nie wisieli i spełnili swój obowiązek. W tym czasie na krakowskich Oleandrach sformowano liczącą 144 osoby kompanię kadrową. Piłsudski oczekiwał, że Rosjanie wycofają się na prawy brzeg Wisły, a wkroczenie polskich oddziałów spotka się z masowym napływem ochotników. Komendant spodziewał się nawet wybuchu antyrosyjskiego powstania, co umożliwiłoby opanowanie Warszawy przed wkroczeniem Niemców. Zajęcie stolicy stwarzałoby zupełnie nową sytuację polityczną, zmuszając rządy państw centralnych do rozwiązania sprawy polskiej. Insurekcję przyspieszyć miała fikcyjna odezwa Rządu Narodowego, powstałego rzekomo na początku sierpnia w Warszawie. Odezwa nawoływała do rozprawy z Rosją, nie wspominając oczywiście o sojusznikach, u których boku walka z caratem musiałaby się odbywać.

Ambitne plany Piłsudskiego załamały się w ciągu kilku dni. Gdy 6 sierpnia 1914 r. z Oleandrów wyruszyła Pierwsza Kompania Kadrowa, na terenie Królestwa spotkała się z niechęcią mieszkańców. Nie wybuchło żadne powstanie, nie zgłaszali się ochotnicy, Rosjanie spokojnie dokończyli mobilizację.

Oddziały kadrowe pozostały jednostkami kadrowymi – napływ ochotników był znikomy. Nie powiódł się również szybki marsz na Warszawę – Rosjanie przygotowali kontruderzenie na linii Lwów – Kraków i nie odsłonili prawej flanki. Strzelcy dotarli zaledwie do Kielc, ale i stamtąd zostali wyparci. A co potem się działo, to już zupełnie inna historia… ©℗

eprasa.pl 920a274a11

Pułkownik Spirydion Koiszewski „Topór”
FOT. ARCHIWUM AUTORA

Major Leon Nowakowski „Lig”
FOT. ARCHIWUM AUTORA

Pomijane bohaterstwo

Maciej Kledzik

Trzeba przypominać, że w Godzinę „W” do walki stanęli w Warszawie żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych

Tego pytania nie zadał jeszcze nikt przez 80 lat od upadku powstania. Nie zaistniało w PRL. O oddziałach NSZ-AK wzmiankował Adam Borkiewicz w „Powstaniu Warszawskim 1944” wydanym w 1957 r., ale przemilczał udział NSZ-ONR. Komunistyczna cenzura wycinała wszystko o Narodowych Siłach Zbrojnych, chyba że autor kłamał i opluwał. Wówczas cenzura czuwała, żeby nie ukazywały się sprostowania.

Na obczyźnie udział w warszawskiej insurekcji dokumentowało Koło Byłych Żołnierzy NSZ w Chicago w „Zeszytach do Historii NSZ”. W czasopismach emigracyjnych ukazywały się nieliczne relacje i artykuły. W wydanych w Londynie w 1982 r. „Narodowych Siłach Zbrojnych” Zbigniew S. Siemaszko walce oddziałów NSZ w powstaniu poświęcił tylko kilka stron. Po 1990 r. byli żołnierze i oficerowie NSZ odnajdywali w archiwach WIH w Rembertowie, byłym Archiwum KC PZPR przekazanym do Archiwum Akt Nowych i archiwum MSW dokumenty ukazujące udział oddziałów NSZ walczących w Śródmieściu i na Starym Mieście, a także w innych dzielnicach stolicy. Ich wnikliwa praca zaowocowała wydaniem czegoś w rodzaju białej księgi zatytułowanej „Oddziały i żołnierze NSZ w Powstaniu Warszawskim” (Biblioteczka „Szczerbca”, Warszawa 1998). Jestem autorem wstępu do tej księgi.

Pierwsza monografia udziału NSZ w powstaniu jest dziełem historyka Sebastiana Bojemskiego (Fronda, Warszawa 2009). Nie do końca jeszcze, co przyznaje autor, w pełni rozwinięta z braku zachowanych dokumentów i relacji, a także jeszcze rozproszonych w archiwach i zbiorach prywatnych.

WŁĄCZENI I NIEWŁĄCZENI DO AK

Próby scaleniowe NSZ z AK miały początek 7 marca 1944 r., kiedy to Tymczasowa Narodowa Rada Polityczna NSZ podporządkowała siły zbrojne komendantowi Armii Krajowej gen. „Borowi” Komorowskiemu. Żołnierze NSZ, zgodnie z zawartą umową, przechodzili do AK z zachowaniem nazw oddziałów liniowych i specjalnych, uznaniem awansów oficerskich i podoficerskich, patentów szkół podchorążych NSZ i odznaczeń za czyny bojowe.

31 marca 1944 r. gen. „Bór” Komorowski wydał odezwę witającą żołnierzy NSZ w szeregach AK. Tego dnia dowodzący

eprasa.pl 920a274a11

Kapitan Piotr Zacharewicz „Piotr Zawadzki". Poniżej: pieczątka Okręgu Warszawa-Miasto NSZ

FOT. ARCHIWUM AUTORA

NSZ płk dypl. Tadeusz Kurcyusz „Żegota", który nie brał udziału w podpisaniu umowy scaleniowej, zawiadomił gen. Komorowskiego, że z powodu złego stanu zdrowia przekazuje dowództwo NSZ szefowi sztabu ppłk. Michałowi Białkowskiemu „Tuwarowi" (w opracowaniach historyka S. Bojemskiego ppłk „Tuwar" występuje z nazwiskiem Wacław Świeciński). Śmierć „Żegoty" Kurcyusza 22 kwietnia spowodowała, że w dowództwie NSZ nastąpił podział na odłam reprezentujący Obóz Narodowo-Radykalny (NSZ-ONR) i drugi, reprezentujący Stronnictwo Narodowe (NSZ-AK). Przestała istnieć Tymczasowa Narodowa Rada Polityczna, w jej miejsce ONR-owcy powołali Radę Polityczną, która pośmiertnie awansowała płk. Kurcyusza do stopnia generała.

Tej nominacji generał „Bór" Komorowski nie uznał. Nie uznał także następcy. Zgodnie z ostatnim życzeniem płk. Kurcyusza miał nim zostać podpułkownik NSZ „Kmicic" Stanisław Nakoniecznikoff-Klukowski (występuje też często pod nazwiskiem Nakoniecznikow), co zatwierdziła Rada Polityczna.

Generał Komorowski poinformował Radę Polityczną, że dla dowództwa Armii Krajowej Stanisław Nakoniecznikoff-Klukowski jest dezerterem ze Związku Walki Zbrojnej (poprzedniczki AK) z prawomocnym wyrokiem Wojskowego Sądu Specjalnego z wiosny 1942 r. I powołał 2 maja ppłk. „Tuwara" na stanowisko pełnomocnika dowódcy AK do spraw NSZ. Następnego dnia ppłk „Tuwar" zrezygnował z powierzonej funkcji i wyjechał z Warszawy. Trzy dni później jego zastępca, ppłk Walenty Albin Rak „Lesiński", zgłosił gen. Komorowskiemu gotowość pełnienia obowiązków dowódcy NSZ z prośbą o zaprzysiężenie do Armii Krajowej. Sebastian Bojemski przyjął, że właśnie od tej deklaracji rozpoczęły działalność dwie oddzielne organizacje niescalone z AK – NZS-ONR i NSZ-AK.

Sąd wojenny przy dowództwie NSZ-ONR 2 czerwca skazał ppłk. „Lesińskiego" Raka wyrokiem zaocznym w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej na karę śmierci, utratę praw honorowych na zawsze i wydalenie z korpusu oficerskiego. Trzy dni później gen. Komorowski powierzył ppłk. Rakowi stanowisko pełniącego obowiązki komendanta NSZ-AK i wezwał oddziały NSZ-ONR do karnego podporządkowania się komendantowi Rakowi „Lesińskiemu".

10 czerwca Rada Polityczna NSZ-ONR wystosowała za pośrednictwem Polskiej Informacji Prasowej komunikat przedstawiający genezę konfliktu z dowództwem AK z punktu widzenia NSZ. Zaapelowała w nim: „Rada Polityczna wzywa żołnierzy NSZ, wobec prób rozbijania organizacji od zewnątrz czy od wewnątrz, do przestrzegania zwartości ideowej oraz karności względem swoich dowódców. Wśród wypadków, które nadchodzą, wobec szerzącej się komuny i anarchii, NSZ mogą stać się jedyną ostoją bytu Narodu i Państwa Polskiego". Te wszystkie decyzje wywołały ferment i zamieszanie w obu odłamach NSZ. Starano się przeciągnąć zdezorientowanych żołnierzy i oficerów na swoją stronę.

Zaocznie wydany wyrok śmierci na ppłk. Raka „Lesińskiego" nie został wykonany.

1 lipca Naczelny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski, w depeszy do gen. „Bora" Komorowskiego napisał m.in.: „Zabraniam wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej w Kraju, obowiązanym do spełnienia powinności wojskowej – należenia do jakichkolwiek organizacji wojskowych poza Armią Krajową i nakazuję, aby bez zwłoki podporządkowali się rozkazom Komendanta Głównego Sił Zbrojnych w Kraju". Tego dnia w okręgu Warszawa-Miasto znajdowało się gotowych do walki 5,3 tys. żołnierzy i oficerów NSZ, z nikłym uzbrojeniem.

W lipcu, po dwóch miesiącach pełnienia obowiązków, ze stanowiska dowódcy NSZ-ONR został odwołany ppłk „Kmicic" Nakoniecznikoff-Klukowski. Zastąpił go tydzień przed wybuchem powstania gen. Tadeusz Jastrzębski „Powała", który po Godzinie „W" stracił kontakty z NSZ-ONR.

20 lipca rozkazem ppłk. „Lesińskiego" Raka podlegli mu żołnierze i oficerowie NSZ-AK mieli przejść do głębokiej konspiracji, nie używać nazwy NSZ w meldunkach, rozkazach, raportach. Wprowadzone zostały nowe kryptonimy. Zadaniem oddziałów była ochrona ludności cywilnej przed represjami, a w momencie wkroczenia Sowietów wycofanie się na południowy zachód. Przy końcu lipca dowództwo I Okręgu Warszawa-

eprasa.pl 920a274a11

-Miasto NSZ-AK objął płk Spirydion Koiszewski „Topór".

To samo, czyli wycofanie się przed Rosjanami z Warszawy, planowało dowództwo NSZ-ONR. 1 sierpnia przygotowano napad i zdobycie w Wytwórni Papierów Wartościowych na Nowym Mieście dużych zasobów gotówki. Akcja nie zdążyła dojść do skutku. Zdaniem historyka Bojemskiego warszawskie NSZ-ONR było całkowicie nieprzygotowane do wystąpienia zbrojnego w stolicy.

PO GODZINIE „W"

Dowództwa obu odłamów NSZ nie zostały poinformowane o dniu i godzinie wybuchu powstania. Dla kilku tysięcy żołnierzy i oficerów nie było to całkowite zaskoczenie, gdyż spodziewano się wybuchu z dnia na dzień, ale wszyscy znaleźli się poza planami działań Armii Krajowej. Byli to oficerowie Wojska Polskiego z II Rzeczypospolitej, młodzież przeszkolona w konspiracyjnych podchorążówkach i szeregowcy. Małymi oddziałami lub pojedynczo przyłączyli się do walk.

W pierwszych minutach i godzinach walk została w lokalu przy ulicy Twardej 40 powołana samorzutnie grupa zorganizowana przez majora NSZ-ONR Leona Nowakowskiego „Liga". Powstała w południowo-zachodniej części Śródmieścia, gdzie wyznaczone w planach przedpowstaniowych dwa Zgrupowania AK – IV „Gurt" i XI „Sosna" – oraz kompania saperów z pułku „Garłuch" albo nie dotarły, albo też nie były w stanie zaatakować i opanować obiektów zajętych przez Niemców. Był to teren między Alejami Sikorskiego (Jerozolimskimi), ulicami Towarową od placu Zawiszy, Grzybowską i Sosnową, Chmielną od Marszałkowskiej.

Grupa przyjęła nazwę „Chrobry", nie wiedząc, że istnieje Zgrupowanie AK o tej samej nazwie (od 5 sierpnia zmieniła nazwę na „Chrobry II"). Od razu włączyła się do działań obronnych, skutecznie powstrzymując butelkami zapalającymi niemieckie natarcia czołgami i wozami pancernymi. Kadrę dowódczą stanowili oficerowie NSZ-ONR, NSZ-AK i NSZ-AK „Miecz i Pług".

Rano 2 sierpnia do kwatery mjr. „Liga" przy Twardej 40 zgłosili się dwaj oficerowie Armii Krajowej, rtm. „Witold" Pilecki i ppor. „Janek" Redzej. W zachowanym raporcie z tego dnia mjr „Lig" nie wspomina o nich. Przedstawili się mu jako zbiegowie z obozu koncentracyjnego w Auschwitz, z Oświęcimia. Otrzymali rozkaz sformowania oddziału i „oczyszczenia" rejonu małego getta, odcinka ulicy Pańskiej między Twardą i Żelazną, oraz zlikwidowania „gołębiarzy" przy ulicy Ceglanej. Sformowali oddział z 17 ochotników i po wykonaniu zadania pozostawili go pod dowództwem plutonowego „Sawy" Kazimierza Sawickiego. Sami wrócili do kwatery przy Twardej 40. Otrzymali od mjr. „Liga" nowe zadanie – opanowania skrzyżowania Alei Sikorskiego (Jerozolimskich) z placem Starynkiewicza, by powtrzymać oddziały pancerne nieprzyjaciela, które groziły wtargnięciem w głąb rejonu działania Grupy.

Dowództwa obu odłamów NSZ nie zostały poinformowane o dniu i godzinie wybuchu powstania

Przez 10 dni, od 3 sierpnia, rtm. Pilecki dowodził obroną trzech redut, Wojskowego Instytutu Geograficznego (WIG), Domu Turystycznego przy placu Starynkiewicza i Izby Skarbowej. 13 sierpnia jako ostatni wycofał się na drugą stronę Alei Jerozolimskich, do Domu Kolejowego przy ulicy Żelaznej. Anonimową relację Pileckiego (autentyczność rękopisu ojca potwierdziła mi córka Zofia) odnalazłem w Studium Polski Podziemnej w Londynie. Historyk Bojemski jej nie znał.

6 sierpnia płk „Topór" Koiszewski wraz ze sztabem podjął decyzję o całkowitym podporządkowaniu się NSZ-AK dowództwu AK. 8 sierpnia doszło do spotkania obu odłamów, NSZ-AK i NSZ-ONR, na którym ustalono powołanie dwóch dywizji piechoty – 1. DP z oficerską obsadą NSZ-AK i 2. DP z obsadą NSZ-ONR. Nigdy te dywizje nie zaistniały, we wrześniu teoretyczne dywizje przemianowano na zgrupowania. Gdzie oprócz Grupy „Chrobry II" walczyły oddziały obu odłamów NSZ?

W północnym Śródmieściu pułkiem im. gen. Sikorskiego „Sikora" NSZ-ONR dowodził ppłk Lucjan Trzebiński „Dowoyno" (kwatera przy ulicy Czackiego 3/5), pułkiem im. Jana Henryka Dąbrowskiego mjr Marian Chrostowski „Ostoja", oba bardzo słabo uzbrojone. Na przykład uzbrojenie pułku „Sikory" 16 sierpnia stanowiły sześć karabinów, jeden pistolet maszynowy i dziewięć pistoletów. W drugiej połowie sierpnia ponad 50 żołnierzy pułku im. Dąbrowskiego zginęło od wybuchu pocisku z działa kolejowego, który przebił do piwnic kondygnacje Filharmonii, gdzie kwaterowali.

Z planowanego pułku im. Romualda Traugutta pozostały w walkach w północnym Śródmieściu dobrze uzbrojona kompania „Warszawianka" z kpt. Piotrem Zacharewiczem „Piotrem Zawadzkim", podporządkowana Grupie „Chrobry II", i kilka plutonów.

Na Starym Mieście walczyła Brygada Dyspozycyjna Zmotoryzowana „Koło" NSZ-AK dowodzona przez ppłk. Zygmunta Reliszkę „Bolesława Kołodziejskiego", z siedzibą dowództwa przy ulicy Długiej 9. Również słabo uzbrojona. Z kilkudziesięcioma żołnierzami z NSZ-ONR, ochotnikami i żołnierzami z innych organizacji wojskowych pod koniec pierwszego tygodnia walk liczyła ok. 800 osób, rozrastając się liczbowo do 1,2 tys. osób.

Dwie formacje wojskowe utworzone przez NSZ – Grupa „Chrobry II" w północnym Śródmieściu i Brygada „Koło" na Starówce – wydatnie przyczyniły się do wzmocnienia i obrony obu dzielnic. Mniejsze oddziały, kompanie i plutony, a także oficerowie, podchorążowie i żołnierze NSZ walczący w oddziałach AK-owskich także wnieśli znaczący wkład w walkach powstańczych. Ci, którzy przeżyli, wyszli do niewoli z legitymacjami żołnierzy Armii Krajowej. Wracając do kraju, pozostali AK-owcami aż do 1990 r., oficjalnego zakończenia władzy komunistycznej.

Historyk Bojemski liczbę podległych dowództwu Narodowych Sił Zbrojnych w powstaniu szacuje na co najmniej 4 tys. żołnierzy, podchorążych i oficerów. Rannych, poległych i zaginionych było nie mniej niż 1079 osób, z których wielu pozostaje do dzisiaj nieznanymi z imion i nazwisk.

I to trzeba przypomnieć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W publikacji wykorzystałem fragmenty przygotowywanej do druku książki mego autorstwa „Historia powstańczego Śródmieścia Północ – Z nadzieją i z wiarą".

eprasa.pl 920a274a11

Religia w szkołach

Sławomir Siwek

Deklaracje minister Barbary Nowackiej w sprawie nauczania religii w szkołach nie są nowe. Już to kiedyś w Polsce słyszeliśmy

Sejm udzielił wotum zaufania gabinetowi Donalda Tuska 12 grudnia 2023 r., a 13 grudnia, w 43. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, w Pałacu Prezydenta RP odbyło się złożenie przysięgi przez powoływanych członków rządu. Każdy dostał do ręki kartkę z treścią, której wierne odczytanie dopiero oznaczało objęcie urzędu, a nie tylko odebranie dokumentów nominacyjnych.

Barbara Nowacka nominowana na stanowisko ministra edukacji narodowej oraz Katarzyna Kotula przewidziana na stanowisko ministra do spraw równości nie złożyły ślubowania w obecności prezydenta RP. Wygłosiły własny tekst ślubowania, powołując się same na nieistniejące stanowiska „ministry". Moim zdaniem to problem, że Kancelaria Prezydenta nie zareagowała. Znajduję dwa wytłumaczenia: albo przez zaskoczenie niebywałą sytuacją, albo przez jakiś zamysł polityczny… W każdym razie do dzisiaj nie znalazłem informacji, by odbyło się ponowne zaślubienie obu pań, co mogłoby (chyba) rozwiązać problem.

Problem bowiem jest, i to poważny. Bodaj jako pierwszy już 20 grudnia 2023 r. zwrócił nań uwagę prof. Mariusz Muszyński, prawnik, sędzia Trybunału Konstytucyjnego, na łamach gazety wcale nieopozycyjnej, stawiając fundamentalne pytanie: „Czy Polska ma legalny rząd?". O legalizmie rządu się nie wypowiadam, natomiast wydaje się poza dyskusją, że dwie panie odebrały dokumenty, są nominowane i zatwierdzone przez Sejm, zajęły gabinety z pieczątkami, ale nie są ministrami w świetle Konstytucji RP.

WALEC

13 grudnia Barbara Nowacka wywołała konsternację w świecie prawdziwej polityki. W ogólnopolskiej telewizji wygłosiła główny cel swej aktywności ministerialnej – walkę z religią w szkołach. „Dwie godziny lekcji religii to przesada" – ogłosiła i dalej sprecyzowała, że będzie dążyć „[…] do doprowadzenia do tego, żeby była ona na pierwszej lub ostatniej lekcji i żeby oceny z religii nie były liczone do średniej na świadectwach […]".

Ksiądz biskup Artur Miziński sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Polski zareagował już następnego dnia: „Deklaracja pani minister edukacji dotycząca religii w szkole jest jej pomysłem na rozwiązanie sytuacji". Przypomniał też, że nauczanie w szkołach i przedszkolach publicznych jest zagwarantowane w konkordacie i dyskusje powinny się odbywać na Komisji Wspólnej rządu i Episkopatu. Gdyby miały dotyczyć w ogóle obecności katechezy w szkołach, to właściwym organem jest Kościelna Komisja Konkordatowa.

Czytając powyższe, jak powiadał Japycz w serialu „Ranczo", podziwiać trzeba dyplomację watykańską. Ksiądz Biskup z szacunkiem do urzędu używa prawdziwej nazwy „ministra edukacji". Ponadto delikatnie zwraca uwagę, że byłoby wskazane, aby trzymający władzę przygotowali się do jej sprawowania, bo to jest i odpowiedzialność za słowa, i odpowiedzialność za państwo i dobro wszystkich obywateli.

> **Tuż po zaprzysiężeniu Barbara Nowacka ogłosiła cel swej aktywności: „Dwie godziny lekcji religii to przesada"**

Wydaje się, że szefowa rządowej edukacji będzie, podobnie jak cały rząd, brnęła dalej. Uruchomiła już mechanizm rewolucyjny, gdzie prawo, dobre obyczaje i tradycja ciążą, nie są pomocne, nie mitygują. W takim systemie działa się poza prawem. Barbara Nowacka, wygłaszając swoje deklaracje, wyraźnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że wiernie cytuje zadania polityki wyznaniowej PRL opracowane i wprowadzane w Polsce w życie po drugiej wojnie światowej przez oficerów NKWD ZSRS, a następnie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSRS.

2 maja 2024 r. na Jasnej Górze zebrała się Rada Stała Konferencji Episkopatu Polski (KEP), wydając po obradach komunikat, w którym znajdujemy bardziej zdecydowane stanowisko: „Biskupi wyrazili zaniepokojenie wprowadzanymi przez Ministerstwo Edukacji Narodowej zmianami w ich (lekcji religii) organizacji. Apelują, by wszystkich zmian w tym zakresie dokonywać na drodze

eprasa.pl 920a274a11

dialogu, w porozumieniu ze wszystkimi Kościołami i związkami wyznaniowymi i zgodnie z obowiązującym prawem". Ufają też, że rozmowy przyniosą dobre rozwiązanie.

W dniach 10–12 czerwca 2024 r. odbyło się 398. Zebranie Plenarne KEP. W jego wyniku biskupi ponowili apel o dialog ze wszystkimi Kościołami i związkami wyznaniowymi oraz wyrazili swój niepokój. Uznali za niesprawiedliwe i krzywdzące działania podejmowane przez ministerstwo. Są one zdaniem hierarchów „niezgodne ze standardami europejskimi". Podkreślili, że rodzice mają „prawo do wychowania własnych dzieci w szkole publicznej zgodnie z ich przekonaniami, także religijnymi".

Jest w komunikacie z obrad wątek, który powinien zmrozić tzw. progresistów, głoszących, że wszystko, co związane z Kościołem, to średniowiecze i wstecznictwo. Czytamy tam: „Ze względu na dynamiczne zmiany społeczne lekcje religii w szkołach powinny zyskać mocniejszy wymiar kulturowy, wychowawczy, społeczny i historyczny". Jeszcze bardziej groźna może się tej formacji wydać zapowiedź „permanentnej katechezy dorosłych", czyli coraz bardziej świadomych swej wiary świeckich.

Prace w instytucjach Kościoła nad ewolucyjnymi zmianami programowymi w nauczaniu religii mogą niepokoić tych, którzy w istocie są ciemnogrodem ciągle patrzącym w tył i w przeszłości szukali inspiracji do ciągłej walki z wiarą.

DŁUGA TRADYCJA

Ograniczanie nauczania religii, literatury, historii w szkołach w Polsce ma już 80-letnią tradycję. Zakaz wymieniania nazwiska Norwida i innych, wyrzucanie książek zakazanych autorów z bibliotek czy programów szkolnych też już było. Obecnie zarządzający edukacją właściwie nic nowego nie wymyślają.

Gdy słucham Nowackiej i obserwuję jej działania, czuję się tak, jakbym w 1949 r. czytał list z 29 kwietnia wystosowany przez ówczesnego sekretarza Episkopatu bp. Zygmunta Choromańskiego do Ministerstwa Oświaty w sprawie likwidacji szkół katolickich i nauki religii: „Jednocześnie w szkołach państwowych robi się wszystko, żeby naukę religii zepchnąć na ostatnie miejsce nieobowiązujących przedmiotów – same lekcje mają się odbywać w pierwszych i ostatnich godzinach". Natomiast w innym dokumencie przesłanym w tym samym czasie przez bp. Choromańskiego do ministra administracji publicznej Władysława Wolskiego (od 1941 r. przeszkolony agent NKWD, w 1944 r. skierowany do PKWN na stanowisko wiceszefa resortu bezpieczeństwa) można przeczytać: „Zwolniono […] wszystkich księży kontraktowych, nauczających religii w szkołach podstawowych; na miejsce księży mieli nauczać z polecenia władz szkolnych nauczyciele świeccy, faktycznie jednak przynajmniej w 50 proc. szkół podstawowych nauczyciele świeccy nauki religii nie udzielają, a w pozostałych szkołach nauka religii została zredukowana do 1 godziny tygodniowo […], lekcje nauki religii przesuwane są na pierwsze lub ostatnie godziny (zaszedł nawet wypadek, że naznaczono lekcje religii na godz. 7 rano)".

W archiwach instytucji kościelnych jest wiele tego typu historycznych dokumentów. Znając dokładność przygotowywania się członków Komisji Wspólnej rządu i Episkopatu czy Komisji Konkordatowej do rozmów z władzami, nie będzie trudno przygotować się do tego, z czym się można spotkać ze strony rządowej. Doświadczenie całego okresu powojennej historii Polski mówi, że wypracowana linia postępowania Kościoła katolickiego – polegająca na otwarciu na dialog i szukanie porozumienia z władzami – spotykała się z równie stałą, bardziej lub mniej otwartą wrogością i oszustwem. Co nie oznaczało, by nie rozmawiać. Misją Kościoła jest nauczanie, głoszenie Ewangelii, a tu potrzebna jest troska o warunki działania. Innymi słowy – o wolność. Wolność dla wiernych. Wolność i prawa człowieka.

Ograniczanie nauczania religii w szkołach w Polsce ma już 80-letnią tradycję

eprasa.pl 920a274a11

FOT. ADOBE STOCK

Znalazłem ciekawy, wiele mówiący, mało znany dokument z 1947 r. Biskup Choromański rozmawiał wówczas 12 września z ministrem oświaty Stanisławem Skrzeszewskim. To ciekawa i zapomniana postać. Z bogatą biografią nauczycielską nadawał się na oświatę, ale to była tylko przykrywka. Gdy zaczęła się druga wojna we wrześniu 1939 r., ten działacz komunistyczny natychmiast znalazł się we Lwowie, skąd tuż przed wojną Hitler-Stalin, w połowie czerwca 1941 r., wezwany został do Kijowa, gdzie wcale nie czekał na niego wyrok śmierci jako prominentnego działacza KPP, a… obywatelstwo sowieckie połączone z dokumentami członkowskimi Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Prawdopodobnie zwerbowany już został przez służby zagraniczne ZSRS w latach 1925–1926, gdy przebywał we Francji. Wobec zagrożenia Kijowa przez ofensywę Niemców natychmiast ewakuowano go do Uzbekistanu, skąd wezwano go w czerwcu 1943 r. na zjazd Związku Patriotów Polskich wyznaczonego przez Stalina do przejęcia władzy w Polsce po zajęciu jej po drugiej wojnie światowej. W 1945 r. dostał misję ambasadora PRL w Paryżu. W 1953 r., co jest ewenementem, to ZSRS, a nie PRL wysunął jego kandydaturę na sekretarza generalnego ONZ! Fakt mało znany, a ciekawy także dlatego, że ZSRS ujawniał tym samym własne zasoby agenturalne.

Pracę w Polsce Skrzeszewski przeplatał stanowiskami ministerialnymi w oświacie, sprawach zagranicznych, Radzie Państwa. Był obok Wojciecha Jaruzelskiego jednym z niewielu, który przechodził gładko przez wszystkie komunistyczne zawirowania kadrowe, nawet w 1968 r., mimo żony Żydówki.

Z takim specjalistą od oświaty przyszło rozmawiać m.in. na temat nauczania religii bp. Choromańskiemu. Ciekawy był skład rozmówców podczas tego spotkania. Skrzeszewski przedstawiał ze swej strony innego specjalistę „naczelnika departamentu", nie wymieniając nazwiska ani tego, jaki to departament i gdzie się znajduje. W tym czasie w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) sprawami organizacji politycznych i Kościołów zajmował się departament V, a konkretnie wydział II, którego naczelnikiem był płk Karol Więckowski (używał też nazwiska Zenon Stachula) – oficer NKWD, zrzucony w czasie wojny do Polski. Od tej pory funkcjonował jako oficer polski. Prawdopodobnie był Ukraińcem i z polskością miał tyle wspólnego, że urodził się we Lwowie. Wraz z eskalacją represji wobec Kościoła katolickiego awansował i we wrześniu 1953 r., już jako dyrektor departamentu XI stworzonego do wyłącznej walki z Kościołem, doprowadził do aresztowania prymasa Polski, kard. Stefana Wyszyńskiego.

Z bp. Choromańskim w tej rozmowie uczestniczył ks. prał. Zygmunt Kaczyński, minister oświaty w rządzie Stanisława Mikołajczyka w Londynie, redaktor naczelny „Tygodnika Warszawskiego".

BEZ DIALOGU

Skrzeszewski od początku był zdenerwowany, przerywał rozmówcy. W swoim sprawozdaniu ksiądz biskup wiele razy to odnotowuje – widać było, że to już przestał być czas dialogu i porozumienia w sprawach nauczania religii nie będzie. Tym bardziej, jak się okazało, że problemem Kościoła katolickiego w Polsce zajmowała się bezpośrednio Moskwa, bo nawet komunistom w Warszawie nie ufała.

Na konkretne zgłaszane problemy, takie jak ograniczanie nauczania religii do jednej godziny tygodniowo, odmowa zawierania umów o pracę dla katechetów, nieprzyznawanie im świadczeń pracowniczych łącznie z prawem do urlopu czy kartek żywnościowych, Skrzeszewski coraz bardziej rozdrażniony odpowiadał, że o problemach nie wie, bo jest ministrem od niedawna. Ożywił się, gdy zaczął mówić o „politykowaniu" i zadeklarował: „Ja nie ścierpię, żeby księża w szkole uprawiali politykę antyrządową". I tu wywiązał się dialog. Biskup notuje: „Ksiądz Kaczyński wtrącił: – Jeżeliby ksiądz prowadzący politykę antyrządową się znalazł, to na pewno zaopiekowałoby się nim UB. Na to ze złością odpowiedział M [minister – przyp. red.]: – Niech mi ksiądz nie wyjeżdża tutaj z UB, ja za swój resort odpowiadam i mam dosyć siły; nie dopuszczę, żeby mi księża uprawiali politykę antypaństwową. Ale właściwie – dodał M – ja nie wiem, jak się ksiądz nazywa, bowiem nie dosłyszałem nazwiska. – To jest kolega po fachu p. ministra – powiedziałem – też dawny minister oświaty rządu Rzeczypospolitej, ks. prałat Kaczyński. – To ksiądz jest ks. Kaczyński – ze zdziwieniem i złością dodał M" (ze sprawozdania ks. bp. Zygmunta Choromańskiego dla prymasa kard. Augusta Hlonda).

Otwarcie Kościoła katolickiego na dialog spotykało się ze stałą wrogością i oszustwem

31 sierpnia 1948 r. razem z kolegium „Tygodnika Warszawskiego" ks. Kaczyński został aresztowany przez UB po raz pierwszy, a ponownie – 26 kwietnia 1951 r. Skazany został na 10 lat więzienia za zamiar obalenia ustroju PRL przemocą. 13 maja 1953 r. wedle dostępnych informacji został zamordowany przez strażników w więzieniu mokotowskim w Warszawie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

W co gra Łukaszenka

Maciej Pieczyński

Chińczykom nie opłaca się kryzys na granicy polsko-białoruskiej. Stąd najpewniej zmniejszenie presji migracyjnej. I nieśmiałe gesty Łukaszenki, który próbuje, jak dawniej, prowadzić politykę wielowektorową

Unia Europejska to nasi sąsiedzi. Trzeba znaleźć sposoby współpracy z nimi. Jeśli oni chcą coś kupić, a my chcemy sprzedać coś na ich rynku, to jest to obopólna korzyść. Niezależnie od tego, jak bardzo politycy będą piętrzyć przeszkody (we wzajemnych relacjach), biznes znajdzie drogę na ten czy inny rynek, jeśli będzie taka potrzeba – mówił Alaksandr Łukaszenka podczas lipcowej narady poświęconej sytuacji w przemyśle. Dyktator przyznał, że kluczowymi partnerami Białorusi są Rosja i Chiny, zadeklarował jednak chęć zbliżenia z krajami UE.

Nie był to pierwszy sygnał wysłany przez Mińsk w stronę Zachodu. Wcześniej Łukaszenka zaprosił Warszawę do wspólnego zbadania sytuacji na granicy. O tej propozycji poinformował publicznie minister spraw zagranicznych Maksim Ryżenkou. Szef białoruskiej dyplomacji zapewniał, że Mińsk jest gotów przyjąć delegację z Warszawy w dowolnym składzie (jakichkolwiek polskich specjalistów, ekspertów, przedstawicieli władzy), aby wspólnie przyjrzeć się sytuacji na pograniczu. I to w dowolnym miejscu. Jednocześnie dyplomata nazwał „fejkami" informacje o istnieniu na Białorusi obozów, w których migranci mieliby być przygotowywani do nielegalnego przekraczania granicy. „Jeśli wiecie, gdzie są te obozy, jeśli znacie przedstawicieli służb białoruskich, którzy zajmują się podobnymi działaniami, to proszę, przyjedźcie, pokażcie dowolny punkt na terytorium Białorusi, a my wam umożliwimy dostęp razem z naszymi specjalistami" – podkreślał Ryżenkou.

CIEPŁE SŁOWA, MNIEJ ATAKÓW

Do tych zapewnień szef dyplomacji dołożył również nutę osobistą. Na antenie telewizji ONT chwalił się, że jego

eprasa.pl 920a274a11

Alaksandr Łukaszenka i Xi Jinping
FOT. PRESIDENT.GOV.BY

babcia i matka były Polkami. „Troszkę Polskę znam i rozumiem" – mówił, co znamienne, w programie prowadzonym przez Marata Markaua, ministra informacji. „Dlatego jeśli powiem, że moja babcia do ostatnich dni chodziła do Kościoła Czerwonego [kościół katolicki w centrum Mińska, znacjonalizowany dwa lata temu – przyp. red.], to zrozumie pan, że ja rozumiem, czym jest naród polski, jego dążenia, jego mentalność. Bardzo dobrze pamiętam zarówno babcię, jak i mamę – one były prawdziwymi Polkami, ze wszystkimi ich charakterystycznymi cechami: pracowitością, dość wyrazistą emocjonalnością, przy tym z bardzo surowym charakterem" – zaznaczał. Tak pozytywnych słów na temat naszego kraju w Łukaszenkowskich mediach nie było dawno, jeśli padły kiedykolwiek.

Co więcej, Ryżenkou przyznał, że Polska „nigdy nie będzie działać na szkodę własnych interesów". To absolutna nowość w białoruskiej propagandzie państwowej. W ostatnich latach polski rząd – niezależnie od opcji – był postrzegany raczej jako bierny wykonawca polityki „kolektywnego Zachodu", polityki jakoby sprzecznej z interesami i poglądami „zwykłych Polaków", rzekomo szczerze pragnących porozumienia zarówno z Mińskiem, jak i z Moskwą. A tu nagle taka pochwała…

Ponadto widać wyraźnie złagodzenie presji migracyjnej na granicy polsko-białoruskiej. Spadła liczba prób nielegalnego jej przekroczenia. W pierwszej połowie roku było to średnio ponad 100 osób dziennie. Obecnie – średnio między 30 a 80. Od 13 czerwca obowiązuje strefa buforowa przy granicy. W ciągu pierwszego miesiąca jej funkcjonowania liczba prób włamania się do Polski od strony Białorusi spadła o 65 proc. – tak wynika z informacji przedstawionych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Wątpliwe, by jedyną przyczyną takiego stanu rzeczy był obowiązujący na terenie strefy buforowej zakaz wjazdu do strefy buforowej dla tych, którzy na jej terenie nie mieszkają ani nie pracują. Najprawdopodobniej decydujące znaczenie miały działania Chin.

POLSKI PREZYDENT POGROZIŁ XI

A przecież w pewnym momencie mogło się wydawać, że Pekin w konflikcie granicznym stanie po stronie Mińska. Od 8 do 19 lipca w okolicach Brześcia trwały wspólne ćwiczenia wojsk chińskich i białoruskich, pod hasłem „Atak Orłów 2024". Oficjalnie chodziło o przygotowania na wypadek zagrożeń terrorystycznych. W rzeczywistości scenariusz zawierał m.in. desant z powietrza, walki w terenie zabudowanym czy forsowanie przeszkód wodnych. W tym samym czasie (9–11 lipca) odbywał się jubileuszowy szczyt NATO w Waszyngtonie. Co prawda, manewry były zaplanowane już rok temu, to samo jednak można powiedzieć o spotkaniu przedstawicieli państw sojuszu. Obecność chińskich wojsk tuż przy granicy wschodniej flanki można więc było potraktować jako sygnał pod adresem NATO. Zarówno ze strony Mińska, jak i Pekinu, którego relacje z Zachodem uległy pogorszeniu. NATO zaostrza kurs wobec Chin, Chiny ćwiczą swoje wojska u bram NATO…

Tyle że manewry pod Brześciem nie doprowadziły do żadnej eskalacji napięcia. Przeciwnie – zbiegły się raczej ze wspomnianą deeskalacją, czyli ze zmniejszeniem presji na granicę. Duże znaczenie mogły mieć działania polskich władz. Pod koniec czerwca Pekin odwiedził Łukaszenka. Kilka dni później pojechał tam również prezydent Andrzej Duda i prosił Xi Jinpinga o interwencję w sprawie sytuacji na granicy polsko-białoruskiej. Jednocześnie polskie MSZ groziło zamknięciem przejść granicznych. To byłby krok wymierzony w Mińsk, ale dotkliwy również dla Pekinu. 80 proc. chińskiego transportu kolejowego do Europy przechodzi przez Białoruś i Polskę właśnie. Biorąc pod uwagę możliwe dalsze pogorszenie relacji ze Stanami Zjednoczonymi i ewentualne utrudnienia w transporcie morskim, Pekin nie może sobie pozwolić na zatamowanie lądowych szlaków. Chińczycy potrzebują więc spokoju na granicy Białorusi z Polską. I ten spokój, prawdopodobnie, na Łukaszence wymusili. Własne interesy gospodarcze są dla nich ważniejsze niż hybrydowa wojenka białoruskiego dyktatora z Warszawą.

Nie oznacza to jednak, że Mińsk wywiesił białą flagę. Z jednej strony widzimy uspokojenie sytuacji na granicy i słyszymy propolskie wypowiedzi polityków. Z drugiej strony, przynajmniej do momentu, w którym piszę te słowa, Białoruś nie wydała Polsce zabójcy Mateusza Sitka. Zwalniani są więźniowie polityczni, za kratkami siedzi jednak wciąż (znów: w momencie, gdy piszę te słowa) Andrzej Poczobut. Ponadto za dywersję na białoruskiej kolei na karę śmierci został jakiś czas temu skazany Niemiec Rico Krieger. W ubiegły wtorek media poinformowały, że poprosił Łukaszenkę o ułaskawienie.

Dyktator wysyła niejednoznaczne, choć ostatnio z reguły pozytywne gesty wobec Zachodu. W połowie lipca Białoruś zniosła wizy dla obywateli 35 państw europejskich. Warto przypomnieć, że tym „przywilejem" już wcześniej cieszyli się Litwini, Łotysze i Polacy. Czyli obywatele państw najbardziej skonfliktowanych z Mińskiem. Okres bezwizowy dla Polaków trwa od 2 marca 2023 do 31 grudnia 2024 r. Jak widać, ten „gest" dyktatora

eprasa.pl 920a274a11

nie wpłynął na znaczące polepszenie relacji dwustronnych. Podobna decyzja wobec kilkudziesięciu krajów europejskich też nie musi oznaczać dobrej woli Łukaszenki. Jednocześnie, niezależnie od paru ciepłych słów pod adresem Polski, niezależnie również od zmniejszenia presji migracyjnej, w Łukaszenkowskiej propagandzie kryzys graniczny dalej przedstawiany jest w starym, antypolskim i antyzachodnim kluczu. „Kto odpowie za okrucieństwo na granicy? Pobici, okaleczeni, zabici. Są już dziesiątki takich historii. Pokażemy prawdziwą twarz cywilizowanego świata!" – tak telewizja państwowa Biełaruś-1 zapowiedziała wyemitowany 23 lipca film dokumentalny „Nieludzie". Dokument przedstawia rzekome zbrodnie polskich, łotewskich i litewskich służb na migrantach.

SYGNAŁ DLA MOSKWY?

Białoruski dyktator jednak się nie poddaje – nie tylko w tym sensie, że jego ustępstwa i gesty wobec Zachodu są bardzo ostrożne i niekonsekwentne. Zdaniem wielu ekspertów zbliżenie z Pekinem miało być sygnałem nie tyle dla Warszawy, Brukseli czy Waszyngtonu, ile dla Moskwy. Białoruś jest coraz bardziej uzależniona od Rosji. Putin nie kryje swoich planów – jego celem jest pogłębienie „integracji". Łukaszenka był jej gorącym zwolennikiem, ale w latach 90. Wtedy, widząc na kremlowskim tronie słabego Jelcyna i mając ogromne poparcie wśród tęskniących za ZSRS Rosjan, liczył na to, że to on stanie na czele połączonego białorusko-rosyjskiego państwa. Dojście Putina do władzy wszystko zmieniło. A w ostatnich latach apetyty Kremla rosną.

Łukaszenka mentalnie jest człowiekiem sowieckim. Uważa, że „Białorusin to Rosjanin ze znakiem jakości". Naiwnością byłoby przypisywanie „Baćce" uczuć patriotycznych. Jednocześnie woli być głową państwa niż gubernatorem jednego z obwodów Rosji. Czyli państwa, w którym gubernator nie ma nic do gadania i nie jest w stanie przeciwstawić się centralnej władzy – lecz także państwa agresywnie dążącego do konfrontacji z Zachodem. Tymczasem swego rodzaju pacyfizm to jest akurat ten element mentalności Białorusinów, który Łukaszenka podziela. Doskonale zdaje on sobie sprawę z tego, że jego rodacy nie chcą brać udziału w żadnej wojnie. Dyktator chętnie pałuje i wsadza do więzień opozycję, ale w relacjach międzynarodowych maksimum jego sił i zamiarów to tworzenie sztucznych kryzysów migracyjnych, zresztą z pomocą Moskwy. Upraszczając: Białoruś to państwo policyjne, a nie zmilitaryzowane.

Również dlatego potrzebne były Łukaszence manewry wspólne z Pekinem. Chińczycy mają mu pomóc wyszkolić słabą i niedoświadczoną armię. Nie po to, by ruszyć na Ukrainę wraz z Putinem, ale na wszelki wypadek. W tym samym celu rok temu ściągnięto na Białoruś wagnerowców, którzy jednak do końca swojej roli nie spełnili.

Chińczycy mają dodatkowo tę zaletę, że nie są Rosjanami. Są daleko – i nie dążą do aneksji Białorusi. Łukaszenka najpewniej podejrzewa, że Putin w końcu wygra wojnę. A wtedy, gdy połknie Ukrainę (lub jej wystarczającą dla zaspokojenia imperialnego apetytu część), będzie mógł się skupić na „pogłębieniu integracji" z Białorusią.

Chiny, podobnie jak Białoruś, choć stoją po stronie Rosji, to jednak nie są zainteresowane eskalacją konfliktu na Ukrainie

Tu trzeba też wspomnieć o złożonych stosunkach Mińska z Kijowem. Co prawda, Łukaszenka udostępnił swoje terytorium do najazdu na Ukrainę. Najprawdopodobniej bardzo niechętnie. Jednak sam swoich wojsk nie wysłał. Możliwe, że Putin ich nie potrzebował, bo chciał mieć w zanadrzu rzekomo „neutralną" Białoruś jako narzędzie rozmów pokojowych. Ale możliwe też, że Łukaszenka nie tyle bohatersko stawił opór swojemu patronowi, ile przekonał go, że armia białoruska nie nadaje się do udziału w „specoperacji". Jednocześnie sami Ukraińcy traktowali swoich północnych sąsiadów jak pośrednika w rozmowach z Rosją na samym początku inwazji. Białorusini wycofali swoje wojska z okolic granicy z Ukrainą. Ukraińcy wykonali krok analogiczny. Białoruska propaganda przyznawała rację Rosji, ale jednocześnie podkreślała, że Mińsk czynnie do wojny nie wszedł i nie wejdzie. Łukaszenka wykonał wiele gestów pod adresem Kijowa – albo na zlecenie Kremla, albo z własnej woli, aby w ten sposób wzmacniać swoją pozycję wobec Moskwy.

ZBLIŻENIE

Chiny, podobnie jak Białoruś, choć stoją po stronie Rosji, to jednak nie są zainteresowane eskalacją konfliktu na Ukrainie. Zbliżenie na linii Mińsk – Pekin nie ogranicza się do wspólnych manewrów. 4 lipca Białoruś została oficjalnie przyjęta do Szanghajskiej Organizacji Współpracy, do której należą zarówno Rosja, jak i Chiny. Łukaszenka stara się o przynależność w wielu organizacjach międzynarodowych, aby w ten sposób podkreślać, przynajmniej symbolicznie, niezależność kraju, którym rządzi. Eksperci spekulują, że być może Chińczycy będą chcieli wybudować na Białorusi swoją bazę wojskową. Nowy „wielki brat" może pomóc częściowo uniezależnić się od starego „wielkiego brata". Im bliższe będą relacje chińsko-białoruskie, tym większa szansa, że Pekin nie pozwoli na aneksję Białorusi przez Rosję. Chiny zyskają „lotniskowiec" (zarówno dosłowny, militarny, jak i gospodarczy) w sercu Europy. Udowodnią, jak daleko sięgają ich wpływy. Dla Białorusi Chiny to wymarzony sojusznik – zainteresowany prowadzeniem interesów, nie zaś wojen. Potężny patron, z którym liczą się zarówno Zachód (który od 2020 r. praktycznie nie uznaje władzy Łukaszenki i jest wobec niego nieustępliwy), jak i Rosja (która patrzy na Białoruś jak na obiekt do zjedzenia). Ponadto „Baćka" chyba szczerze się boi, że Polska wraz z Litwą najchętniej by go obaliły.

Narracja o obronie granicy białoruskiej przed interwencją Zachodu to nie tylko absurdalna z naszego punktu widzenia propaganda, lecz także wyraz prawdziwych obaw przed nieprawdziwym zagrożeniem. Obecność Chin powinna ten strach uśmierzyć. A chińskie pieniądze sprawić, że zarabianie na niebezpiecznym procederze wywoływania sztucznych kryzysów migracyjnych przestanie się opłacać. O ile, rzecz jasna, pekińskich zakusów nie zastopuje Moskwa.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

FOT. © 2024 ROYAL AIR FORCE. UK CROWN

WOJSKO ZBYT OFENSYWNE

Jedna z eskadr RAF została zmuszona do zmiany nazwy. Czternasta eskadra miała bowiem od dawna przydomek Crusaders (Krzyżowcy). Nazwa została zaczerpnięta z historii eskadry, która podczas pierwszej wojny światowej walczyła nad Gazą i Palestyną. Na tę nazwę poskarżył się jeden muzułmanin służący w tej jednostce. Po skardze natychmiast zabroniono używania tego przydomku. Jak tłumaczył rzecznik Królewskich Sił Powietrznych, „Crusaiders" zostało uznane za przydomek „ofensywny". Piloci nie kryją oburzenia. Ich zdaniem każda jednostka ma swoją przeszłość i nie ma w tym niczego, co mogłoby budzić uprzedzenia.

CO TAM ŚMIERĆ, WAŻNE ZBIORY

26 lipca w Rosji po obfitych opadach deszczu przerwana została tama, wskutek czego zostało zalanych kilka wiosek i zginęły co najmniej dwie osoby. Sytuacja była na tyle poważna, że w niektórych dzielnicach wprowadzono stan wyjątkowy i ewakuowano lokalnych mieszkańców. W związku z burzą musiał nawet zostać utworzony sztab operacyjny. Jednak żona gubernatora obwodu czelabińskiego, Irina Teksler, zaapelowała do mieszkańców, by cieszyli się z deszczu. „Będziemy mieli wspaniałe zbiory" – przekonywała i wyrażała zadowolenie z tego, że „rosną piękne jabłka".

WŁOSKIE FOTORADARY SKONFISKOWANE

W 10 regionach Włoch trwają demontaże fotoradarów, które nie spełniają norm do mierzenia prędkości. Okazało się, że modele, które zostały przekazane przez prywatne firmy gminom na wynajem, nie spełniały norm homologacji. Pierwsze takie ujawniono w postępowaniu wyjaśniającym w rejonie miasta Cosenza, ale takie same maszyny – w sumie większość z 11 tys. – stoją w wielu innych regionach Włoch. Kierowcy złapani przez takie fotoradary będą mieli anulowane mandaty.

NARKOTYKOWY BONZO W KOLORATCE

W Austrii polski ksiądz został zatrzymany przez policję. W jego mieszkaniu znaleziono i zabezpieczono narkotyki, substancje niezbędne do ich wytworzenia oraz sprzęt laboratoryjny. Wszystko wskazuje na to, że ksiądz nie ograniczał się do produkcji metamfetaminy na własny użytek. Austriacka gazeta „Der Kurier" podała, że w tej sprawie została zatrzymana druga podejrzana osoba w sprawie, którą jest obywatel Czech niepowiązany ze strukturami kościelnymi. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Strzały przy beczce prochu

Po izraelskich atakach na Teheran i Bejrut, w których zginęli przywódca palestyńskiego Hamasu, Ismail Hanija, i jeden z wojskowych liderów Hezbollahu, Fuad Szukr, cały świat zastanawia się, czy i tym razem uda się uniknąć wybuchu pełnoskalowej wojny regionalnej.

Nie ma wątpliwości: dojdzie do kolejnego odwetu. Odpowiedzieć Izraelowi muszą nie tylko Hamas i Hezbollah, lecz także władze w Teheranie, które przez izraelskie uderzenie zostały bardzo poważnie upokorzone (zabójstwo Haniji to też policzek dla Chin, Kataru czy rodzin izraelskich zakładników, bo Hanija mógł doprowadzić do ich uwolnienia).

Wybuch wielkiej wojny nie byłby korzystny ani dla Iranu, ani dla Libanu, ani dla USA. Ani dla Izraela. O tym ostatnim zdaje się jednak zapominać znany z ogromnej pewności siebie Beniamin Netanjahu. Za uderzenie na Teheran, które przyniosło mu wzrost politycznego poparcia, już zapewne życiem zapłaciła część izraelskich zakładników. Premier Izraela nie dostrzega też, że armia jego kraju jest na innym poziomie niż podczas wojny Jom Kippur, co pokazuje choćby wojna w Strefie Gazy. Dużo lepiej wyszkoleni są za to bojownicy Hezbollahu. Inwazja lądowa na Liban mogłaby się więc dla Izraela skończyć katastrofą.

Konsekwencje podpalenia bliskowschodniej beczki prochu bez wątpienia odczuliby także Europejczycy. I to nie tylko w cenach paliw i innych produktów czy w ogromnej fali migracji do Europy. Po stronie Izraela musiałaby stanąć Ameryka. To ucieszyłoby zaś zwłaszcza Rosję oraz Chiny, bo musiałoby prowadzić do znaczącego zmniejszenia zaangażowania USA w innych regionach świata, w tym na europejskim froncie wojny z Rosją. ©℗

eprasa.pl 920a274a11

Jan Bogatko z Berlina

Minister spraw wewnętrznych w Berlinie zakazała publikacji miesięcznika „Compact". Jego treści nie pasują do katalogu wartości lewicowego rządu Olafa Scholza

FOT. JAN WOITAS/DPA/AFP/EAST NEWS

Wolność prasy po niemiecku

Niemcy – po Chinach Ludowych (często omija się człon „ludowych" w nazwie własnej ChRL, wprowadzając chaos w nazewnictwie), Indiach, Japonii i USA – to piąty na świecie rynek prasowy i największy w Europie. W Niemczech wydaje się obecnie 320, głównie regionalnych gazet, 16 tygodników i aż 1,3 tys. różnych czasopism.

Cyfryzacja na rynku prasy w Niemczech poważnie wpływa na ofertę. Już w 2021 r. 260 tytułów gazet o nakładzie ponad 2 mln ukazywało się jako wydania elektroniczne. Wśród nich także – oprócz wersji papierowej – magazyn „Compact". Prawicowy wyjątek. Do niedawna.

Berlińskie MSW, na czele którego stoi Nancy Faeser, zabroniło publikacji magazynu „Compact". Władze uznały gazetę, wydawaną w Niemczech od kilkunastu lat, za „ekstremistycznie prawicową". Pojęcie to obejmuje wszelkie instytucje, niewygodne dla lewicowego rządu nad Sprewą. Tajna policja (Urząd Ochrony Konstytucji) należy do najwierniejszych czytelników magazynu, wydawanego w Falkensee pod Berlinem przez Jürgena Elsässera. Funkcjonariusze UOK czytali „Compact" od lat. Teraz minister Faeser podjęła decyzję, oczekiwaną od długiego czasu m.in. przez skrajnie lewicową berlińską gazetę „TAZ".

PRAWO MOŻNA OBEJŚĆ?

Czy ustawa przewiduje w Niemczech zamknięcie gazety? Nie. Nie ma bowiem takiego prawa. Ale czy można zamknąć gazetę? Tak. Ale dlaczego? Bo można obejść prawo.

Jak? Nancy Faeser i kierowany przez nią resort spraw wewnętrznych w Berlinie oparli swą decyzję na instrumencie tzw. demokracji zdolnej do obrony, zawartym w prawie o stowarzyszeniach. Przewiduje ono, że stowarzyszenia, których cele czy działalność w praktyce skierowane są przeciwko porządkowi konstytucyjnemu państwa czy idei porozumienia narodów, mogą zostać w Niemczech zdelegalizowane.

Resort spraw wewnętrznych w Berlinie uznał, że stowarzyszenie wydające magazyn „Compact" i produkujące filmy wideo działa przeciwko porządkowi konstytucyjnemu niemieckiego państwa, co uzasadnia jego zakaz działalności w Republice Federalnej. W ten sposób Nancy Faeser nie naruszyła wolności prasy, a jedynie „uratowała demokrację" przed zgubnymi skutkami działalności antykonstytucyjnej tego stowarzyszenia. I tak o świcie lipcowego dnia policja weszła do mieszkań dziennikarzy magazynu „Compact" oraz biur i pomieszczeń redakcyjnych pisma i jego zespołu wydawców.

Z delegalizacją stowarzyszeń Niemcy miały kłopoty. Afery z próbami delegalizacji narodowo-socjalistycznej partii NPD wypełniłyby niejeden podręcznik prawa o stowarzyszeniach. Podjęto kilka prób delegalizacji NPD. Pierwszą w roku 2001. Każda z nich zakończyła się fiaskiem władz. Przyczyna? We władzach NPD było za dużo agentów tajnej policji. Można więc zakładać, że w stowarzyszeniu wydającym „Compact" ich zabrakło. Albo było ich niewielu.

GDZIE KOŃCZY SIĘ WOLNOŚĆ PRASY?

Jednak zakaz nałożony na organizację wydającą magazyn „Compact" to wcale

eprasa.pl 920a274a11

nie pierwszy tego rodzaju w Niemczech. Za każdym razem decyzja tego rodzaju rodzi pytania. Gdzie kończy się wolność prasy, rozumiana jako swoboda wyrażania poglądów krytycznych wobec państwa, i jak dalece sięgają instrumenty obronne demokracji? W demokracji socjalistycznej (narodowosocjalistycznej, komunistycznej czy faszystowskiej) nie znają one oczywiście granic.

Nancy Faeser podejmowała już w przeszłości jako szefowa resortu spraw wewnętrznych kontrowersyjne decyzje (przy czym kontrowersyjne nie musi wcale oznaczać błędne). Do takich przypadków niewątpliwie należy walka z pedofilią. Unia Europejska obstaje przy planach zobowiązania operatorów messagingu do kontroli chatów pod kątem prezentacji przemocy seksualnej wobec dzieci. Faeser postrzega to niejednoznacznie. Z jednej strony w wywiadzie zamieszczonym na łamach tabloidu „Bild am Sonntag" (w maju 2022 r.), komentując stanowisko Komisji UE, stwierdziła, że kontrolowanie każdej prywatnej wiadomości „jest nie do pogodzenia z naszymi swobodami obywatelskimi". Jednak już niespełna rok później rząd Niemiec zajął stanowisko wobec Rady UE, w którym nie odrzuca już w pełni planowanych kroków. Faeser przeforsowała swe (nowe) stanowisko przeciwko pozostałym partiom rządzącej w Berlinie koalicji. Dla lewicowych sieci w Niemczech, jak np. netzpolitik.org czy Chaos Computer Club, stanowi to dowód na „złamanie umowy koalicyjnej".

To nie wszystko. Dla Faeser demokracja znaczy tyle co kontrola. Dlatego też socjalistyczna minister spraw wewnętrznych w Berlinie opowiada się w dalszym ciągu za masowym przechowywaniem adresów IP bez żadnego podejrzenia, czy ma w danym przypadku miejsce jakiekolwiek przestępstwo, mimo że Europejski Trybunał Sprawiedliwości zakazał tego w wyroku z 2022 r., a partie tworzące rząd Niemiec (oprócz SPD Zieloni i FDP) w umowie koalicyjnej zgodziły się co do tego, że dane mogą być przechowywane jedynie „w sposób prawnie bezpieczny i na podstawie wyroku sądowego".

W marcu 2023 r. Federalny Urząd Kontroli (niemiecki NIK) skrytykował Faeser, wytykając, że ustawa o dostępie do Internetu nie została dotychczas praktycznie wdrożona. Celem ustawy jest udostępnienie procedur administracyjnych on-line, a co za tym idzie – umożliwienie ich szybszego i łatwiejszego przetwarzania. Federalni audytorzy krytykują zarówno powolny postęp, znacznie poniżej zakładanych celów, jak i ocenę postępów dokonywaną przez ministerstwo Faeser.

Szefowa resortu ma na swym koncie także ewidentne wpadki. I tak np. w audycji telewizyjnej programu ZDF „Magazin Royale" opublikowano materiał (7 października 2022 r.) o rzekomych rosyjskich kontaktach ówczesnego prezydenta BSI (Bundesamt für Sicherheit in der Informationstechnik, Federalny Urząd Bezpieczeństwa w Technice Informacyjnej) Arne Schönbohma. Nancy Faeser wyrzuciła go z zajmowanego stanowiska, przenosząc do Federalnej Akademii Administracji Publicznej (BakÖV). W maju 2023 r., bardziej nie chcąc, niż chcąc, po zbadaniu zarzutów dotyczących Schönbohma resort spraw wewnętrznych podał, że zarzuty były bezpodstawne. Czy minister Faeser przeprosiła Schönbohma? Ależ skąd! Jako syn generała i polityka CDU, Jöerga Schönbohma, nie zasługiwał on na empatię ze strony socjalistki. Gdyby był członkiem SPD, zapewne Faeser nie postawiłaby mu zarzutu, aczkolwiek niekoniecznie przedstawiłaby go do wyróżnienia (aktualnie). Zaraz po aferze zmieniono przepis, który dziś stanowi, że szef BSI jest politycznym urzędnikiem. Łatwiej można go teraz wymieść z urzędu, który stał się mniej niezależny.

Policja weszła do mieszkań dziennikarzy magazynu „Compact" oraz pomieszczeń redakcyjnych pisma i jego zespołu wydawców

GDZIE DOWODY?

Nie powiem, że miesięcznik „Compact" jest pismem bezstronnym i magazynem cnót wszelakich. Byłoby to przesadą. Jednak nie wytoczono mu procesu o fake newsy, a co więcej – nie skazano nikogo za podawanie fałszywych wiadomości.

Redaktor naczelny magazynu Jürgen Rainer Elsässer to postać nietuzinkowa. Zaliczany do prawicowych ultrasów dziennikarz rozpoczynał karierę medialną jako skrajny komunista. Był redaktorem sowiecko-niemieckiej gazety „Neues Deutschland". To dawny organ wschodnioniemieckiej PZPR, SED. Gazeta wychodzi do dziś. Nikt nie żąda w socjalistycznych Niemczech delegalizacji organu za głoszone na łamach tej gazety poglądy.

Gdyby Jürgen Rainer Elsässer dalej na łamach „Neues Deutschland" wygłaszał swe „antydemokratyczne, antykonstytucyjne i antyizraelskie" poglądy, to nikt by mu tego nie zabraniał. Ale na łamach „Compactu" czy na swoim blogu – to już całkiem inna historia.

Zarzuty wobec dziennikarza obejmują każdą jego opinię. W związku z kryzysem z osadnikami w Niemczech Elsässer 13 września 2015 r. na blogu miał wezwać żołnierzy Bundeswehry do samodzielnego zabezpieczania niemieckich granic przed dalszym napływem jego zdaniem „nielegalnych migrantów". Według Elsässera Niemcy są w „śmiertelnym niebezpieczeństwie" z powodu „wzbogacaczy kulturowych z zaburzeniami równowagi hormonalnej".

Zabójczy dla „Compactu" był za to zarzut antysemityzmu, choć był on mało przekonujący.

Tymczasem nie można wykluczyć sądowej kontroli decyzji minister Nancy Faeser. Sprawa leżałaby wówczas we właściwości Federalnego Trybunału Administracyjnego i Trybunału Konstytucyjnego jako sądu odwoławczego. Nie byłby to pierwszy proces tego rodzaju. Faeser zakazując pisma i strony internetowej „Compact", podejmuje zatem pewne ryzyko. Ale – dodać trzeba – jest ono niewielkie. Przede wszystkim rząd Olafa Scholza ma już i bez tego tak zszarganą opinię, że jeden problem więcej nie przyczyni się do jego upadku.

Jest jeszcze inny problem, na który Nancy Faeser zdaje się w ferworze ostrej walki politycznej nie zwracać uwagi: gdyby sędziowie uznali, że minister nie miała racji, w efekcie wzmocniłaby ona tych, których chciałaby pokonać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

Cypr: 50 lat później

Teresa Stylińska

Pół wieku po podziale państwa cypryjskiego nadzieja na zjednoczenie jest coraz bardziej nikła

Recep Tayyip Erdoğan na uroczystościach z okazji 50-lecia wydarzeń, które doprowadziły do podziału państwa cypryjskiego FOT. ALEXIS MITAS/GETTY IMAGES

Sala obrad parlamentu w Nikozji jest prosta i skromna, a przy tym, jak na parlamentarne standardy, nieduża, bo przeznaczona dla zaledwie 80 deputowanych. W założeniu. Naprawdę obraduje w niej tylko 56 posłów. Dwadzieścia cztery fotele stoją puste. Powinni je zajmować przedstawiciele tureckiej społeczności Cypru. Tyle że ich nie ma.

Puste miejsca dobitnie przypominają, że Cypr jest państwem podzielonym. Fakt, że nadal czekają one na Turków, ma jednak walor symboliczny. To, po pierwsze, przejaw nadziei, że pewnego dnia Grecy i Turcy znów w sali obrad zasiądą razem. Po drugie, delikatne przypomnienie, że spadkobiercą dawnego Cypru, który po uzyskaniu niepodległości był wspólnym państwem dwóch narodów przez zaledwie 14 lat, jest dzisiejsza część grecka, uznawana przez świat. Państwo cypryjskich Turków uznaje jedna tylko Turcja.

Nadzieja na zjednoczenie jest jednak coraz bardziej nikła. W tym roku, z okazji 50-lecia wydarzeń, które doprowadziły do podziału państwa cypryjskiego, na uroczystości, osobne oczywiście, do dwóch części Nikozji, przybyli Recep Tayyip Erdoğan i Kyriakos Mitsotakis. Przywódcy tureccy są tu co roku, grecki premier natomiast po raz pierwszy. Zrodziło to ciche nadzieje: może obaj panowie się spotkają, może wystąpią z jakąś wspólną inicjatywą, może zapowiedzą wznowienie rozmów na temat zjednoczenia. W sprawie Cypru decyzje należą przecież do Grecji i Turcji.

Ci, którzy oczekiwali przełomu, srodze się zawiedli. Żadnej wspólnej deklaracji nie było. Mitsotakis wygłosił wprawdzie parę gładkich zdań o potrzebie zjednoczenia, Erdoğan jednak dowodził, że dziś już rozmowy na ten temat nie mają większego sensu.

TURCJA ZBYT BLISKO, GREKÓW ZBYT WIELU

20 lipca 1974 r. o świcie na północnym wybrzeżu Cypru, na zachód od Kyrenii, wylądowali tureccy żołnierze. Pięć dni wcześniej grupa greckich spiskowców pod wodzą Nikosa Simpsona dokonała zamachu stanu, którego celem było przyłączenie Cypru do Grecji – po grecku „enosis" (unia). Zamach udał się połowicznie. Prezydent Cypru, abp Makarios, został wprawdzie obalony, realizację enosis uniemożliwiła jednak błyskawiczna reakcja Turcji.

Rozpoczęta w ten sposób kilkutygodniowa wojna pochłonęła kilka tysięcy ofiar (ile dokładnie, nie wiadomo), zakończyła się podpisanym w połowie sierpnia rozejmem, w dłuższej perspektywie zaś przyniosła exodus ludności – 160 tys. Greków z północy wyspy uciekło na południe, 50 tys. Turków z południa na północ – i rozpad państwa.

Nikt wówczas nie był w stanie przewidzieć, co się jeszcze wydarzy. Nie sądzono, że cypryjscy Turcy mogą proklamować własne państwo. Tymczasem dziewięć lat później, w listopadzie 1983 r., ogłosili powstanie Republiki Tureckiej Cypru Północnego. Gdyby nie pomoc Turcji – w każdej dziedzinie: od handlu i gospodarki do sfery bezpieczeństwa – i stała obecność ponad 30 tys. żołnierzy tureckich, RTCP nie byłaby w stanie przetrwać.

Każda ze społeczności ma też swe – całkowicie zrozumiałe – obawy. Greków niepokoi bliskość Turcji, którą od brzegów Cypru dzieli niewiele ponad 100 km. Jak możemy czuć się bezpiecznie – pytają – skoro tureckie myśliwce dotrą do nas w ciągu kwadransa? Turcy z kolei czują się zagrożeni dominacją Greków, którzy stanowią 80 proc. mieszkańców. Twórcy państwa cypryjskiego, świadomi takich obaw, w latach 60. wprowadzili stosowne konstytucyjne zabezpieczenia. Dla deputowanych tureckich przeznaczono w parlamencie 30 proc. miejsc, a każda decyzja

eprasa.pl 920a274a11

musiała mieć akceptację obu społeczności. W teorii wyglądało to pięknie, gorzej z praktyką – bo okazało się, że sprzeciw ośmiu tureckich deputowanych (parlament miał wówczas 50 miejsc) wystarczy, by zablokować każdą ustawę. Taki system uniemożliwiał skuteczne podejmowanie decyzji. I Cyprem nie dało się rządzić.

MIĘDZY DRAPIEŻNIKAMI

– Cypr jest jak mysz między dwoma kotami – tak obrazowo mówił mi kiedyś w Nikozji znany adwokat i zarazem właściciel dużej prywatnej stacji telewizyjnej, który przed laty, jako młody człowiek, należał do EOKA, greckiej organizacji walczącej z Brytyjczykami o niepodległość Cypru.

Koty, czyli Grecja i Turcja, mają jednak formalną podstawę, by mieszać się w sprawy Cypru. Są, wraz z Wielką Brytanią, gwarantami jego statusu. Uważnie obserwują wszystko, co dzieje się na wyspie, pilnują spraw i interesów „swej" społeczności i zawsze, jak prawdziwe drapieżniki, są gotowe do skoku.

Cypr, podobnie jak Kreta, Rodos i inne wyspy wschodniej części Morza Śródziemnego, ma burzliwą historię. Władali nim joannici, którzy trafili tu po upadku Królestwa Jerozolimskiego, Wenecja i imperium osmańskie, a od końca XIX w. Wielka Brytania. Przez całe wieki Grecy i Turcy żyli w zgodzie, obok siebie, we wsiach, miastach i dzielnicach pod względem narodowym mieszanych. Gdy jednak po drugiej wojnie światowej Grecy zaczęli przemyśliwać, że dobrze byłoby mieć własne państwo albo może przyłączyć Cypr do Grecji, a bojownicy EOKA rozpoczęli kampanię zamachów i terroru, Brytyjczycy do tłumienia greckich aspiracji posłużyli się Turkami. Zatrute ziarno wydało owoce i nowo powstałe państwo cypryjskie szybko stało się miejscem przybierającego na sile grecko-tureckiego konfliktu.

Prawdziwie tragiczny okazał się bilans największych starć ulicznych, które rozgorzały w Nikozji w Boże Narodzenie 1963 r. W ciągu 10 dni zginęło 364 Turków i 174 Greków i był to ten moment, gdy obie społeczności zaczęły same z siebie zamykać się w osobnych dzielnicach. Władze również doszły do wniosku, że Greków i Turków dla ich własnego bezpieczeństwa trzeba rozdzielić. Wytyczoną wówczas strefę buforową nazwano „zieloną linią", bo ktoś na mapie zaznaczył jej przebieg zieloną kredką. Parę miesięcy później ONZ skierował na Cypr siły pokojowe – pierwsze na świecie – które są tam do dzisiaj. A od 1974 r. zielona linia przecina już nie tylko Nikozję, lecz także całą wyspę ze wschodu na zachód. Koncepcję amerykańskiego dyplomaty Deana Achesona, który proponował, by Cypr, jak pragną Grecy, przyłączyć do Grecji, Turcji zaś jako rekompensatę oddać grecką wyspę Kastellorizo, abp Makarios odrzucił.

WIĘZY MIMO SEPARACJI

Pięćdziesiąt lat to cała epoka. Niemcy zjednoczyły się po ponad 40 latach podziału, Wietnam – po 24 latach. W obu krajach zasadniczą rolę odegrały zarówno czynniki międzynarodowe – koniec zimnej wojny w wypadku Niemiec, koniec wojny gorącej w Wietnamie – jak i nastawienie społeczeństw. W obu krajach żyli, rozdzieleni granicą, ludzie jednego narodu.

Na Cyprze żaden z tych czynników nie działa. Narody są dwa, wspólna historia bolesna. I nie ma okoliczności zewnętrznych, które mogłyby dać impuls zjednoczeniu.

Ostatni taki moment miał miejsce wiosną 2004 r., tuż przed przystąpieniem Cypru do Unii Europejskiej. W obu częściach wyspy przeprowadzono wówczas referendum, z którym wiązano wielkie nadzieje – płonne, jak się okazało. Choć Turcy cypryjscy, kuszeni wizją korzyści wynikających z członkostwa w Unii, zjednoczenie poparli (65 proc. było za), to plan pokojowy odrzucili Grecy, i to ogromną większością aż 76 proc. Zbyt wiele spornych spraw nie zostało, ich zdaniem, rozwiązanych.

Czy zresztą Grecy i Turcy są jeszcze w stanie żyć razem? Coraz mniej jest ludzi, którzy pamiętają życie w jednym państwie, a rachunek wzajemnych win i krzywd jest nadal bolesny. Na stare animozje i ciągle żywe rany z lata 1974 r. nałożyły się nowe problemy – kwestie własności i odszkodowań, poszukiwania osób, które w trakcie walk zaginęły bez wieści, problem upamiętnienia ofiar, pytanie o przyszłość osadników sprowadzonych z Turcji. Ci ludzie wrośli w Cypr, Grecy jednak, i nie bez podstaw, widzą w nich kolonistów, dla których nie ma na wyspie miejsca. Część cypryjskich Turków jest tego samego zdania.

Co ciekawe, po latach życia w separacji obie części wyspy ciągle dużo łączy. Dowodem Nikozja, jedyne podzielone miasto Europy. Sprawne funkcjonowanie miasta i jego infrastruktury wymaga współpracy władz obu części i one wcale się od tego nie uchylają. Cypryjczycy mogą też odwiedzać nie swoją strefę, bo przejścia na linii demarkacyjnej są otwarte od ponad 20 lat. A Turcy cypryjscy nie muszą jeździć po świecie z paszportem tureckim. Mogą otrzymać paszport Republiki Cypru – pod warunkiem że pochodzą z rodziny rdzennie cypryjskiej. Osadnicy go nie dostaną.

TERAZ ALBO NIGDY!

Czy zjednoczenie jest jeszcze możliwe? Trudno to ocenić. Żaden z mediatorów i specjalnych wysłanników, których było bez liku, nie odnotował nawet cienia sukcesu. Nie przypadkiem Cypr nazywany jest „cmentarzem negocjatorów". Poddał się nawet najsłynniejszy z nich, Richard Holbrooke, autor porozumienia, które zakończyło wojnę w Bośni. Ostatnie rozmowy, w Crans-Montana w Szwajcarii w 2017 r., zapowiadane – jak zwykle – jako „rozmowy ostatniej szansy", też zakończyły się fiaskiem.

Na domiar złego pojawił się nowy trudny aspekt. Lansowana przez lata koncepcja federacji dwóch wspólnot jest dziś odrzucana przez stronę turecką, która proponuje trwałe rozdzielenie dwóch społeczności i utworzenie dwóch państw. To stara idea „taksim" – podziału. Dla Greków nie do przyjęcia.

W ostatnim czasie wydawało się, że idea zjednoczenia umiera śmiercią naturalną – bo nikt już w nią nie wierzy. A jednak od paru miesięcy na placu boju pojawiła się nowa wysłanniczka sekretarza generalnego ONZ, Maria Angela Holguin Cuellar, była minister spraw zagranicznych Kolumbii. Ma doświadczenie, bo brała udział w rozmowach, które doprowadziły do porozumienia władz Kolumbii z rebeliantami z FARC. Już trzy razy odwiedziła Cypr i oczywiście wierzy, że jej się powiedzie. A sukces na Cyprze jest z pewnością na miarę Pokojowej Nagrody Nobla.

Mocno już wyświechtana formułka „rozmów ostatniej szansy" ustępuje dziś miejsca nowemu i bardziej wyrazistemu hasłu: „Teraz albo nigdy". Brzmi dobrze. A czy jest trafne, czas pokaże.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

Thomas Massie, zasiadając od 12 lat w Kongresie, konsekwentnie głosuje przeciwko wszelkim podwyżkom podatków, ograniczeniom wolności słowa czy też wszelkim propozycjom zwiększającym uprawnienia władzy federalnej

FOT. KENT NISHIMURA/GETTY IMAGES

Klimatystyczny kartel

Jakub Wozinski

Przedstawiony przez grupę republikańskich kongresmenów akt oskarżenia pod adresem przemysłu klimatystycznego przeszedł w mediach bez większego echa pomimo bardzo precyzyjnego opisu nadużyć środowisk zarabiających na zielonej polityce

W amerykańskim systemie politycznym dwie najważniejsze partie mówią najczęściej jednym głosem. W obrębie Partii Republikańskiej funkcjonuje jednak od wielu lat pewne skromne grono polityków, którzy uzyskany mandat społeczny traktują poważnie i starają się w miarę możliwości uprawiać politykę w zgodzie z głoszonymi przez siebie ideami. Nie mają nigdy większego wpływu na zasadniczą linię polityczną swoich partii, lecz mimo wszystko są tolerowani ze względu na to, że przyciągają znaczną liczbę wyborców.

LIBERTARIANIN PRZECIW KLIMATYZMOWI

Jedną z takich postaci jest właśnie pochodzący ze stanu Kentucky Thomas Massie. Jego poglądy można scharakteryzować jako libertariańskie, gdyż zasiadając od 12 lat w Kongresie, konsekwentnie głosuje przeciwko wszelkim podwyżkom podatków, ograniczeniom wolności słowa czy też wszelkim propozycjom zwiększającym uprawnienia władzy federalnej. W obecnej kadencji zdążył już m.in. przedstawić projekty ustaw przewidujących m.in. likwidację Banku Rezerwy Federalnej czy też likwidację opodatkowania napiwków.

Massie znany jest od lat z tego, że występuje przeciwko zielonej polityce, uważając ją za żerowanie na pieniądzach podatnika. Nie pozwala się jednak oskarżać o brak ekologicznej świadomości, gdyż od lat mieszka w górskim domu niepodłączonym do sieci energetycznej, wodociągowej i kanalizacyjnej, którego jedynym źródłem prądu są zamontowane na dachu panele fotowoltaiczne. Jako absolwenta słynnego MIT trudno go również posądzić o brak odpowiedniego przygotowania teoretycznego do wypowiadania śmiałej krytyki tezy o antropogeniczności globalnego ocieplenia.

To właśnie Thomasowi Massiemu, a także skromnej grupce kilku innych republikanów zasiadających w Komisji Sprawiedliwości Izby Reprezentantów, zawdzięczamy to, że powstał raport odsłaniający słabo znane mechanizmy wyłudzania ogromnych środków pieniężnych na potrzeby zrównoważonego biznesu. Według autorów potężne grupy interesów skupione wokół wielkich firm inwestycyjnych oraz tzw. grup adwokackich stosowały nieuczciwą i ogromną presję na setkach firm, aby stosowały rozwiązania powiększające ich własne zyski – wszystko w imię ratowania planety.

ZRÓWNOWAŻONA ZMOWA

Komisja, której przewodniczy Massie, zajmuje się przede wszystkim badaniem występowania potencjalnych zmów oraz nieuczciwych praktyk przy tworzeniu regulacji. Przyjęta przez nią perspektywa wnosi bardzo dużo do dyskusji na temat zielonej transformacji, ponieważ jej zwolennicy bardzo często przedstawiają ją jako spontaniczne pragnienie świata biznesu. W świetle ujawnionych informacji znaczna część sektora prywatnego wcale nie biegnie ku zielonej przyszłości w podskokach, lecz raczej jest przymuszana do tego w wyniku zmowy.

Sednem aktu oskarżenia postawionego przez Komisję Sprawiedliwości Izby Reprezentantów jest teza o wywieraniu nielegalnej presji na prywatnych przedsiębiorcach głównie przy pomocy ESG, czyli społecznych, środowiskowych i korporacyjnych standardów umożliwiających klimatycznemu kartelowi dokonywanie daleko idącej ingerencji w działalność firm. W przeciwieństwie do oficjalnej polityki dążącej do zeroemisyjności przyjętej przez zdecydowaną większość państw na świecie praktyki związane z certyfikacją biznesu w imię zrównoważonego rozwoju nie są i nie były wymogami wynikającymi z istniejącego prawa. Ogromne parcie na wdrażanie standardów ESG od samego początku było co najwyżej instrumentem służącym nielegalnemu pomnażaniu zysków oraz nieuczciwej konkurencji.

eprasa.pl 920a274a11

Jako uczestników klimatycznej zmowy komisja wymienia precyzyjnie następujące grupy podmiotów: klimatyczne inicjatywy inwestorskie (m.in. Climate Action 100+ oraz Net Zero Asset Managers), fundusze emerytalne stanów zarządzanych przez demokratów i lewicowe rządy z całego świata, radykalne grupy zrzeszające aktywistów (m.in. Ceres), tzw. inwestorów aktywistycznych (m.in. Arjuna, LLC czy Aviva Investors America), specjalistów od polityki zaangażowania scenariuszy, duopol doradczy w zakresie ESG (ISS oraz Glass Lewis) i oczywiście tzw. wielką trójkę tzw. asset managerów (czyli BlackRock, State Street oraz Vanguard).

Teoretycznie mogłoby się wydawać, że wyróżnioną rolę w tym oskarżanym o nieuczciwe praktyki zbiorowisku odgrywały firmy inwestycyjne, takie jak BlackRock, kontrolujące łącznie aktywa o wartości ok. 27 bln dol. Sensacyjność ustaleń Komisji Sprawiedliwości Izby Reprezentantów polega jednak na tym, że w pewnym sensie „wielka trójka" była wręcz zmuszona do uczestnictwa w klimatystycznym kartelu przez sprawnie działającą większość. Firmę zarządzaną przez Larry'ego Finka trudno sobie nawet wyobrazić w roli ofiary czyichś machinacji, gdyż sama uchodzi najczęściej za szarą eminencję świata finansów i polityki, lecz dostarczone przez Thomasa Massiego argumenty dają naprawdę wiele do myślenia.

GLOBALNA WOJNA

Raport Komisji Sprawiedliwości już na samym wstępie zaznacza, że klimatystyczny kartel wypowiedział „globalną wojnę światową" wszystkim firmom korzystającym z paliw kopalnych. Swego rodzaju „globalną marynarką wojenną" na tej wojnie określana jest grupa Climate Action 100+, która została założona w 2017 r. Zrzeszając podmioty z całego świata, koordynuje ich działania, w szczególności w sektorze finansowym. Obecnie stanowi największą inicjatywę w zakresie zaangażowania akcjonariuszy na całym świecie, a zakres jej wpływów najlepiej oddaje to, że należące do niej podmioty zarządzają aż 68 bln dol.

Zdaniem autorów raportu działalność Climate Action 100+, a także podobnych im grup zrzeszających inwestorów, polegała w wielu wypadkach na swego rodzaju zastraszaniu przypominającym działalność mafijną. Wobec firm stawiających opór stosowano wiele skoordynowanych środków, jak choćby wpisywanie na czarne listy, wycofywanie rekomendacji czy też groźby odwołania ze stanowiska kierowane w stosunku do poszczególnych członków rad nadzorczych i zarządów. Członkowie klimatycznego kartelu potrafili zastraszyć nawet firmy o globalnym zasięgu.

Najważniejszym środkiem nacisku w rękach klimatystycznej mafii miała być groźba wycofania wielomiliardowych środków. Jako przykład podano działania największego na świecie funduszu emerytalnego GPIF z Japonii, który wycofał z BlackRock 50 mld dol. swoich środków, skłaniając tym samym giganta inwestycyjnego do większego posłuszeństwa względem Climate Action 100+. Decyzja BlackRock o przystąpieniu do klimatystycznej koalicji na początku 2020 r. mogła być więc podyktowana chęcią uniknięcia specyficznego runu na powierzone mu środki. W ostatecznym rachunku wszyscy członkowie Climate

REKLAMA

OJCZYZNA POD OPIEKĄ NIEBA

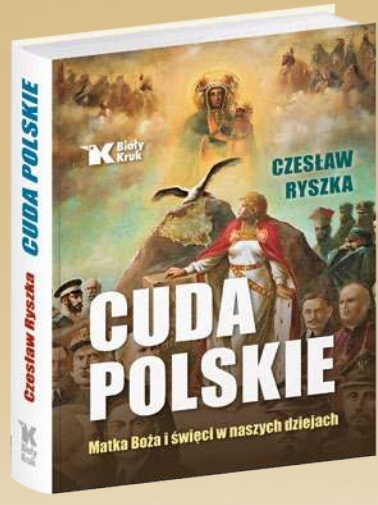

Znajdź ratunek u Maryi i polskich świętych

448 str.,
192 ilustracje
(w tym 78 fotografii Adama Bujaka)
format 16,5 x 23,5 cm
twarda oprawa

PREMIERA!

AKTUALNE JAK NIGDY!

Dowiedz się, jak zdradzano wtedy, by zrozumieć dzisiejszą zdradę i sprzeciwić się jej

440 str.,
136 ilustracji
format 16,5 x 23,5 cm
twarda oprawa

NOWOŚĆ!

Wejdź na stronę bialykruk.pl i zamów książki ze zniżką!

ZAMÓW: 12/254 56 02, 12/254 56 19, 783 250 300 lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl.
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl 920a274a11

Action 100+ czy też Glasgow Financial Alliance for Net Zero (GFANZ) dysponują większymi aktywami niż „wielka trójka" i działając wspólnie, byli w stanie wymóc na niej posłuszeństwo.

Gdy tylko „wielka trójka" aktywnie włączyła się w działalność klimatystycznego kartelu, świat biznesu na całym świecie ogarnęło prawdziwe szaleństwo. Przywódcy zmowy wyrażali zadowolenie, że dzięki BlackRock czy State Street uzyskali wreszcie wymarzoną dźwignię do podejmowania inicjatyw na naprawdę dużą skalę. Szczyt gorączki związanej z inwestowaniem zgodnie ze standardami ESG przypadł na lata 2022–2023. Ostatecznie „wielka trójka" zdecydowała się jednak wycofać z Climate Action 100+ w lutym br., gdy tylko Komisja Sprawiedliwości ogłosiła początek swojego śledztwa w sprawie. Obawiając się sądowych pozwów, asset managerowie zaczęli przekonywać, że podejmując decyzje inwestycyjne, muszą przede wszystkim kierować się względami ściśle ekonomicznymi.

KLIMATYSTYCZNE WATAHY

Według ustaleń komisji ważnym organem klimatystycznego kartelu była także organizacja non profit o nazwie Ceres (Koalicja na rzecz Zrównoważonych Gospodarek). Stworzona przez nią sieć inwestorów grupuje podmioty zarządzające łącznie aktywami o wartości 44 bln dol. Oficjalną misją Ceres jest uzależnienie finansowania biznesu od dążenia do zeroemisyjności. Tłumacząc ten postulat na nieco bardziej zrozumiały język, istotą działalności tej organizacji jest działanie na rzecz finansowego wykluczenia wszystkich, którzy nie podążają za jedyną słuszną polityką klimatyczną.

Równie agresywna w swoich praktykach zdaniem autorów raportu jest grupa inwestycyjna Arjuna Capital, skupiona na zrównoważonych i odpowiedzialnych społecznie inwestycjach. Jej celem jest wręcz zniszczenie firm korzystających z paliw kopalnych. Ujawniona wewnętrzna strategia Arjuny polega wprost na urabianiu spółek na zieloną modłę przy pomocy wszelkich dostępnych narzędzi. W 2021 r. zgłosiła nawet inicjatywę, aby przekształcić naftowego giganta Chevron w „korporację publicznego pożytku", co zwalniałoby menedżerów z obowiązku dbania o wyniki finansowe w imię odpowiedzialności za planetę. Szczęśliwie walne zebranie akcjonariuszy zdecydowanie odrzuciło tę propozycję, jednakże wiele innych firm znajdujących się pod presją klimatystycznego lobby musiało się ugiąć.

W raporcie opracowanym przez amerykańskich polityków znaleźć można także opis wielu innych grup, inicjatyw i organizacji. Każdorazowo schemat ich działania jest taki sam: łącząc się w swego rodzaju watahy, klimatystyczna zgraja wymusza na coraz większej liczbie podmiotów podporządkowanie oraz wysyła jasny sygnał, że ewentualna próba wyrwania się napotka zdecydowaną reakcję. Nagrodą za przynależność do zmowy są oczywiście wielkie zyski pieniężne, ponieważ jak każdy kartel zmowa klimatystyczna przyczynia się do sztucznego zawyżania cen, ograniczania konkurencji i gwarancji zbytu.

Podsumowując ustalenia raportu, członkowie komisji zwrócili szczególną uwagę na to, że funkcjonowanie kartelu stanowi zamach na amerykański styl życia. Prowadzona przez radykałów wojna z przedsiębiorstwami umożliwiającymi obywatelom przemieszczanie się czy też produkującymi żywność odbija się nie tylko na cenach, lecz także na dostępności dóbr oraz usług. Ograniczając wykorzystanie paliw kopalnych, członkowie kartelu przyczyniają się do spadku poziomu życia całego społeczeństwa oraz utraty kolejnych wolności.

BEZKARNY KARTEL

Ustalenia republikańskich senatorów są również o tyle cenne, że zadają kłam teoriom propagowanym przez zwolenników polityki klimatycznej, jakoby lobby firm zarabiających na paliwach kopalnych rozdawało wciąż karty w wielkim biznesie i osłabiało postępy całej polityki klimatycznej. Sektor żyjący z paliw kopalnych zwyczajnie nie ma do swej dyspozycji tak potężnych i rozbudowanych grup nacisku jak strona przeciwna. W świecie finansów nie ma choćby jednej grupy przeciwdziałającej klimatystycznemu radykalizmowi na wzór Climate Action 100+, nie wspominając już o tym, że obrońcy paliw kopalnych nie mają do swej dyspozycji żadnego schematu standardów korporacyjnych naśladującego ESG.

Wielki niepokój budzą niestety konkluzje opisywanego raportu, gdyż zdaniem jego autorów działalność klimatystycznego kartelu tak naprawdę dopiero się rozkręca. Przestępcza sieć, która opanowała znaczną część amerykańskiej i światowej gospodarki, pozostaje całkowicie bezkarna, ponieważ władze całkowicie wstrzymały się od uruchomienia postępowań antykartelowych. A przecież przedstawiciele klimatystycznej zmowy w biały dzień chwalą się stosowanymi przez siebie metodami oraz upragnionymi celami: chcą zmniejszyć produkcję, podwyższyć ceny, ograniczyć dostępność dóbr, zwiększyć zyski inwestorów, a jednocześnie na każdym kroku podkreślają, jak ważne jest wspólne i skoordynowane działanie. W świecie zachodnim od niemal kilkuset lat tego rodzaju praktyki z miejsca narażały ich uczestników na ogromne kłopoty prawne, lecz nieoczekiwanie w XXI w. niemal nikt nie chce widzieć w nich klasycznej zmowy.

W czasie pandemii jednym z niewielu miejsc swobodnej dyskusji na temat koronawirusa była senacka komisja pod przewodnictwem republikanina Rona Johnsona. Gościła ona lekarzy, którzy kwestionowali potrzebę obowiązkowych szczepień, noszenia maseczek czy też wprowadzania lockdownów. Owa niewielka enklawa wolności w Waszyngtonie miała znaczny wpływ na przełamanie medialno-propagandowego monopolu sił dążących do zniewolenia ludzkości. Można więc po cichu liczyć na to, że komisja Izby Reprezentantów, której przewodniczy Thomas Massie, odegra analogiczną rolę w dziele walki z klimatystycznym wzmożeniem. Powstała dokumentacja to wielki materiał dowodowy w ewentualnym postępowaniu sądowym, lecz trudno oczekiwać, aby amerykański establishment dopuścił do pociągnięcia kogoś do odpowiedzialności karnej. Sam jednak fakt, że skromne grono polityków zaczęło nazywać rzeczy po imieniu, wzywać w charakterze świadków przedstawicieli kartelu oraz upubliczniać niewygodne dane, może zrobić naprawdę sporą różnicę. W Stanach Zjednoczonych, tak jak na całym świecie, zielona polityka zaczyna coraz agresywniej naruszać stan portfeli wszystkich obywateli. Do coraz większej liczby osób zaczyna docierać to, że stały się ofiarami oszustwa na wielką skalę. Dobrze się więc stało, że wreszcie ktoś ponazywał sprawy po imieniu i ujawnił mechanizmy manipulacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 920a274a11

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Po co taniej, jeśli można drożej?

Jak wiadomo, po co cokolwiek kupować taniej, jeśli to samo można kupić drożej? Albo też – po co pieniądze pożyczać taniej, jeśli tę samą ich sumę – identyczną – można pożyczyć drożej? A nawet – jeszcze lepiej – dużo drożej?

Ktoś zapyta, jakiż to ciężki frajer tak się zachowuje, że kupuje drogo, jeśli może taniej, i pożycza drogo, jeśli może taniej. No cóż, to… szef polskiego rządu, a raczej szefowie polskich rządów – poprzedniego i obecnego.

Ale oczywiście, spokojna głowa, ani premier Morawiecki nie kupował niczego drożej za swoje, ani sam nie pożyczał drożej dla siebie, ani premier Tusk nie kupuje niczego drożej za swoje, ani sam nie pożycza drożej dla siebie. Nic z tych rzeczy; oni drożej kupują za nasze i drożej pożyczają na nasze konto. Nasze – polskich podatników, bez skrupułów oskubywanych przez rządzących polityków.

Na skalę wręcz przemysłową to droższe pożyczanie na rachunek polskich podatników, czyli po prostu okradanie ich, zainicjował rząd PiS, korzystając z okazji, którą dał mu COVID-19. To wtedy stworzono w Polsce całą chmarę pozabudżetowych funduszy (i oczywiście do dziś ich nie zamknięto), na czele z osławionym Funduszem Przeciwdziałania COVID-19. Funduszy afiliowanych głównie przy Banku Gospodarstwa Krajowego (BGK) i Polskim Funduszu Rozwoju (PFR), które dziesiątkami, a potem setkami miliardów pożyczały (i wydawały) pieniądze poza legalnym budżetem państwa, a więc także poza kontrolą Sejmu i Senatu. Dość powiedzieć, że zadłużenie tych pozabudżetowych funduszy wzrosło z 45 mld zł jeszcze w 2017 r. do aż niebotycznych 363 mld zł w roku 2023.

I, co najważniejsze, taki zaciągany poza budżetem państwa dług jest zawsze zaciągany na gorszych warunkach, czyli spłacanie go kosztuje spłacającego – a więc biednych polskich podatników – drożej, niż kosztowałoby ich spłacanie takiego samego długu zaciągniętego przez budżet państwa. W tym przypadku – jak ocenił na łamach „Rzeczpospolitej" Sławomir Dudek, prezes Instytutu Finansów Publicznych – „»równoległy budżet« w funduszach przy BGK i PFR to utopione dodatkowe koszty obsługi długu na ponad 14,5 mld zł". Każdy Polak, niezależnie od wieku, zapłaci za tę rozrzutność premierów średnio niemal 400 zł.

A jeśli szef rządu drożej pożyczał i nadal pożycza, bo rzeczone fundusze nie zostały do tej pory zlikwidowane, to także drożej kupował i kupuje wszystko, co za te pieniądze pozyskuje, bo do ceny każdego zakupu za pożyczone w ten sposób na nasze konto pieniądze trzeba doliczyć odsetki od kredytu za nie. Odpowiednio wyższe odsetki, niż gdyby to samo kupowano za pieniądze na kredyt zaciągnięty przez budżet państwa. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wstyd i hańba

Jakież to „wybitne zasługi w rozwijaniu polsko-ukraińskiej współpracy" ma odchodzący ambasador Ukrainy w Polsce, pan Wasyl Zwarycz? Szukam, myślę, zastanawiam się – i nie widzę. Pamiętam natomiast kilka okazji, gdy przedstawiciel Kijowa stał się obiektem powszechnej krytyki w naszym kraju. Na przykład wtedy, gdy sugerował, że protestujący na granicy transportowcy, a później rolnicy, pomagają faktycznie Putinowi. A jeszcze bardziej, gdy w odpowiedzi na stwierdzenie Łukasza Jasiny, że Kijów za Wołyń powinien przeprosić, pan ambasador buńczucznie odpisał, iż nikt nie będzie pouczać Ukrainy i ukraińskiego prezydenta, jak mają podchodzić do przeszłości.

Ukraińska dyplomacja w swojej formie jest równie bezczelna i momentami chamska co rosyjska

Owe rzekome „wybitne zasługi" mógłby nam nakreślić pan prezydent Andrzej Duda, bo to on zdecydował o uhonorowaniu pana Zwarycza Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi Rzeczypospolitej. Pan prezydent ograniczył się jednak do opublikowania zdjęcia, na którym niezwykle uszczęśliwiony pozuje obok odznaczonego i jego małżonki. Większość komentarzy pod wpisem Kancelarii Prezydenta nie nadaje się do zacytowania. Do zacytowania nie nadaje się także mój komentarz na portalu X do tego wydarzenia.

Żeby było jasne: pan Zwarycz robił po prostu to, co robi każda dyplomacja – dbał o interes swojego kraju. Często bezczelnie, bo ukraińska dyplomacja w swojej formie jest równie bezczelna i momentami chamska co rosyjska – to ta sama szkoła. Problemem nie jest zatem to, że ambasador Ukrainy dba o interes Ukrainy, ale to, że polski prezydent także przede wszystkim dba o interes Ukrainy.

Andrzej Duda dał temu wyraz w skandalicznym wystąpieniu z 30 lipca w Muzeum Powstania Warszawskiego, gdzie stwierdził, że ucichły głosy krytyki wobec powstania – co jest jawnym kłamstwem – a ucichły, bo krytycy zadumali się nad losem Mariupola. Pomijając, jak absurdalnie karkołomne jest to rozumowanie – porównywanie przez polskiego prezydenta unikatowego polskiego doświadczenia historycznego z doświadczeniem kompletnie innej skali innego państwa jest zwyczajnie zdradą polskiego interesu w sferze tzw. miękkiej polityki.

Wstyd i hańba. ©℗

eprasa.pl 920a274a11

Lokalny pociąg w Mumbaju w Indiach w godzinach szczytu FOT. ARCHIWUM AUTORA

Bezpieczne wakacje

Jacek Pałkiewicz

Każda podróż jest okazją do ekscytacji i odkrywania nowych regionów świata i siebie samego. Aby te chwile przeżyć w całkowitym spokoju, dobrze jest zapoznać się z poniższym dekalogiem bezpieczeństwa

Tak naprawdę, zachowując czujność, nie lekceważąc zagrożenia i stosując działania profilaktyczne, można naprawdę bezpiecznie podróżować wszędzie. Zdarza się często, że będąc już na pokładzie samolotu, ogarnia nas niepokój, czy nie zapomnieliśmy w domu zamknąć dopływu gazu, elektryczności, lub wody. Czy włączyliśmy system alarmowy albo czy na pewno zamknęliśmy na klucz drzwi wejściowe? To oznacza, że bezpieczeństwo podróży zaczyna się jeszcze we własnym domu.

Człowiek z reguły wpada w kłopoty, bo nie zachował racjonalnej ostrożności i pogwałcił podstawowe normy bezpieczeństwa. Nie dostrzegł w porę znaków ostrzegawczych, zapomniał o należytej powściągliwości i zasadzie ograniczonego zaufania. Zamożność i egoizm dały nam zbyt silne poczucie własnego bezpieczeństwa, które zawodzi przy pierwszym napotkanym zagrożeniu. Wtedy łatwo dostrzec, że zdobycze cywilizacji przytępiły naturalne instynkty i często nie jesteśmy w stanie ułowić potencjalnych pułapek i w konsekwencji stajemy się bezbronni nawet w banalnej sytuacji. Gubi nas też czynnik psychologiczny, który Amerykanie nazywają „zasadą zaprzeczenia”. Człowiek wierzy, że nieszczęście przydarza się komuś obok, a nie jemu. Nieraz rozczula się nawet nad losem ofiar wypadków, ale nie dopuszcza myśli, że to samo mogłoby spotkać jego samego. A życie pokazuje, że tak się zdarza.

NOWA RZECZYWISTOŚĆ

Świat w nowym millennium stał się bardziej niespokojny i niebezpieczny niż pół wieku temu. Media przynoszą codziennie informacje o nowych konfliktach, przewrotach, wybuchach wulkanów, zatonięciach promów pasażerskich czy całej gamie innych zagrożeń, które czyhają na podróżnika. Oprócz tradycyjnych aktów przemocy, dokonywanych z pobudek politycznych i kryminalnych, na pierwszy plan wysunęły się konflikty na tle etnicznym.

Wszystko zmieniło się po 11 września, który był końcem iluzji, że po zimnej wojnie nadszedł okres pokoju. Wymiar zagrożeń jest tak duży, że państwa reprezentujące demokratyczne normy nie są w stanie stawić czoła przeciwnikowi, który reaguje na konflikty społeczne fanatyzmem, siłą i zbrojnym gwałtem. Sytuację pogarsza tolerancja europejskich liderów, ich hipokryzja i posunięta do granic absurdu poprawność polityczna. W związku z nasileniem przemocy państwa koalicji zmuszone zostały do podjęcia drakońskich środków w walce

eprasa.pl 920a274a11

z niewidzialnym przeciwnikiem, działającym z zaskoczenia. Musiały posunąć się do bezprecedensowego ograniczenia swobody obywateli i nieprzyjemnego zaostrzenia środków bezpieczeństwa.

A pomyśleć, że do lat 60. ubiegłego wieku można było np. pojechać do Kabulu, zmieniając po drodze samochód na motocykl czy autobus. Droga na wschód wypełniona pięknymi krajobrazami, dziełami sztuki i stanowiskami archeologicznymi zapewniała mniejsze czy większe przygody, ale nikt nie ryzykował porwania, gwałtu czy śmierci.

Opiewany przez Marca Polo legendarny jedwabny szlak jest nie do przebycia, bo wszystko może się tam przydarzyć. Granice są zamknięte, a żołnierze strzelają bez ostrzeżenia. Pełen ryzyka jest wyjazd do Kaszmiru, jednego z piękniejszych regionów Indii, gdzie nieustannie dochodzi do starć granicznych między Pakistańczykami a Hindusami. To już nie to, co tysiąc lat temu, kiedy pewien kronikarz pisał o tej drodze: „Może tam jechać na ośle naga kobieta z sakwą pełną złota i nikt jej nie będzie molestować". Nie wiem, czy jest to legenda czy prawda. Ale być może jest w tym tylko nieco przesady.

W większości przypadków podróżowanie po świecie nie nastręcza większych zagrożeń niż we własnym kraju, bo realne niebezpieczeństwa związane są zwykle z chorobami, kradzieżami, różnymi wypadkami, a w dużo mniejszym stopniu z terroryzmem czy konfliktami w regionie.

Mówi się, że nieoficjalną stolicą przemocy jest największe miasto Nigerii, Lagos. Napady z nożem czy bronią palną są tam tak pospolite, że nikt się im nie dziwi. Oczywiście trudno tam zobaczyć białych przybyszy. Bardzo podobnie jest w opanowanym przez grasujące bandy Johannesburgu. Niewiele im ustępują Buenos Aires, Lima czy Bogota.

Konflikty zbrojne toczyły się oczywiście zawsze, ale nigdy tak potężnie jak dzisiaj. Młodym ludziom, którzy podróżowali pół wieku temu do Indii, Timbuktu, Patagonii czy Pakistanu, wydawało się, że otwiera się przed nimi nowa era. W rzeczywistości się zamykała.

PRZETRWANIE W MIEJSKIEJ DŻUNGLI

Aby nie zepsuć sobie wakacji, trzeba rozważyć, czy jest sens wyjeżdżać do kraju, gdzie szerzą się niepokoje społeczne, występują ogniska zapalne, konflikty na tle religijnym czy etnicznym, w których giną niewinni ludzie.

Można sporządzić niechlubną czarną listę krajów off limits nawet dla turysty bardzo odpowiedzialnego i roztropnego. Wśród takich widnieją Somalia, Irak, Afganistan, Pakistan, Sudan, Demokratyczna Republika Konga, Palestyna, Angola i Zimbabwe. Przestępczość, terroryzm, porwania, samobójcze zamachy bombowe, niepokoje społeczne, chaos, waśnie na tle rasowym, zapaść gospodarcza są tam wciąż obecne. W niektórych krajach zmniejszają się, w innych zwiększają, odzwierciedlając zmieniającą się sytuację.

Nie ma wątpliwości, że miejska dżungla jest bardziej niebezpieczna od amazońskiej. Nieczułość na krzywdę ludzką, zobojętnienie, pobłażliwość dla przemocy i aspołecznych zachowań sprawiają, że jesteśmy bardziej narażeni na różne nieprzyjemności. Napady, kradzieże, gwałty są niebezpieczne, bo zwykle nas zaskoczeniem zaskakują: zdeterminowani i bezwzględni przestępcy nie zawsze mają podejrzaną fizjonomię i niczym nie wyróżniają się w tłumie, gdzie szukają ofiar czujących się niepewnie i bezbronnie.

Niestety, musimy liczyć głównie na siebie samych, przestrzegając podstawowych norm ostrożności i czujności. Paradoksalnie w dzisiejszym świecie zasady dobrego wychowania często zwiększają zagrożenie. Uprzejmością nie wygra się z agresywnym przeciwnikiem, dlatego warto nieraz szorstko odmówić czy ostro zareagować. Intruz z reguły pozostawi w spokoju osobę, która nie sprzedaje łatwo swojej skóry. Rzucają się w oczy jej czujne spojrzenie, wyprostowana sylwetka, prężny chód, pewny siebie wyraz twarzy, wyostrzona obserwacja, patrzenie prosto w oczy, chłodny, niski i stanowczy głos.

W czasie podróży najlepszą taktyką jest wtapianie się w tłum, gdyż osoba z plecakiem, aparatem fotograficznym czy przeglądająca mapę wzbudza większe zainteresowanie niż ktoś niewyróżniający się ani zachowaniem, ani ubiorem. Szorty i T-shirt to automatyczna wizytówka turysty. Można trzymać pod pachą lokalną gazetę, palić miejscowe papierosy, nie nosić przy sobie biżuterii, oznak zamożności, większej ilości gotówki. To wszystko należy zdeponować w hotelu.

Unikajmy pieszego poruszania się w nocy. Jeśli to konieczne, to chodźmy szybko i zdecydowanie oraz sprawdzajmy, czy z tyłu za nami nie idzie wciąż ta sama osoba. Lepiej przemieszczać się znajomymi ulicami, bardziej oświetlonymi i uczęszczanymi, unikać przejść na skróty, pustych ulic, przejść podziemnych. Gdy wydaje się, że ktoś nas śledzi, warto się upewnić, że tak jest w rzeczywistości: przejść na drugą stronę ulicy, zmienić kierunek, wstąpić do sklepu. Jeśli osobnik o podejrzanych zamiarach wciąż jest w pobliżu, to szybko skierować się w stronę jakiegoś domu lub miejsca oświetlonego. W ostateczności głośno krzyczeć, aby zwrócić na siebie uwagę. Najlepiej wołać „pożar!", a nie „na pomoc!". Ludzie nie chcą się mieszać do problemów innych osób i często udają, że nie widzą i nie słyszą wołania o pomoc, natomiast hasło „pożar!" zelektryzuje każdego. Otwierają się wtedy okna, ktoś pojawia się w drzwiach, ktoś inny dzwoni po straż pożarną. I to wystarczy, aby uchronić się przed agresją.

FURIA I ZDROWY ROZSĄDEK

Akt agresji zawsze jest czymś szokującym. Napastnik działający z zaskoczenia nie liczy się z możliwością naszego oporu. Dlatego reagujmy z furią, wściekłością, podnieśmy piekielny krzyk. To rozproszy na chwilę intruza i da nam szansę na ucieczkę. Decydującą rolę w takich chwilach odgrywać będą nabyta wcześniej wiedza, znajomość technik właściwych dla danej sytuacji, zdrowy rozsądek i umiejętność racjonalnego myślenia. Istnieje duża różnica w zachowaniu się ludzi doświadczonych i takich, którzy doświadczenia nie mają. Amerykańskie Ministerstwo Obrony uważa, że główną przyczyną śmierci 2,7 tys. jeńców wojennych w Korei była nieznajomość metod zachowania się w warunkach ekstremalnych. Osoba, która ma przygotowanie survivalowe, łatwiej oceni niebezpieczeństwo, a także swoje możliwości, co da jej szanse na bardziej racjonalne i efektywne działanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest reporterem i eksploratorem, twórcą survivalu w Europie, odkrywcą źródła Amazonki. Przepłynął samotnie Atlantyk szalupą ratunkową, uczył kosmonautów i elitarne jednostki specjalne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach. Napisał kilkadziesiąt książek.

eprasa.pl 920a274a11

MINI COUNTRYMAN SE ALL4

FOT. JAP

Najnowsze w pełni elektryczne MINI nie jest wcale takie mini. Przeciwnie: to największy Countryman w historii tej kultowej marki. Konstruktorzy wydłużyli Countrymana do 444,5 cm, poszerzyli do 184,3 cm i podwyższyli do 163,5 cm. Dzięki tym zmianom najnowszy model marki znanej z produkcji modnych i szybkich miejskich aut urósł już na tyle, by stać się pełnoprawnym rodzinnym crossoverem.

Na szczęście mimo słusznych rozmiarów nadal umożliwia dynamiczną jazdę. Countryman SE ALL4 z napędem na wszystkie cztery łapy i mocą 313 KM od zera do 100 km/h rozpędza się w zaledwie 5,6 s. Bardzo stabilnie zachowuje się też na zakrętach.

Według producenta teoretyczny zasięg wynosi w cyklu mieszanym (WLTP) 432 km (co oznacza średnie zużycie energii na poziomie 16,8 kWh/100 km). W naszym letnim teście aż tak dobrego wyniku nie udało się powtórzyć, ale na jednym ładowaniu przy spokojnej jeździe udało się przejechać 403 km. Ważną zaletą tego modelu jest również szybkość ładowania prądem stałym. Według producenta na szybkich ładowarkach poziom energii od 10 proc. do 80 proc. można uzupełnić w ciągu pół godziny. To prawda. W 29 minut doszliśmy do 80 proc., a w niecałe 40 minut do 86 proc. (co pozwala na przejechanie ok. 330 km). Po kolejnych 10 minutach przy ładowarce bateria była naładowana w 95 proc. (a zasięg wzrósł do ponad 360 km – choć ten mocno zależy od stylu jazdy).

Dobre wrażenie robi ilość przestrzeni w kabinie. Miejsca jest dużo zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie. Design jest minimalistyczny, ale nie brakuje tu stylowych elementów wykończenia. Starannie zaprojektowano również wszelkie pokrętła, przełączniki etc. Najbardziej w oczy rzuca się okrągły wyświetlacz OLED o średnicy aż 24 cm. Jest ładny i nowoczesny, ale konstruktorzy chyba zapomnieli, że kierowca będzie z niego korzystał nie tylko na postoju, lecz także podczas jazdy (tymczasem dostanie się do niektórych funkcji wymaga zbyt wiele kliknięć oraz czasu).

Pojemność bagażnika wynosi 460 l (czyli spokojnie można wyruszyć nie tylko na weekend), a po złożeniu tylnej kanapy pojemność kufra można zwiększyć do 1450 l. MINI Countryman SE ALL4 w standardzie ma wiele systemów wspomagających kierowcę oraz zwiększających bezpieczeństwo. Elektroniczni asystenci monitorują więc martwe pola lusterek, ostrzegają przed niezamierzonym zjechaniem z pasa ruchu, zapobiegają kolizjom z tyłu, a także ostrzegają przed kolizją czołową (a w razie potrzeby automatycznie uruchomiają hamulce).

W pełni elektryczny MINI Countryman E z napędem wyłącznie na przednią oś w najtańszej wersji wyposażenia kosztuje 189,5 tys. zł. Countryman SE ALL4 – z napędem na obie osie – w podstawowej wersji wyposażenia jest wyceniony na co najmniej 221,1 tys. zł. To zaś oznacza, że łapie się jeszcze na rządową dotację z programu „Mój elektryk" (która może wynieść nawet 27 tys. zł). MINI Countryman SE ALL4 w najwyższej specyfikacji John Cooper Works to z kolei wydatek minimum 246,1 tys. zł. ©℗

TELEWIZOR SAMSUNG QE65QN800D

Rewelacyjny, ostry i pełen szczegółów obraz o rozdzielczości 7680 x 4320, świetna czerń, wysoki kontrast, minimalistyczne wzornictwo i nowe algorytmy sztucznej inteligencji, które sprawiają, że kupno telewizora 8K może mieć wreszcie jakiś sens – to największe zalety najnowszego modelu telewizora południowokoreańskiej marki Samsung z serii Excellence Line.

Wzornictwo samego telewizora jest nowoczesne, a samo urządzenie jest już dość smukłe (choć OLED-y są wciąż istotnie smuklejsze). Aranżację wnętrza ułatwia moduł One Connect Pro, dzięki któremu do telewizora biegnie tylko niemal niewidoczny przewód, a grube kable – od zasilającego poprzez HDMI do sieciowych – podłącza się do skrzynki, którą można zamknąć w szafce pod telewizorem.

System Tizen działa szybko, jest w nim większość potrzebnych aplikacji (ponad pół tysiąca), a nawigacja stała się jeszcze bardziej intuicyjna niż we wcześniejszych modelach. Z kolei funkcja Ambient umożliwia wyświetlanie na ekranie najbardziej znanych obrazów ze światowych muzeów i galerii sztuki (najpierw trzeba je kupić).

Istotną zaletą tegorocznego modelu są ulepszone algorytmy sztucznej inteligencji, które mają być receptą na to, że treści 8K wciąż jest jak na lekarstwo. Efekt widać zwłaszcza w transmisjach sportowych oraz w upscalingu znanych produkcji 4K. Nowy model, zaopatrzony w cztery wejścia HDMI 2.1, docenią również miłośnicy gier. Tryb gier sprawia, że nawet wymagające tytuły można odpalić bez żadnych problemów ze smużeniem czy z płynnością.

Po stronie plusów zapisać też można system głośników o mocy 70 W, z obsługą Dolby Atmos. Potrafią zabrzmieć głośno i czysto (dialogi słychać bardzo wyraźnie), ale np. basy mogłyby być lepsze. Osobom wydającym duże pieniądze na telewizor 8K radziłbym więc dokupić osobny porządny zestaw audio.

Wady? Próżno szukać tu wsparcia dla Dolby Vision (ale jest HDR10+). Dla niektórych poważnym minusem może być też to, że przez brak porozumienia między firmami Samsung oraz Canal+ aplikacja Canal+ nie jest dostępna w najnowszych telewizorach południowokoreańskiego producenta.

Cena: 11 399 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 920a274a11

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Tulczyn – stolica targowiczan

JACEK KOMUDA

Konfederacja wrogów Konstytucji 3 maja, przygotowana w Moskwie, a ogłoszona w przygranicznej Targowicy, miała przez jakiś czas nieoficjalną siedzibę w Tulczynie na Ukrainie. Tu znajdowała się rezydencja jednego z głównych jej architektów – Stanisława Szczęsnego Potockiego. Był to jeden najpiękniejszych pałaców na Ukrainie, wystawiony w 1782 r. Ogromny – długość frontu wynosiła ok. 68 m, mieścił zaś prawie 100 sal i pokojów. Na skrzydłach wzniesiono dwie wielkie oficyny nadające całości monumentalny wygląd. W 1787 r. zatrzymał się tutaj król Staś Poniatowski, pięć lat później rozlokowali się targowiczanie, tworząc swoisty rząd sprowadzony do Polski przez „bratnią" armię rosyjską.

RYS. QBA

Tulczyn istniał jednak na długo przed Potockim, miał barwną i krwawą historię. W późnym średniowieczu, zwany Nesterwarem, był własnością królewską. W 1609 r. król Zygmunt III Waza nadał go Walentemu Aleksandrowi Kalinowskiemu, staroście bracławskiemu. Było to wówczas pustkowie, pierwsze wzmianki o mieście pochodzą zaś z 1623 r., kiedy w pobliżu rozbito oddziały lisowczyków. Miasteczko przeszło później do rąk Adama Kalinowskiego, który ufundował drewniany kościół i klasztor. Potem Tulczyn dostał się w ręce Marcina Kalinowskiego, nieudolnego hetmana polnego koronnego, który zginął w 1652 r. pod Batohem.

W czasie powstania Chmielnickiego miasteczko zostało oblężone przez kozaków Maksyma Krzywonosa, gdyż schroniło się tutaj 600 okolicznej szlachty, w tym książę Janusz Czetwertyński, właściciel pobliskiego Niemirowa, i ponad 2 tys. Żydów. Krzywonos zażądał najpierw oddania majątku starozakonnych, wreszcie wydania ich samych, obiecując w zamian poniechanie oblężenia. Książę zgodził się i tym samym poważnie osłabił siły obrońców. Kiedy bowiem kozacy wymordowali zmuszonych do wyjścia z miasta Żydów, ataman natychmiast złamał słowo i uderzył na Tulczyn ponownie, tym razem zdobywając zamek i wycinając szlachtę. Ponoć księciu uciął głowę jego własny młynarz. W 1654 r. miasteczko odbiły wojska koronne, jednak późniejsze wojny sprawiły, że leżało w ruinie.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pomyślniejsze czasy nadeszły dopiero w połowie XVIII w., kiedy właścicielem Tulczyna został Franciszek Salezy Potocki, ojciec Szczęsnego. Ten zaś, choć przyczynił się do upadku Rzeczypospolitej, o swoje włości dbał dobrze. Ograniczył pańszczyznę, zamieniając ją częściowo na czynsz, usunął z arendy Żydów, powołał służbę leśną, zakładał ogrody i sady, sprowadził nowe szczepy drzew owocowych, gatunki bydła i koni.

W czerwcu 1792 r., po wkroczeniu Moskwy, odbył się tutaj popis zdrajców zwołanych przez Szczęsnego Potockiego w celu zademonstrowania carskim generałom rzekomego poparcia szlachty dla konfederacji targowickiej. Wyszła z tego farsa. Zgromadzili się tutaj m.in.: Franciszek Ksawery Branicki, chorąży czerwonogrodzki Antoni Złotnicki i bracławski Adam Moszczeński, do których dołączyli zabijaka Piotr Borzęcki i kilku innych. W Jaryszewie zarekwirowali drukarnię, zaczęli więc wydawać uniwersały i druki. Tworzyli fikcyjne oddziały, których stan osobowy był prawie zerowy, jednak nazywali je szumnie pułkami, brygadami i dywizjami. Wojsko to, liczące w szczytowym okresie ok. pół tysiąca ludzi – głównie dzierżawców i klientów Potockiego – zajmowało się jednak, jak celnie pisze Piotr Derdej, „rabunkiem majątków patriotycznie nastawionej szlachty, burdami po karczmach i zajazdach, paleniem, czego popadnie, wybieraniem podatków, rekwizycjami, gwałtami i temu podobnymi »chlubnymi« czynami żołnierskimi. Nic dziwnego, że Rosjanie nie dopuszczali tej hałastry na pierwszą linię".

Potocki próbował później działać jako targowiczanin, jednak znienawidzony przez Polaków obraził się na kraj niczym współczesny celebryta i wyjechał. Powrócił po ostatnim rozbiorze w 1795 r., zastając w Tulczynie mieszkającego w pałacu moskiewskiego gen. Suworowa. Chcąc nie chcąc, musiał zatem usunąć się do Humania. Po śmierci Szczęsnego jego ostatnia żona, polatucha Zofia Potocka, wyprocesowała jego ogromne dobra na Ukrainie. Jednak w 1820 r. wyrzucił ją z Tulczyna jej własny syn Mieczysław Potocki, w okolicznościach podobnych trochę do ostatniego zajazdu na Litwie. ©℗

eprasa.pl 920a274a11

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Nad jeziorem

Każdego lata staramy się spędzić trochę czasu nad jeziorem. Ten czas jest dla nas cenny, bo spędzamy go razem z córkami, mamy wtedy takie babskie wyjazdy. Jeziora są cudowne, mają swój niepowtarzalny i wyjątkowy klimat. W tym roku wybrałyśmy się na obóz konny niedaleko Nidzicy. Warunki proste, wręcz spartańskie, pod namiotem, muchy, komary i kleszcze, nieopodal stadnina.

Na biwaku je się to, co akurat jest pod ręką – a to ryby smażone z jeziora, a to makaron z jagodami i ze śmietaną czy placki ziemniaczane. W tym roku byłyśmy tam pod koniec lipca i miałyśmy niesamowite szczęście, bo taki wysyp grzybów nie zdarza się często. Zatrzęsienie, i to samych prawdziwków! Zbierałyśmy, kroiłyśmy i suszyłyśmy na słońcu, robiąc zapasy na naszą ulubioną zupę grzybową z suszonych borowików. Przy okazji oczywiście zajadałyśmy się grzybami ze śmietaną albo jajecznicą na maśle z grzybami, do tego grzanki z czosnkiem. Na obiad były placki ziemniaczane – z tartych własnoręcznie ziemniaków – z sosem grzybowym.

Placki ziemniaczane z sosem grzybowym ze śmietaną

• ½ kg obranych ziemniaków • 2 łyżki mąki pszennej • 2 łyżki mąki ziemniaczanej • 2 duże jajka • cebula • sól, pieprz • olej do smażenia

Sos grzybowy:

• łyżka masła • ½ kg grzybów pokrojonych • 1 duża cebula • 1 ząbek czosnku • sól, pieprz, sos sojowy – ½ łyżki • śmietana gęsta kwaśna 30-procentowa, natka pietruszki

Zaczynamy od zrobienia sosu grzybowego. Na patelni rozgrzewamy masło, podsmażamy pokrojoną w piórka cebulę, następnie dodajemy grzyby, czosnek przeciśnięty przez praskę i dusimy, możemy podlać wodą, czekamy ok. 20 min, aż grzyby zmiękną. Na koniec dodajemy przyprawy, śmietanę i zieloną pietruszkę, dusimy, aż sos będzie miał gęstą konsystencję.

Ziemniaki i cebulę ścieramy na tarce na małych oczkach. Dodajemy mąkę i mąkę ziemniaczaną, jajka i przyprawy; dokładnie mieszamy. Na patelni rozgrzewamy olej i smażymy placki z każdej strony na złoty kolor. Odkładamy na papierowy ręcznik. Podajemy z sosem grzybowym. Posypujemy natką pietruszki. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Co masz w koszyku

Stojąc w kolejce do kasy w supermarkecie, nie mogę się oprzeć obserwacji cudzych koszyków i – co gorsza – wyciąganiu z tego wniosków. Ostrożnie, wnioski mogą być pochopne, ale jednak przeciętny, banalny koszyk zakupów niesie informację o tym, co w danym domu się jada, czy są w nim dzieci lub/i zwierzęta, jakie są przyzwyczajenia i upodobania kulinarne. Wreszcie – jaki jest status finansowy rodziny.

Jest oczywiste, że młoda, zamożna singielka z Warszawy będzie miała w koszyku co innego niż matka licznej rodziny w województwie warmińsko-mazurskim (na przykład). Jako socjolog amator mam swoje wnioski.

Spędzając miesiąc na mazurskiej wsi i robiąc zakupy w lokalnej Biedronce, oddawałam się ulubionemu zajęciu. Kupuje się tu dużo napojów farbowanych na kolorowo, a także tych globalnych marek. Sporo alkoholu, głównie mocnego, zwłaszcza w piątki i soboty. Kartony piwa. Tanie kiełbasy, wędliny. Dużo czipsów, ciasteczek, pakowanego pieczywa, pseudochleb – wata pokrojona w folii. Ciastka posypane kolorowymi paciorkami. Z mięs – drób i wieprzowina. Wołowiny się nie jada, za to w chłodzonych ladach są łosoś, krewetki, sushi, widziałam nawet ośmiornicę. Najtrudniej w koszykach tutejszych klientów znaleźć świeże jedzenie: warzywa i owoce. Przeważają rzeczy gotowe, opakowane, w opakowaniach trwałych.

Amatorskie i dokładniejsze niż moje obserwacje zrobił „New York Times". Wykonano szczegółową analizę koszyków 27 osób z różnych Stanów, w różnym wieku, o różnym statusie rodzinnym. Opierając się na wydrukach z kasy, przedstawiono listę zakupów. Pytano badanych o ich status rodzinny, o upodobania, jak często robią zakupy, czy kupują z planem czy impulsywnie, jaki jest najdroższy produkt kiedykolwiek kupiony. Pytano o zakupy alkoholowe.

Nie przytaczam list, bo nam nazwy nic nie powiedzą. Jakie wnioski?

Najczęściej kupowane produkty (w kwietniu): pieczywo, ser, jagody. Kupowano aż 37 różnych gatunków sera. Piątą, najliczniejszą kategorią kupowanych produktów były warzywa i owoce – kupiono je 1001 razy. Świeże warzywa i owoce stanowiły jedną trzecią zakupów. Na czele: pomarańcze, banany, winogrona. 52 proc. badanych kupowało alkohol, który w supermarketach w USA dostępny jest w 20 stanach.

70 proc. ankietowanych kupowało też chipsy pod różnymi postaciami. Co najmniej jedną torebkę. Ten wynik rzuca trochę światła na problem amerykańskiej otyłości. ©℗

FOT. ADOBE STOCK (X2)

eprasa.pl 920a274a11

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Robienie z tata wariata

Co do niesławnej imprezy otwarciowej igrzysk, to spuśćmy już zasłonę milczenia na treść tej burzy nieczystości o tym, czy „Imagine" to manifest komunistyczny albo czy sparodiowano „Ostatnią wieczerzę". Tu wszystko się już wyjaśniło co do treści. Lennon sam się przyznał zza grobu, a przeproszenie ze strony organizatorów za profanację symbolu katolicyzmu zamknęło sprawę.

Ciekawe jest coś innego. Chodzi o masowy gaslighting. Sam mechanizm – tu w odniesieniu do grup, nie do jednostki – polega na manipulacji, która powoduje, że ofiara tego procederu ma zwątpić we własne osąd i percepcję. Udowadnia się jej, że rzeczywistość jest inna niż ta postrzegana przez ofiarę, co ma doprowadzić do niewiary w siebie i integralność własnego widzenia świata. I, uwaga, robi się to w formie… zatroskania, by uchronić ofiarę od błędów.

W przypadku imprezy otwarcia igrzysk była to gaslightingu forma spontaniczno-sterowana. Dowód sterowalność jest prosty: jak się podniosła fala oburzenia za drwienie sobie z religii, to nagle ktoś (kto?) wyciągnął jak królika z kapelusza Jana van Bijlerta, dopiero w dniu skandalu inkryminowany obraz dodał do profilu malarza na Wikipedii, wskazał na niego jako źródło inspiracji tej paryskiej hucpy.

Ale martwią spontaniczni. Wielu ludzi z social mediów, których podejrzewałem – jak widać, na wyrost – o jakieś krztyny rozumu, ruszyło z tą antykrucjatą. Zarzucano katolikom, że wszystko im się kojarzy, że są przewrażliwieni, na malarstwie się nie znają, choć – tu idę o zakład – żaden z gaslighterów nawet nie słyszał do tej pory o jakimś tam Bijlercie. Pojawiły się nawet rewelacje o hipokryzji katoli, gdyż da Vinci miał być sam homoseksualistą. A przecież nawet gdyby (co i tak jest wątpliwe) Leonardo miał takie skłonności, to wcale nie rzutowałoby to na ikoniczność jego dzieła. Ale, by dołożyć ciemnogrodzkim katolom, okazuje się, że każdy pretekst jest dobry, nawet za cenę autokompromitacji. Pluje się im w twarz, by potem narzekać na ich nadreakcję. To jest jakiś automatyzm. Ciekawe, czy uświadomiony u tych tam pożytecznych mikrocefali?

Ta cała impreza to po prostu żenujący spektakl pretensjonalności i kiczu, obliczony na to, że sprzeciwianie się tak pojętemu postępowi będzie u ofiar budziło lęk przed społecznym odrzuceniem. Tylko że sam mechanizm jest fałszywy – ci oburzeni to właśnie większość, i to podobno ona decyduje w demokracji. Pod warunkiem że nie da się szantażować niewrażliwością przez coraz bardziej – jak widać po rzeczonej imprezie – zdegenerowane i agresywne mniejszości. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Bezczelność Steinmeiera

Podczas obchodów 80. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier powiedział: „Proszę, właśnie dzisiaj i właśnie tutaj, o przebaczenie". I nie chodziło mu o przebaczenie za jakieś winy z przeszłości, dokonane przez nazistowski reżim, ale konkretne wskazanie sprawców i strat. Steinmeier zaznaczył, że Armia Krajowa walczyła przeciwko niemieckim okupantom, którzy „popełniali masowe mordy na ludności cywilnej, a po powstaniu niemal całkowicie zniszczyli miasto". Jest postęp, bo prezydent przyznaje, że działania Niemców to ludobójstwo i ruina Warszawy. A więc można oczekiwać, że przechodząc do współczesności, Steinmeier naturalnie odniesie się do kwestii zadośćuczynienia za – jak sam przyznał – mordy i zniszczenia. Nic podobnego!

Niemiecki polityk rozwiał wszelkie złudzenia, mówiąc coś o miejscu pamięci, którym ma być Dom Polsko-Niemiecki w Berlinie, i żeby nie było złudzeń, powtórzył frazę Olafa Scholza sprzed kilku tygodni, zaznaczając: „Wiele innych spraw jest w toku, toczy się również sprawa dotycząca żyjących ofiar niemieckiej okupacji. W tej sprawie oba nasze rządy są w ścisłym kontakcie". A więc jemu też nie przeszły przez gardło słowa: „zadośćuczynienie", „odszkodowania", „reparacje".

Dlaczego? Ponieważ niemiecki gość może sobie na to pozwolić. Poprzedzające wystąpienie prezydenta Andrzeja Dudy, choć trwało ponad 20 minut, retorycznie podniosłe, w istotnej kwestii reparacji zawierało tylko wspomnienie „straszliwych strat, za które nigdy nie zadośćuczyniono". Koniec, kropka! Ponieważ Andrzej Duda nie zwrócił się do niemieckiego gościa: oczekujemy, żądamy, będziemy się domagać, postawił Steinmeiera w komfortowej sytuacji, a ten z niej skorzystał. Andrzej Duda dwukrotnie wspomniał o Pasażu Simonsa, ale ani razu, o widocznej z miejsca ceremonii, Bibliotece Krasińskich, której bezcenne dla nas zbiory Niemcy spalili wbrew postanowieniom układu kapitulacyjnego. Nie dziwi zatem bezczelność Steinmeiera, któremu lekko przez usta przechodzi prośba o przebaczenie, bo do materialnej odpowiedzialności za zbrodnie nikt go nie wzywa.

Po obecnych władzach niczego dobrego nie możemy się spodziewać. Tusk wprawdzie rozpędził na cztery wiatry Instytut Strat Wojennych, ale przecież władza „opcji niemieckiej nad Wisłą" nie będzie wieczna. Uchylenie się przez polskiego prezydenta z mocnego postawienia jeszcze raz żądania reparacji jest nie tylko zaniechaniem. Jest błędem tzw. komunikacji strategicznej. Wysiłek przygotowania raportu strat i zabiegi poprzedniej ekipy przez takie wystąpienia nie tylko są podważane, lecz także unieważniane. ©℗

eprasa.pl 920a274a11

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nazwisko: Mgłosiek

Premier Donald Tusk postanowił skomentować na X aferę z Przemysławem Babiarzem. Stop. Napisał: „W sumie nie wiadomo, co było głupsze: komentarz pana Babiarza czy decyzja jego przełożonych. W obu przypadkach olimpijski poziom". Stop. Jest pewien problem, premierze, decyzje o zawieszeniu dziennikarza podjęli politycy z Pana koalicji, nie przełożeni Babiarza, ale zgoda, te kadry pozostawiają wiele do życzenia.

Prezydent Niemiec przyjechał do Polski w związku z rocznicą Powstania Warszawskiego. Stop. Cedził puste frazy: „Proszę o wybaczenie" – i ani słowa o odszkodowaniach. Stop. Za zbrodnie trzeba płacić, panie Niemiec, a te wasze puste przeprosiny zaczynają trącić szyderstwem.

Państwowa Komisja Wyborcza nie podjęła, chociaż raczej powinna, decyzji w sprawie PiS, a właściwie w dużym uproszczeniu: czy PiS będzie w najbliższych latach dostawało wielomilionowe subwencje. Stop. PKW sprawą zajmie się później, ponieważ musi przeanalizować dokumenty. Stop. Jest partia, szukamy paragrafu.

W pół roku zamknięto w Polsce blisko 100 tys. jednoosobowych działalności gospodarczych, a zawieszono ponad 179 tys. Stop. Cóż, w Polsce od zawsze modne jest wyciskanie przedsiębiorców. Stop. Uśmiechamy się.

Sylwia Spurek, która była kiedyś europosłanką i płakała nad losem gwałconych krów, żebyśmy my mieli mleko, teraz wystąpiła z inicjatywą święta bitych i poniewieranych kobiet przez mężczyzn. Stop. Komentarz jednego z internautów (który to komentarz potępiam) brzmiał: „Głupotę liczymy w spurkach". Stop.

Sędzia rejonowy z Wrocławia o nazwisku Mgłosiek uznał sobie, że wyrok wydany przez sąd wyższej instancji jest nieważny, bo w składzie zasiadał sędzia wybrany za czasów PiS. Stop. Krótko mówiąc, szeregowy ma właśnie w tamtym miejscu polecenia oficera. Stop. Takie postępowanie może oznaczać paraliż sądownictwa, chociaż właściwie od dawna jest sparaliżowane. Stop. Warto może przypomnieć głośną niedawno w środowisku sędziowskim opinię o Mgłośku wydaną przez sędziego z Poznania w związku z dyskusją o KRS. Oto ona: „Panie Mgłosiek (co za głupie nazwisko) – od lat jest pan osobą, która przekraczała wszelkie normy wypowiedzi, które to normy powinny cechować sędziego. Jest Pan ograniczony intelektualnie, wierzy Pan w prawdy »objawione« przez »guru«, nie potrafi Pan wyrwać się z nienawiści, w której Pan tkwi jak palec, gdy się pomyliła dłoń, podcierając. I to wszystko na temat Pana poglądów. Pan się wstydź za destabilizację polskiego sytemu sądownictwa i za przyłożenie dłoni do akcji destabilizacji Polski". ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Walcząc z bandą kociar

Ciemne, burzowe chmury zbierają się ostatnio nad głową amerykańskiego polityka J.D. Vance'a. Media przypomniały mu ostatnio wypowiedź, w której nazwać miał swoich oponentów z Partii Demokratycznej „bandą bezdzietnych kociar prowadzących żałosne życie". Co gorsza, republikański kandydat na wiceprezydenta słów swoich się nie wyparł, podkreślił jedynie, że były one w zamierzeniu sarkastyczne i lepiej koncentrować się na ich treści niż formie. „W istocie rzeczy, mój komentarz jest, niestety, prawdziwy" – wyjaśnił indagowany o „kociary" J.D. Vance. „Chodziło mi o skrytykowanie Partii Demokratycznej, która stała się wroga dzieciom i wroga rodzinie".

Pierwsi oburzyli się celebryci. Odezwała się zapomniana już nieco aktorka Jennifer Aniston. W płaczliwym, męczeńskim tonie przypomniała publiczności o swoich problemach z płodnością i próbach zajścia w ciążę przy pomocy in vitro. „Panie Vance, modlę się o pańską córkę, by udało się jej szczęśliwie urodzić własne dzieci" – ogłosiła Anniston. Córka J.D. Vance'a ma dopiero dwa latka, więc modlitwy aktorki wydają się nieco przedwczesne.

Następną skrzywdzoną słowami o „bezdzietnych kociarach" osobą okazał się amerykański polityk, sekretarz do spraw transportu Pete Buttigieg. Żyje on w jednopłciowym związku z mężem imieniem Chasten, z którym przed trzema laty adoptowali parę bliźniąt. W trakcie procedury adopcyjnej obaj panowie przeżywali trudne chwile i słowa J.D. Vance'a omal nie „złamały im serca". „On (Vance) nie mógł o tym wiedzieć, ale właśnie dlatego nie powinien wypowiadać się o dzieciach innych osób" – poskarżył się pan Buttigieg.

Gdy wyschły pierwsze łzy, odezwali się naukowcy. Profesor literatury angielskiej z Oksfordu Diana Purkiss uznała wypowiedź J.D. Vance'a za relikt średniowiecza. „Typowym przykładem czarownicy, kimś, kogo wszyscy się bali, a szukali łowcy czarownic, była samotna starsza kobieta w towarzystwie zwierzęcia. Posiadanie kota sugerowało moce nadnaturalne, zwłaszcza u bezdzietnych kobiet po menopauzie. W tych okolicznościach narodził się także stereotypowy pogląd, że kociary są szalone".

„Kociary" obojga płci zorganizowały na J.D. Vance'a prawdziwą nagonkę, próbując wciągnąć do niej samą Taylor Swift. Piosenkarka, chętnie fotografująca się z kotem imieniem Benjamin, powstrzymała się na razie od komentarzy. Jest nadzieja, że kandydat na wiceprezydenta USA wyjdzie z tej bitwy cało. W środowisku polskiej prawicy los podobnego śmiałka byłby niestety przesądzony. ©℗

eprasa.pl 920a274a11

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Już pora na pola

Lato nieodmiennie kojarzy nam się z podróżami, a podróże wiązać muszą się z powrotami. Zanim jednak spróbuję zachęcić państwa do powrotu, podzielę się pewną radością.

Otóż bardzo cieszę się z ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich. Cieszę się, bo miliony normalnych ludzi na całym świecie ujrzały to, przed czym ostrzegamy od dawna. Jeśli do tej pory rzeczywiście myśleli, że przesadzamy ze „straszeniem" liberalizmem, permisywizmem, ateizmem, kpinami ze świętości, ideologią LGBT i zorganizowanym zamachem na resztki cywilizacji chrześcijańskiej, to przekonali się, że nie ma w tym ani krzty przesady.

Ukazał się nam europejski projekt w pełnej krasie – celebracja satanizmu i pedofilii, nienawiści do chrześcijaństwa i starego świata. Mieliśmy więc i turpistyczne eksponowanie śpiewającego trupa Marii Antoniny z odciętą głową, homopląsy lędźwiami na wysokości twarzy jakiegoś nieszczęsnego dziecka, wijącą się babę z brodą, queerową kpinę z „Ostatniej wieczerzy" okraszoną w dodatku śpiewem błękitnego Heliogabala (rzymskiego cesarza, do którego umiłowań – sadyzmu i homoseksualizmu – lubią odwoływać się koryfeusze promocji perwersji), a na koniec odwołanie do bladego konia z Apokalipsy, z jeźdźcem o imieniu Śmierć, za którym, w myśl Księgi Objawienia, szło całe piekło.

Coraz częściej mamy do czynienia z takimi właśnie objawami zbiorowego opętania – oklaskiwanymi przez władców Europy. Nie minęła bowiem jeszcze nawet dekada od głośnej ceremonii otwarcia tunelu Gotarda w Szwajcarii, na którą zaproszono śmietankę przywódców Unii Europejskiej – z Angelą Merkel, Matteo Renzim i François Hollandem na czele. Zademonstrowano im wówczas tańce diabłów i ludzi-kozłów, odradzanie się demonicznych postaci w symbolice znanej chrześcijanom ze zobrazowań Zmartwychwstania Pańskiego, pseudopogańskie rytuały taneczne półnagich postaci oraz upadające co chwila anioły. Jak widać, otwarcie paryskich igrzysk przeszło od alegorii do bardziej przyziemnych obrazów zniszczenia dawnej christianitas.

Łatwo też jest powiedzieć, że dzisiejsza kultura upadła, a twórcy się sprostytuowali, dużo trudniej natomiast tworzyć niejako poza systemem myślowym współczesności. Dlatego każdy, kto się do tego zabiera, zasługuje na uznanie

Ale chciałem, by ten felieton poświęcony był podróży – a konkretnie powrotowi. Powrotowi do tego, co sprawiło, że wspomniana christianitas powstała i trwała. Łatwo bowiem dziś być konserwatystą, nawet konserwatywnym komentatorem, wszak powodów do utyskiwania na podmieniany świat mamy bez liku. Łatwo też jest powiedzieć, że dzisiejsza kultura upadła, a twórcy się sprostytuowali, dużo trudniej natomiast tworzyć niejako poza systemem myślowym współczesności. Dlatego każdy, kto się do tego zabiera, zasługuje na uznanie.

Tym samym chciałem zasugerować państwu uznanie dla dwóch książek katolickich twórców dość młodego pokolenia, którzy bez najjaśniejszych świateł jupiterów właściwych premierom dzieł gwiazd literatury z dzisiejszego samozwańczego firmamentu błyszczą jak polerowane złoto. Ostatnimi miesiącami pojawiły się bowiem książki Jana Maciejewskiego i Michała Gołębiowskiego, odpowiednio „Już pora. Miesiące i godziny" i „Dalej tylko pola". Pierwszy tytuł to zbiór opowiadań prawdopodobnie najwybitniejszego dziś autora tej strony mocy, drugi zaś to urzekający powieściowy debiut publicysty. Nie ma tu miejsca na szerszy opis obu książek, ale też nie o recenzje tu chodzi. Chodzi o radość, promyki światła w krainie ciemności.

Radość i światło, które może dać obcowanie z literaturą tworzoną przez ludzi, dla których Wiara, Nadzieja i Miłość oraz Prawda, Dobro i Piękno stanowią oczywistość. W dobie, w której przyzwyczajeni jesteśmy do czytania polskich powieści czy opowiadań raczej pomimo backgroundu ich twórców, możemy tego lata pocieszyć się pierwiosnkami przebudzenia nowego pokolenia. Trzydziestoparolatków, twórców dzieł kultury, którzy doskonale znając dzisiejszy świat, nie wahają się afirmować starego. Inaczej niż starsi koledzy nie tylko siadają i narzekają, lecz także biorą się do pracy, niewątpliwie obdarowani przez Twórcę owego starego świata wyjątkowym talentem zarówno obserwowania, zrozumienia, jak i opisywania.

W górę serca! Jeszcze nie wszystko stracone. ©℗

eprasa.pl 920a274a11

NIE TU

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Murzyn zrobił kupę do stawu na osiedlu i ktoś to sfilmował. W sieci duży szum w tonie zabawnym. Spontaniczna reakcja narodu była spostrzegawcza i dowcipna, co dobrze o nas świadczy. Władza wciska nam bałachy na temat imigrantów, mówiąc: „Sprowadzamy inżynierów i lekarzy", więc w sieci pojawiły się reakcje takie: Inżynier z Afryki nasr.ł do stawu w Katowicach. Dogoniliśmy standardy europejskie.

Kto w ostatnich latach był we Francji, wie, o jakie standardy chodzi – oni tam mają plagę tego typu zachowań, ustawiają więc nowe znaki drogowe, na których widać kucającą postać i kupę pod nią. Chodzi o to, żeby się nie załatwiać na chodniku. Biały mieszkaniec Europy to wie, a czarnemu migrantowi trzeba postawić znak – na tym polega europejski standard.

***

Od kilku miesięcy w polskiej sieci nastąpił renesans opowiadania kawałów niepoprawnych. Ktoś zaczął i chwyciło. Proszę sobie poszukać i się przyłączyć. To raczej nie przetrwa długo, bo albo się samo wypali i wygaśnie, albo władcy świata zaczną to likwidować przemocą, jak każdy skrawek wolnej myśli. Na razie można się śmiać.

Bardzo popularne są dwa nurty: kawały seksistowskie i kawały rasistowskie. Niektóre są wulgarne, ale większość jest po prostu obiektywnie śmieszna. Kawały bazują na stereotypach, stereotypy ISTNIEJĄ, czy się to władzy podoba czy nie. I stereotypu nie da się zwalczyć. Im bardziej władza próbuje, tym bardziej umacnia stereotyp.

Stereotyp taki, że kobiety są złymi kierowcami, obiektywnie istnieje i pokazywanie nam statystyk, że kobiety powodują mniej wypadków, tego nie zmieni. One powodują mniej wypadków właśnie dlatego, że są (statystycznie) gorszymi kierowcami, a co za tym idzie – jadą bardziej ostrożnie, bo same o sobie wiedzą, że są gorszymi kierowcami. Wierzą w stereotyp na własny temat.

No i pojawił się kawał następujący: Żona dzwoni do męża i mówi, że auto jej nie chce ruszyć. Mąż odpowiada: Kochanie, bo kiedy mnie nie ma w samochodzie, to ty musisz usiąść z lewej strony.

***

Kiedy ostatnio widzieli państwo dowcipnego lewaka? Nigdy? Bardzo dawno temu? Marksiści budują swoje ideologie na konfliktach i traktują te konflikty śmiertelnie poważnie. Słowo „śmiertelnie" należy rozumieć dosłownie – żadna inna ideologia w historii świata nie uśmierciła większej liczby swoich wrogów (klasowych) niż ideologie marksistowskie. Gdy traktujesz konflikt śmiertelnie poważnie, nie ma miejsca na dowcip, humor i luz.

Trump jest dowcipny, robi sobie żarty ze swoich przeciwników politycznych, również z samego siebie. Amerykańscy demokraci też kiedyś tacy byli i wtedy kampanie wyborcze były potyczką na programy wyborcze, a także na całą masę dowcipów, kawałów czy zabawnych powiedzonek. Po stronie demokratów to zupełnie zniknęło, gdy cała Partia Demokratyczna przesunęła się ostro w lewo i pojawił się otwarty Amerykański Marksizm. Od tego momentu nie ma mowy o żartach z lewej strony.

Demokraci nigdy nie żartują z Trumpa (bo to by go uczłowieczyło lub uczyniło sympatycznym obiektem… żartu, a jego trzeba odczłowieczyć i zniszczyć). Demokraci często wyśmiewają Trumpa, ale nigdy na jego temat nie żartują. Lewica ogólnie nie ma poczucia humoru, co widać w sieci, gdy ktoś szuka dowcipnych memów. Prawicowe są, lewicowe też są, ale nie są śmieszne.

***

Media w Polsce nie lubią, gdy się ktoś śmieje z murzynów, więc na tę „ciemnoskórą osobę" robiącą kupę w stawie zareagowały w tonie poważnym. Próbowały nam wciskać bałach, że film jest nieprawdziwy. Stacja TVN: z prawej siedzi dziennikarz w garniturze i komentuje z miną poważną, a w lewym górnym rogu obrazy ze zdarzenia, czyli… no ten film, na którym widać murzyna wypiętego akurat w stronę dziennikarza w garniturze i podpis pod murzynem: „Rosyjska prowokacja w Katowicach".

TVN to rasiści. Oskarżyli murzyna, że jest ruskim agentem. Sprawdzili? Zapytali tego człowieka o cokolwiek? Wiedzą na 100 proc. z dwóch niezależnych źródeł, że to ruski prowokator? Przeproszą go za obraźliwe określenia?

W innym miejscu sieci jakiś „ekspert do spraw dezinformacji" komentuje: „Film zrobił furorę w mediach społecznościowych. Środowiska skrajnej prawicy i prorosyjskie wykorzystują go w celach propagandowych, obwiniając rząd Donalda Tuska o zaistniały incydent. Jak tłumaczy ekspert – akcja ta ma swoje źródła w Rosji, a jej cel to destabilizacja sytuacji społecznej w Polsce".

Tylko drażnią ludzi takim gadaniem. Kogo mamy obwiniać za te hordy czarnych imigrantów widoczne gołym okiem w wielu miastach? Skoro rząd Tuska jest przy władzy, to w oczywisty sposób obwiniamy rząd Tuska. Rząd PiS sprowadził większość tych „inżynierów", ale ludzie Tuska mocno krytykowali Kaczyńskiego, że wpuszcza za mało. Kogo więc mamy obwiniać?

***

Gdy w „Boso przez świat" pokazuję ludy pierwotne i tak właśnie o nich mówię albo gdy wspominam o tym, że któraś kultura jest prymitywna (na wczesnym lub niskim etapie rozwoju), to mówię i pokazuję prawdę, ale spotykam się wtedy z lewacką krytyką. Twierdzą, że moja terminologia jest przestarzała (ja twierdzę, że jest klasyczna), bo teraz już od dawna nie ma kultur niższych i wyższych, lecz są kultury „odmienne" i różnice kulturowe, których nie wolno oceniać.

Otóż wszystko wolno i należy oceniać. Po to mamy rozum, sumienie i kulturę. I z naszego punktu widzenia ludy, które swoje potrzeby fizjologiczne załatwiają w rzece, to kultury PRYMITYWNE. Nie chcemy obcować w naszych miastach z tego rodzaju PRYMITYWNYMI zachowaniami. A ponieważ cywilizowanie ludów pierwotnych jest teraz przez lewicę zakazane, bo jej zdaniem istnieją wyłącznie kultury „odmienne", a nie wyższe czy niższe, to jedynym rozwiązaniem jest nie cywilizować tego prymitywa, który narobił do stawu we Wrocławiu, lecz odwieźć go nad rzekę w Afryce i tam niech sobie robi, nie tu. ©℗

eprasa.pl 920a274a11

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„W STEPIE SZEROKIM. PODRÓŻ PO UKRAIŃSKICH KRESACH"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1363~~ ZŁ

424,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 939ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 920a274a11

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NIEMIECKIE LUDOBÓJSTWO NA WOLI

Zgładzona dzielnica – Piekło tamtych mordów przyćmiewa wszystkie inne niezliczone zbrodnie popełnione w sierpniu i we wrześniu 1944 r. na mieszkańcach stolicy Polski

„To Bóg mnie tak poprowadził" – Cudownie ocaleni z zagłady Woli do końca życia dawali świadectwo o cierpieniach polskich ofiar

Niezwykłe narodziny syna Marsa – Czy przyjście na świat Bolesława Krzywoustego było efektem interwencji św. Idziego?

Licytacja Piłsudskiego – Sto dziesięć lat temu oddziały strzeleckie wyruszyły na wojnę z Rosją. Dziesięć dni później powstały Legiony Polskie

Cesarz legenda – Barbarossa był ostatnim niemieckim władcą, który usiłował zrealizować wizję uniwersalnego cesarstwa w starym stylu

Swastyka i trójząb – Pod koniec wojny dość nieoczekiwanie drogi Niemców zeszły się ze ścieżkami jednego z ich dotychczasowych wrogów – UPA

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 920a274a11